



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 00866-9414

MARZEC - KWIECIEŃ 2 (91) 2006

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH. WROCŁAW



JERZY JANICKI DOKTOREM HONORIS CAUSA UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO.

Na zdjęciu: prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja, JM Rektor Uniwersytetu Opolskiego wręcza J. Janickiemu dyplom doktora h.c. Obok stoją: prof. dr hab. Czesław Osękowski, recenzent dorobku Doktoranta oraz prof. dr hab. Stefan Grocholski, dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO. Relację z uroczystości nadania tytułu doktora h.c. oraz laudatio promotora – Rektora S.S. Nicieji zamieszczamy wewnątrz numeru na str. 23.

Spis treści

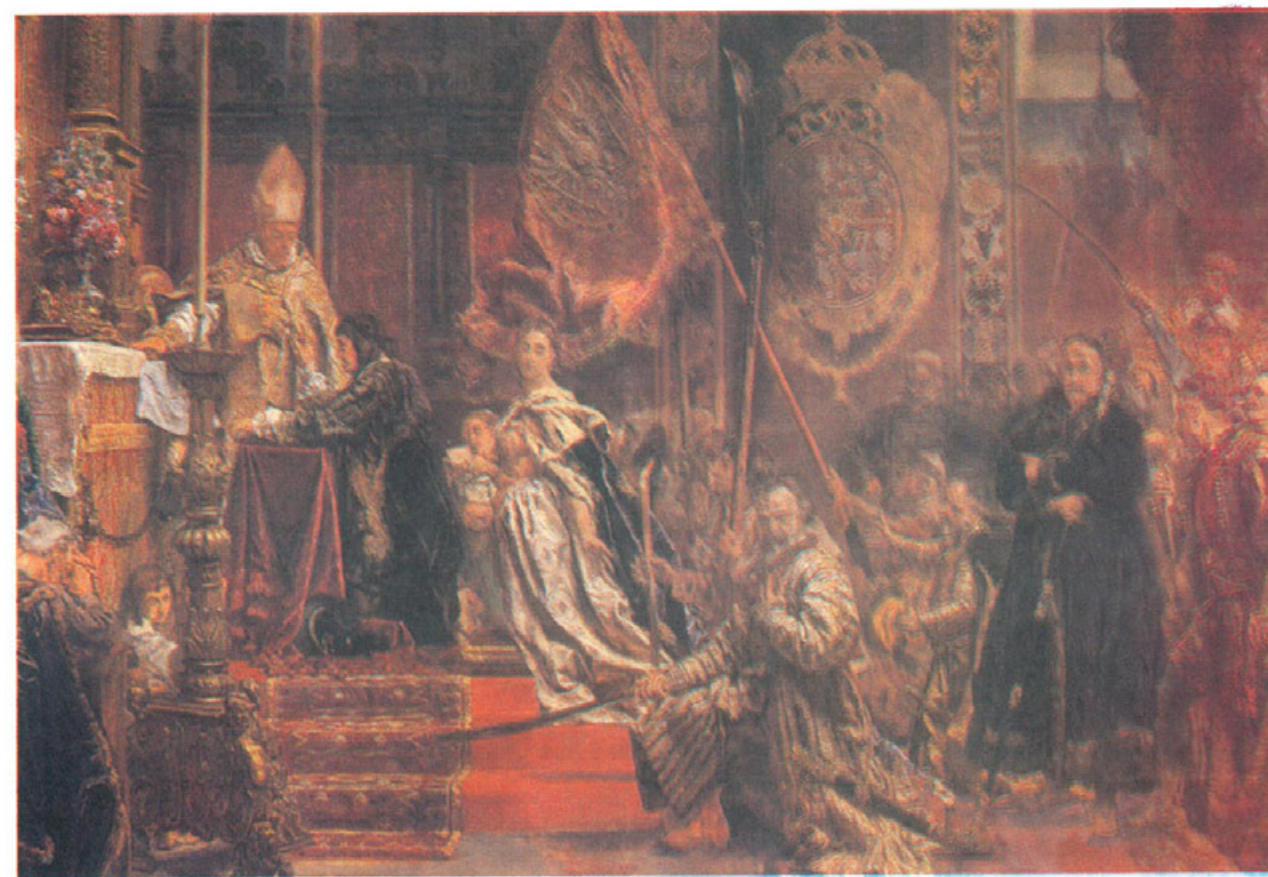
Franciszek Jaworski – Śluby króla Jana Kazimierza w Katedrze Lwowskiej 1 kwietnia 1656 roku	1
Danuta Śliwińska – Wielkanoc – święta życia i radości	3
Życzenia Wielkanocne	6
Ks. Jan Szurlej – Dobry Pasterz. Pamięci ks. arcybiskupa Eugeniusza Baziaka	7
Helena Wiewiórska – Kresowanie na obczyźnie	10
Pamiętnik pociągu pancernego „Gen. Iwaszkiewicz”. Rok 1920 (III)	15
WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	18
Zbigniew Umański – Jerzy Janicki doktorem h.c. Uniwersytetu Opolskiego	23
Stanisław Sławomir Nicieja – Wygnany z Edenu	23
Jan Arski – Piła: opłatek z laureatami i VIP-ami	31
Helena Hankowska – „Tak daleko, tak blisko” (I)	32
Czesław Bednarski – Święto Niepodległości w Gdańsku	39
Maria Pawłowiczowa – Drukarnia Stanisława Chowańca w Stanisławowie (1887-1939)	40
Edward Poskier – Stolarz artysta z Rychcic (wspomnienie o Marcinie Jachu 1906-1976)	41
Remigiusz Węgrzynowicz – „Sine ira et Studio” – „Bez gniewu i stronnictwa”	42
Janina Oparowska – Ten jeden styczniowy dzień	44
Zbigniew Burda – „Ni ma jak Lwów”	45
Ks. Maciej Józefowicz – List do Redakcji „SF”	46
Danuta Jakubiec – Dzień księdza Danki (Przedruk z: „Polonia węgierska” maj 2005 / 113)	47
Łukasz Wylęgała – Henrykówka	47
Jerzy Duda – Polskie kresowe środowiska inteligentne po II wojnie światowej	49
Marek Zabierowski – Tarnkową zasiedlili w 1945 r. osadnicy z Bieszczad	50
Józef Karabowicz – Na granicy Podola z Wołyniem	51
Jerzy Fic – List do Redakcji „SF”	52
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Jan Rogowski – Śp. Stanisław Dustanowski (1928-2006)	53
Śp. Maria Ficowa (1925-2006)	54
Śp. mgr inż. arch. Lesław Hawling (1925-2006)	55
Śp. Stanisław Mitraszewski	56
Kazimierz Wesołowski – Śp. Zofia Sacharuk (1908-2006)	56
Lista Ofiarodawców	56
Errata do nr. 5 (88) i 6 (89) „SF”	56

Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
 Redaguje Kolegium: Danuta ŚLIWIŃSKA, Jerzy PETRYŃSKI, Zbigniew UMAŃSKI.
 Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel./fax 344-88-93; konto bankowe
 Nowe konto: PKO-BP O/Wrocław Nr 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.

Śluby króla Jana Kazimierza w Katedrze Lwowskiej 1 kwietnia 1656 roku



Mal. Jan Matejko. Fot. Edmund Witecki

„Wielka Boga-Człowieka Matko, Najświętsza Dziewico! Ja, Jan Kazimierz, za zmiłowaniem Syna Twego, Króla królów, Pana mego i z Twego miłosierdzia król, do Przenajświętszych stóp Twoich upadłszy, Ciebie za patronkę moją i za królową państw moich obieram i siebie, i królestwo moje polskie, i księstwo litewskie, ruskie pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflanckie, smoleńskie, czernichowskie, jako też wojsko obydwóch narodów i wszystek lud Twojej szczególnej opiece i obronie polecam, a Twojej pomocy i miłosierdzia w tym oplakany i zamieszany królestwa mego stanie przeciw nieprzyjaciółom św. Rzymskiego Kościoła pokornie wzywam. A ponieważ największymi dobrodziejstwami Twymi związany, pałam wraz z narodem moim gorącą chęcią wstąpienia w nową służbę u Ciebie, przeto przyrzekam Ci i Synowi Twemu, Panu Jezusowi Chrystusowi, w moim i senatorów, i ludów moich imieniu, że z wszelką usilnością będę szerzył w ziemiach królestwa mego cześć i nabożeństwo dla Ciebie. Obiecuję wreszcie i ślubuję, że skoro tylko za przemożnym Twoim pośrednictwem i Syna Twego wielkim zmiłowaniem, nad nieprzyjaciółmi, a szczególnie nad Szwedami, odniosę zwycięstwo, u św. Stolicy Apostolskiej wyjednam, aby dzień dzisiejszy, na podziękowanie Tobie i Synowi Twemu, po wsze czasy był obchodzony i święcony, i dołożę z biskupami moimi starania, aby te śluby i ludy moje spełniły. Gdy zaś z wielkim bólem serca wyraźnie widzę, że za lzy i ucisk włości Syn Twój, Sędzia Sprawiedliwy, smaga królestwo moje w ostatnim siedmioletniu powietrzem, wojnami i innymi klęskami, przeto przyrzekam i ślubuję, że po przywróceniu pokoju, wraz ze wszystkimi stanami, wszelkich użyję środków, celem odwrócenia dalszych nieszczęść i postaram się, aby lud w moim królestwie od wszelkich obciążeń i niesprawiedliwego ucisku uwolnić. Spraw i to, najmiłosierniejsza Pani i Królowo, i uprosz łaski Twojego Syna, abym zdołał wypełnić te śluby, do których mnie, senatorów i stany królestwa mego naznaczyła”.

Wielką kartę w dziejach Lwowa zapisały nieszczęścia Jana Kazimierza. Dwukrotna bohaterska obrona Lwowa przed najazdem Chmielnickiego, Tuhaj-beja i Buturina, okryła mieszczaństwo Lwowa nieśmiertelnym wieńcem wawrzynu, nieustraszoną wierność, którą miasto zachowało w najokropniejszych czasach swemu królowi, wywołała powszechny podziw w całej Polsce.

(...) A w chwale tej jasnej chodził lew lwowski, niby w złocistej aureoli, dumny, wspaniały, potężny. Wszystkie miasta polskie patrzyły na te olbrzymie zapasy garstki mieszczaństwa z tysiącnymi zastępami nieprzyjaciół, na ten gród, co w samej prawie gardzieli wroga leżał, a w tej gardzieli rezolutny był na śmierć i życie, jedyna ostoja, potężna, warowna skała, korab na falach wzburzonych potopu.

Ale jasny ten płaszcz chwały i wiekopomnej zasługi z trudnością już tylko osłaniał nędzę wewnętrzną i ciężkie rany Iwa lwowskiego. Zniszczone po dwakroć za Jana Kazimierza przedmieścia bogate, ludne i zamożne, krociowy dwukrotny okup, handlowy zastój w ciężkim czasie ustawicznych wojen, a wreszcie te niezliczone exakcje, pobory, niespłacane pożyczki sprowadzały krok za krokiem ruinę miasta, której niestety polityka Rzeczypospolitej uchylić nie umiała...

Mimo tego ekonomicznego upadku jednak, i mimo poczucia, że król mu w żaden sposób zapobiec nie może, mieszczaństwo przyłgnęło do jego osoby nieśczęśliwej z całym poświęceniem, miłością i wiarą, gotową w każdej chwili oddać życie swoje i majątek w jego obronie.

Nic też dziwnego, że między wiernym mieszczaństwem a nieśczęśliwym królem zadzierzgnął się stosunek jakiś niezwykle serdeczny i wylany, dziwnie przyjacielski i poufale. Od czasów Władysława Jagiełły nie było króla polskiego, który by tak chętnie i często we Lwowie przebywał, nie było też króla, który by tak osobiście, obok hołdów wiernopoddańczych i materialnie nawet był wspierany przez lwowskie mieszczaństwo.

Wojny kozackie, które zapelniały znaczną część panowania Jana Kazimierza, wymagały z natury rzeczy częstej jego obecności we Lwowie, klęski spadłe na Rzeczpospolitą w czasie potopu szwedzkiego i zdobycia Warszawy spowodowały znowu, że na chwilę Lwów stał się faktyczną stolicą Polski i siedzibą jej rządu, ta aureola wreszcie, która wykwitła na skroniach mieszczaństwa, objawy patriotyzmu nawet u ludu wiejskiego, zrodziły owe wiekopomne śluby w Katedrze Lwowskiej, śluby, na których się oparły wieki późniejszej pracy narodowej.

(...) W październiku i listopadzie r. 1655 wytrzymało miasto nasze oblężenie połączonych wojsk kozackich i moskiewskich pod wodzą Bohdana Chmielnickiego i Wasyla Buturlina. Oblężenie ciężkie, bo obok huku armat nieprzyjacielskich dochodziły do uszu oblężonych odłósy walącej się w gruzy Rzeczypospolitej, upadek Poznania, Warszawy, Krakowa, Wilna, pogrom hetmana wielkiego koronnego, ucieczka króla i to wszystko, co tylko odwagę odebrać mogło i serce zmiękczyć rezygnacją. Równocześnie od kwatery Chmielnickiego pod św. Jurem szły kuszące słowa łaski i protekcji, lub groźna pięść się unosiła z zapowiedzią zemsty i zniszczenia, po którym kamień nie zostanie na kamieniu.

Mimo to mieszczaństwo lwowskie nie odstąpiło wiary raz królowi polskiemu zaprzysiężonej. „*Zdrowia nasze są w ręku Waszmość Pana*” – wołał Samuel Kuszewicz, rajca lwowski do Chmielnickiego – „*i tak już rozumiemy, że się z tego miejsca do swoich nie powrócimy, ale żebyśmy na imię cara moskiewskiego przysięgę i miasto oddawać mieli, tego nigdy nie uczynimy...*”. I nie uczynili przez całe siedem tygodni trwogi i chwały, i wytrwali wtenczas, kiedy już prawie żadnej nie było nadziei ratunku.

Toż kiedy wiadomość o tej wiekopomnej obronie rozeszła się po Polsce, jeden hymn chwały otoczył nasze miasto nimbem bohaterstwa, do niego też spieszyło wszystko, co tylko było jeszcze w Polsce myślącego o jej ratunku, a na czele Jan Kazimierz, przedzierający

się przez zasy śnieżne z Opola na Śląsku, przez Węgry, na Krosno, Łańcut – prosto do Lwowa.

(...) Orszak królewski zdrożony był i ubogi. Nie było dworu, ani dworaków, ani pysznych paziów, ani fraucymeru, nie było pieniędzy w kasie królewskiej na pierwsze potrzeby... nawet na żywność. Strach pomyśleć, że król Polski, wielki książę Litwy i jeszcze naonczas „król Szwedów, Gotów i Wandalów”... mógł głód cierpieć, być narażonym na osobistą nędzę i niedostatek.

Mógł być, ale nie był, bo oto zwartem go kołem otoczyło mieszczaństwo lwowskie. Nie było dworu, ani królewskiego orszaku? – więc poszli do kamienicy arcybiskupiej co przedniejsi mieszczaństwo pełnić straż koło osoby królewskiej, dotrzymywać mu towarzysztwa. Nie było pieniędzy na żywność? – więc się znalazły w kasie ratuszowej, a gdy i tam nie stało, nałożona na wszystkie targowe artykuły spożywcze akcyza szła na utrzymanie króla i jego otoczenia.

W ślad za królem zjechali się do Lwowa najwyżsi dostojnicy świeccy i kościelni, arcybiskupi, biskupi, hetmani, nuncjusz apostolski, panowie, senat, tłumy szlachty. Tak było pełne miasto, że na ulicach palono ognie, a przy nich koczowali na mrozie ci, co już w gospodach pomieszczenie nie znaleźli.

(...) W mistycznie podnieconym nastroju, wywołanym obroną Częstochowy, wiernością mieszczaństwa, a nawet stanu chłopskiego dla króla, w podniesieniu się ducha narodu, krążyły wieści różne, niesprawdzone, niemniej jednak pobudzające najtajniejsze drgania upodległych dotąd warstw narodu. Mówiono, że król dołę mieszczań i chłopów zamierza poprawić, że oto papież Aleksander VII wielkie uczynił wzywanie do pokuty, pokajania się z grzechów dawnych na świt sprawiedliwości.

Płynęły więc do miasta i tłumy chłopstwa, a chwila poczyniała być... „dziwnie osobiwa”.

Nadszedł wreszcie dzień 1. kwietnia r. 1656. Była sobota, jasna, mroźna jeszcze, ale słoneczna. Zaraz rano piechota łanowa i pułk węgierski stanęły szpalerem od rynku do cmentarza katedralnego, obwiedzonego wówczas murem, z bramą wjazdową dla powozów od strony wschodniej. Przez szpaler ten poczęły napływać tłumy ludu, zapelniając katedrę i klęcząc pokotem dokoła kapliczki Domagaliczowskiej, w której znajdował się obraz Matki Bożej łaskami słynący.

Mała kapliczka, która przytykała do dzisiejszej absydy kościoła, oświetlona jarzącym światłem, błyszcząca stosami złota, pereł, drogich kamieni, blach srebrnych, które pobożne ręce znosiły jako wota, stała się w tej chwili punktem, na którym zogniskowały się wszystkie myśli i uczucia. Ten obraz malowany niezgrabną ręką geometry Szolc Wolfowicza, strapionego zgonem wnuczki, do którego stóp tuliła się w chwilach żaloby, nieszczęścia i smutku społeczność lwowska, miał owej soboty pamiętnej stanąć jako kolumna, rozpoczynająca nową erę i nowe życie dla całej Polski.

(...) Tłumy ludu ogromne zapelniały cmentarz. Wszedł nań procesjonalnie urząd radziecki z reprezentacją wszystkich stanów i narodów miasta, cechy, zakony, procesy z barwistymi sztandarami. Potem zajeżdżały poczęły jedna karetą po drugiej, a z nich kolejno wysiadali prymas i arcybiskup gnieźnieński, biskup krakowski, arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów, kasztelanów...

A ot i on sam Jan Kazimierz zjawił się w poszostnej karecie razem z nuncyuszem apostolskim Piotrem Vidonim. Krzyk ludu go witał i sprezentowali broń żołnierze, kłoniły mu się sztandary bractw i cechów, a on rozmodlony, z jaśniejącymi zapalem oczyma na twarzy, wysiadł. Zaczem zaraz dwu dyakonów w złocistych dalmatykach zdjął obraz cudowny z kaplicy i w uroczystym dokoła katedry pochodzie, wśród dźwięku dzwonów i huku dział wniesiono go na główny ołtarz katedry, gdzie nuncjusz Vidoni ubierał się już w biały, perłami sadzony ornat dla odprawienia nabożeństwa.

Zagrzmiały organy, główny ołtarz rozgorzał tysiącem świec i oblókł się dymem kadzideł, na którym smugami kładło się światło od gotyckich okien katedry, zachwiał różnobarwny, strojny fioletami i złotogłowiem żupanów tłum i poczęła się służba boża.

Jan Kazimierz runął krzyżem na przodzie, przed samym ołtarzem. Słuchano kazania natchnionego, wreszcie ozwały się dzwonki na „*Agnus Dei*”, król przyjął komunię i wzruszony wstąpił na najwyższy stopień ołtarza.

W kościele zrobiła się cisza śmiertelna. Ani jeden szmer nie drgnął wśród tego ogromnego zgromadzenia. Tysiąc osób wpatrzyło się nieruchomo, z największą uwagą w osobę króla, który powstał, wyciągnął obie ręce przed siebie i mówić począł.

Słuchano w milczeniu, jak królestwo polskie polecał opiece i protekcji Patronki niebieskiej, jak dzień zwycięstwa Jej czci poświęcić obiecywał, a wreszcie:

„*Ponieważ z wielkim bólem serca mojego poznaję, że za lzy i krzywdy włościan w królestwie moim Syn Twój, sprawiedliwy sędzia świata, przez siedem lat już dopuszcza na nas kary powietrza, wojen i innych nieszczęść: przeto obiecuję i przyrzekam oprócz tego, iż ze wszystkimi memi stanami, po przywróceniu pokoju, wszelkich dla odwrócenie tych nieszczęść troskliwie użyję środków i postaram się, aby lud królestwa mego od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków był uwolniony...*”.

Rozruch uczynił się w kościele wielki i płacz serdeczny złapał za gardło owo biedne, utrapione pospólstwo, a tymczasem na przedzie kościoła z łoskotem

wielkim runęli przed sam ołtarz dostojnicy duchowni, świeccy i cała szlachta. Biskup przemyski Andrzej Trzebnicki wstąpił na miejsce królewskie i donośnym głosem odczytywać począł tę samą rotę przysięgi, którą dopiero co król wygłosił.

Gromkie „*Amen*” zapieczętowało ową wiekopomną chwilę obudzenia się sumienia narodowego, poczem, po ucałowaniu świętego obrazu, odniesiono na powrót procesjonalnie do kaplicy.

W tydzień potem rozbiegła się po Lwowie lotem błyskawicy wieść, że Czarniecki Stefan rozbił w puch znaczny oddział szwedzki, wziął w niewolę 65 oficerów i zdobył 16 sztandarów, które oto nadesłane zostały do Lwowa. Był to niejako pierwszy skutek ślubów, tem większa przeto radość zapanowała w otoczeniu króla i w całym mieście. W katedrze przed obrazem Matki Boskiej Domagaliczowskiej, przeniesionym jak poprzednio z kaplicy, odbyło się uroczyste nabożeństwo, po którym król sam, ująwszy drzewce jednego sztandaru nieprzyjacielskiego, rzucił go z mocą przed obraz, poczem dostojnicy świeccy jeden po drugim przystępowali, czyniąc to samo wśród radości i uniesienia zgromadzonego ludu i uroczystego śpiewu „*Te Deum*”.

Po ukończeniu nabożeństwa zawieszono 14 sztandarów na ścianie między prezbiterium a nawą kościelną po obu bokach olbrzymiego krucyfiksu, który dawniej w tem miejscu wisiał, dwa zaś sztandary znalazły miejsce jako dekoracje obrazu Matki Boskiej i kaplicy Domagaliczowskiej.

Wśród doniosłych spraw państwowych, które zabierały cały czas pobytu króla we Lwowie, nie zaniedbywał on także praktyk religijnych, między innymi dokonał w wielki czwartek tegoż roku ceremonii mycia nóg w kościele Jezuitów, a niebawem po świętach wielkanocnych ruszył ze Lwowa w stronę Sokala, na dalsze trudy okolo zdobycia swej stolicy, Warszawy.

Fragmenty z książki
„*Królowie polscy we Lwowie*”
Franciszka Jaworskiego
wydanej nakładem Towarzystwa
Miłośników Przeszłości Lwowa w 1912 r.

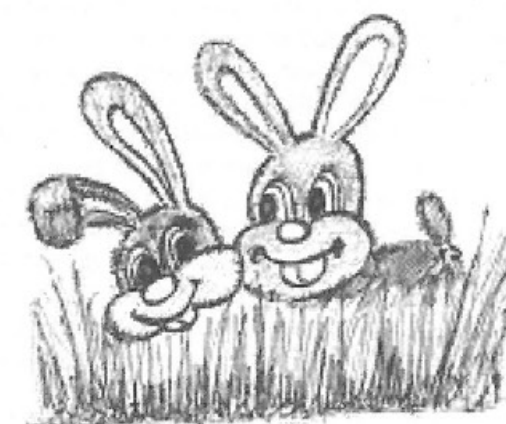
Danuta Śliwińska

Wielkanoc – święta życia i radości

Wielkanoc to dla chrześcijan święta triumfu życia nad śmiercią, odkupienia nad grzechem, dobra nad złem. Rozpoczynają się w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca – zgodnie z odwiecznym rytmem natury.

Święta wielkanocne tak dla naszych przodków jak i dla nas są również świętami powitania wiosny.

Niedziela Palmowa – wstęp do Wielkiego Tygodnia. W dniu tym święcimy palmy, wierzbowe gałązki, które bielą się pączkami srebrzystych kotków i są symbolem przedświątecznej radości. Wierzbowa bazia to prawdziwie polska palma wielkanocna, wdzięczna i pokorna. W dzisiejszych czasach najczęściej kupujemy je u ulicznych sprzedawców, przeważnie wybieramy gałąz-



ki wierzbowe, ozdobione baziami i bukszpanem. Przechowujemy je w domach do następnego roku – dla zapewnienia nam zdrowia, dostatku i ochrony przed wszelkim złem tego świata. Najsylniejsze są palmy wileńskie, misternie uplecione z suszonych kwiatów, mchów i traw.

Jerzy Ficowski:

*„W wielkanocny dzień do domu
przyszły białe baze w gości
by pisankom po kryjomu
kolorów pozazdrościć.
Bo ich nie pomalowano
nikt o baziach nie pamiętał,
choć też pragną na Wielkanoc
przywdziać strój od święta”.*

Wielki tydzień posiada szczególną obyczajowość. Łączy w sobie zarówno liturgię i obrzędowość kościelną jak i ludową tradycję narodową. Dni poprzedzające Zmartwychwstanie Jezusa cechują się niezwykłą powagą, skupieniem, pobożnością, a nawet pewnego rodzaju żałobą w rozpamiętywaniu męki Pańskiej.

Michał z Janowca:

*„W Wielki Czwartek, w Wielki Piątek
Cierpiał Chrystus za nas smętek...
Pietrze, Pietrze weź te klucze
Idź do raju wypuść dusze...”.*

Właśnie Wielki Piątek to najsmutniejszy dzień całego Tygodnia. Kulminacyjnym punktem obrzędów tego dnia były i nadal są „Grobby”, które wszyscy odwiedzają całymi rodzinami.

Wł. Syrokomla:

*„Noc na dworze – a w kościółku
Uroczyste światła płoną;
Grób Chrystusa oświetlono
Od podłogi do wierzchołku...”.*

W Wielką Sobotę święcimy jadalnię – chleb i ciasto, wędlinę, sól, chrzan, jajka – w tym pisanki. Barwienie jaj wielkanocnych to zwyczaj zakorzeniony na naszych ziemiach od zarania chrześcijaństwa, są symbolem odrađającego się życia i zmartwychwstania.

Jeszcze do niedawna każdy region Polski posiadał własny i niepowtarzalny styl pisanek-kraszanek. Niewielkie różnice w barwie i rysunku pozwalały nieomylnie rozpoznać skąd pochodzą.

Najbardziej kunsztowne artystycznie były zawsze pisanki huculskie, pokryte bardzo drobnym ornamentem, przypominającym mozaikę. Za najpiękniejsze uchodziły kraszanki podolskie – z okolic Krzemieńca i Jarmoliniec oraz z Pokucia – huculskie. Wszędzie jednak – i na Podolu, na Pokuciu, Polesiu, Mazowszu czy w Małopolsce – wzór i deseń pisanek nie uległy zmianie. Do tej pory każdy rysunek posiada swoją nazwę zastygłą od wieków. Wśród kolorowych pisanek z Pokucia i Podola wyróżniał się typ kraszanki jednolicie ciemnej, pokrytej białym rysunkiem podobnym do greckiego Meandru w wielu wzorach bez początku, bez końca – jak nieskończoność. „Święconką” – to bardzo piękna tradycja – dzielimy się w niedzielę życząc sobie wzajemnie zdrowia i wszelkiej pomyślności, myśląc jednocześnie i o naszych Rodakach m.in. we Lwowie, Stani-

slawowie, Tarnopolu, Łucku, Kamieńcu Podolskim, a także w Wilnie, Kownie, Grodnie, Lidzie i Nowogródku, aby i Im dopisywało zdrowie i powodziło się trochę lepiej.

Rano przed śniadaniem świątecznym dzwony w kościołach dzwonią triumfalnie i wzywają wiernych na Rezurekcję, która jest najważniejszym nabożeństwem Wielkanocnej Niedzieli. Rezurekcja jest ściśle związana z Polską, gdyż polska liturgia wprowadza do kościoła ten wspaniały akcent triumfalny – Te Deum Laudamus całego narodu. Wielka Noc, Święta Noc, nastał nam wesoły dzień, którego każdy z nas żądał, Alleluja, Alleluja!

Nastała wielka świąteczna cisza i spokój – Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego.

Pieśń wielkanocna z 1635 r.:

*„Wstał Pan Chrystus
z martwych ninie
który cierpiał dnia trzeciego
weselił lud swój mile
dla człowieka mizernego
Alleluja!”.*



Po Niedzieli – Poniedziałek Wielkanocny zwany także lanym poniedziałkiem lub śmigusem dyngusem, dzień wesela, żartów i radości.

Przyśpiewka:

*„Przyszedłem tu po dyngusie
Leży placek na obrusie
Tata kraje, mama kraje
proszę o malowane jaje...”.*

Nadeszła jednocześnie uzdrawiająca wiosna. Cieszą nas rozkwitające kwiaty, okrywające się zielenią gałęzie drzew i krzewów, coraz radośniejsze śpiewy ptaków, m.in. skowronków i drożdów. Przyleciały bociany.

Na świątecznym stole nie może zabraknąć symboli budzącej się do życia przyrody, jak pisanek, zajączków, kurczaków.

Radosny nastrój podkreślają delikatne kolory wiosennych kwiatów. A wśród tych dekoracji powinny się znaleźć tradycyjne, świąteczne potrawy i wypieki.



Poniżej ciąg dalszy przepisów rodem z Kresów na śniadanie wielkanocne i nie tylko.

1. Jajka faszerowane z szynką

Składniki:

8 jajek, pęczek szczypiorku, 12 dkg szynki, łyżka gęstej śmietany, 5 łyżek bułki tartej, sól, pieprz, natka pietruszki, tłuszcz do smażenia.

Przygotowanie:

Ugotowane jajka na twardo przecinamy wzdłuż na pół. Ze skorupki wyjmujemy delikatnie połówki jaj, siekamy je drobniutko razem z szynką. Do masy dodajemy posiekany szczypiorek i śmietanę. Całość doprawiamy do smaku solą i pieprzem. Mieszymy i masą napełniamy skorupki, bardzo lekko ubijamy, posypujemy bułką tartą i smażymy na tłuszczu do zrumienienia bułki. Na półmisku przybieramy natkę pietruszki.

2. Zupa-krem ze szparagów

Składniki:

Ćwiartka kurczaka, 2 marchewki, 1 pietruszka, 1 por, 1/2 selera, cebula, 60 dkg szparagów, łyżeczka cukru, 1 łyżeczka masła, 2 żółtka, 1/2 szklanki śmietany, 1 łyżka posiekanego koperku, sól.

Przygotowanie:

Z kurczaka, warzyw i cebuli gotujemy rosół. Osobno gotujemy szparagi w niewielkiej ilości wody z dodatkiem cukru i masła. Kiedy są miękkie – wyjmujemy, odcinamy główki, a pozostałe szparagi przecieramy przez sito. Rosół, wywar ze szparagów i przetarte szparagi łączymy, zagotowujemy, doprawiamy solą, zaciągamy żółtkami rozbitymi w śmietanie. Podajemy w bulionówkach, do których wrzucamy odcięte główki szparagów i posypujemy koperkiem. Można do tego kremu podawać osobno grzanki z bułki lub groszek ptysiowy.

3. Rolada schabowa z serem

Składniki:

1 kg schabu, 30 dkg mielonej wieprzowiny z karkówki, 8 plastrów żółtego, ostrzejszego sera, 1/2 szklanki białego półwytrawnego wina, sól, pieprz, oregano i cząber, tłuszcz do pieczenia.

Przygotowanie:

Schab myjemy, osuszamy i rozbijamy na prostokąt (cienki płat), nacieramy solą, pieprzem, wstawiamy do lodówki na około 1 godzinę. Zmieloną karkówkę doprawiamy solą, pieprzem oraz oregano i cząbrem. Na rozbitym schabie układamy plastry sera, grubo na nich rozsmarowujemy farsz mięsny. Zwijamy roladę i albo szparagujemy, albo obwiązujemy nitką. Roladę układamy na natłuszczonej brytfannie grubo, pieczemy ok. 110 minut w piekarniku o temperaturze 180°C. Co jakiś czas polewamy winem, grubo potem wytworzonym sosem. Po upieczeniu i wystygnięciu, usunięciu nici – kroimy w poprzek na ok. 1 cm plastry. Podajemy na zimno z sosem świątecznym, chrzanowym.

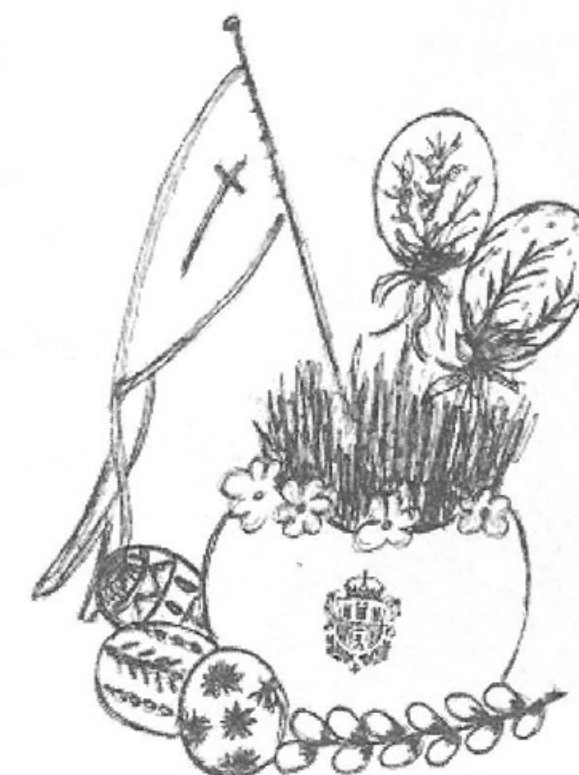
4. Kaczka pieczona z jabłkami i suszonymi śliwkami

Składniki:

Kaczka (chuda), 6 winnych jabłek, 15 suszonych śliwek bez pestek, sól, 2 łyżeczki majeranku, szczypta oregano, 2 łyżki masła, 2 łyżki oleju, 16 niewielkich ziemniaków.

Przygotowanie:

Umytą kaczkę nacieramy solą, majerankiem i oregano, wstawiamy na 3 godziny do lodówki. Jabłka myjemy, kroimy na ćwiartki, usuwamy gniazdko, śliwki moczymy i kroimy w paseczki. Po wyjęciu kaczki z lodówki nadziewamy ją jabłkami i śliwkami i zszywamy. Układamy na natłuszczonej olejem brytfannie, obkładamy plasterkami masła i wstawiamy do nagrzanego piekarnika. Pieczemy ok. 1 godz. 40 minut często polewając masłem – spod kaczki. Ok. 40 minut przed końcem pieczenia obrane ziemniaki, posypane solą i cząbrem wkładamy do brytfanny, żeby piekły się razem z kawką. Podajemy potrawę na gorąco, najlepiej z sałatką z czerwonej kapusty.



5. Sos śliwkowy

Składniki:

25 dkg suszonych bez pestek śliwek, 2 ząbki czosnku, 1,5 łyżki siekanego koperku, 1,5 szklanki bulionu rosolowego, sól, pieprz.

Przygotowanie:

Śliwki moczymy w małej ilości przegotowanej wody, następnie gotujemy w tej wodzie, w której się moczyły do miękkości, mielimy w maszynce, przecieramy przez sito, rozprowadzamy wywarem tak, aby sos miał konsystencję rzadkiej śmietany. Dodajemy roztarty czosnek, sól, pieprz oraz koperek i zagotowujemy. Ten sos podajemy do pieczonego drobiu, cielęciny.

6. Sos koperkowy

Składniki:

Szklanka śmietany (12%), 1 żółtko, sok z 1/2 cytryny, 1 łyżeczka musztardy serbskiej, 2 pęczki koperku, sól, cukier.

Przygotowanie:

Śmietanę mieszamy z żółtkiem i sokiem z cytryny. Dodajemy drobno posiekany koperek, doprawiamy musztardą, solą i cukrem.

Podajemy na zimno do jaj na twardo, wędlin, kurczaka.

7. Mazurek wielowarstwowy

Składniki:

1/2 kg mąki, 15 dkg cukru pudru, 25 dkg masła, 5 żółtek, 5 łyżek gęstej śmietany, 2 łyżki kakao, 1/4 laski wanilii utłuczonej w moździerzu.

Do przełożenia: 5 białek, 5 dużych łyżek cukru pudru, 10 dkg posiekanych orzechów włoskich, 5 dkg posiekanych migdałów, dżem morelowy.

Polewa: łyżka masła, 2 łyżki kakao, 4 łyżki mleka, 4 łyżki cukru pudru. Tłuszcz do blachy.

Przygotowanie:

Z mąki, masła, śmietany, żółtek, cukru i wanilii zagniatamy kruche ciasto, dzielimy na 3 części, do jednej dodajemy kakao. Z białek i cukru pudru ubijamy sztywną pianę. Na wysmarowanej tłuszczem blaszce układamy jedną część białego ciasta, smarujemy cienko dżemem morelowym, na to dajemy 1/2 ubitej piany, posypujemy posiekanymi orzechami i migdałami (bez lupin). Na tę warstwę nakładamy ciemne ciasto starte na grubej tarce, wylewamy drugą połowę ubitej piany, a na nią na grubej tarce ścieramy białe ciasto. Mazurek pieczemy w nagrzanym piekarniku ok. 35 minut. Po ostudzeniu smarujemy polewą z masła, cukru, mleka i kakao (rozpuszczamy składniki na wolnym ogniu). Dekorujemy dowolnie – np. półkami orzechów, migdałami i usmażoną skórką pomarańczową. □

Ks. Jan Szurlej Dobry Pasterz

Pamięci ks. arcybiskupa Eugeniusza Baziaka



Śp. ks. arcybiskup dr Eugeniusz Baziak urodził się 8 marca 1890 r. w Tarnopolu. Tam też uczęszczał do szkoły powszechnej. Żyjący jeszcze jego rówieśnik, ziomek i kolega z ławy szkolnej, lekarz z wykształcenia, przedstawił nam swego kolegę Eugeniusza jako bardzo żywego chłopaczka, starannie i religijnie wychowanego przez swych rodziców, ale bez żadnych symptomów kwalifikujących go do stanu kapłańskiego. Dopiero w gimnazjum tarnopolskim pod wpływem czarującego zetknięcia się z osobą ówczesnego proboszcza, a późniejszego arcybiskupa ks. dr. Bolesława Twardowskiego oraz swojego katechety, ks. prof. Michała Lewickiego, gimnazjalista Eugeniusz zaczyna poważnie, zostaje ministrantem. Zwraca na siebie uwagę otoczenia swoim duchem skupienia, modlitwy, cechuje go też wielka skromność, czystość, pewne onieśmienie wobec drugich, jak również jakże rzadko zdarzająca się w tym wieku – pokora. Jednym słowem – jest poważnym młodzieńcem o głębokiej kulturze. Nic więc dziwnego, że ksiądz proboszcz ocenia go jako najcichszego i najbardziej sumiennego ministranta. W roku 1908 zdaje maturę, a więc dojrzały umysłowo i duchowo zapisuje się na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i wstępuje do Arcybiskupiego Seminarium Duchownego, gdzie w blaskach prawdy i łaski Chrystusowej, spływającej z pastorału dwóch wielkich uczonych i świętobliwych arcybiskupów – Józefa Bilczewskiego, archeologa, znawcy rzymskich katakumb, miłośnika Eucharystii, jednego z pierwszych realizatorów Rerum Novarum Leona XIII z r. 1891 oraz dekretów św. Piusa X o wczesnej i częstej Komunii św. z r. 1905 i 1910, jak również Józefa Teodorowicza, autora licznych prac naukowych, człowieka tej miary co Rops czy Ricciotti – alumn Eugeniusz Baziak przygotowuje się do kapłaństwa, które sobie tak bardzo cenił przez całe życie i o którym pewnego razu – już jako biskup i rektor Seminarium Duchownego – tak powiedział do swych wychowanków kleryków: „Kapłaństwo jest tak wielkie, że już nic nie jest w stanie go powiększyć, trzeba mu tylko być zawsze wiernym”.

Był mu wiernym od chwili swoich święceń kapłańskich, które przyjął 14 lipca 1912 r. jako najmłodszy z kolegów, osobno w nadzwyczajnych i na owe czasy rewolucyjnych wprost warunkach i okolicznościach – bo w czasie Mszy polowej w bazylice, której sklepieniem był przepiękny lipcowy firmament niebieski, oświetlony promieniami spływającymi ze słonecznego reflektora. Swojemu wielkiemu poprzednikowi na arcybiskupiej stolicy, J. Bilczewskiemu, za łaskę kapłaństwa rewan-

kuje się wszczęciem procesu beatyfikacyjnego oraz szerzeniem kultu kandydata na ołtarze.

Po święceniach młody ks. Baziak pracuje w duszpasterstwie parafialnym, początkowo jako wikary w Żółkwi, a później jako administrator parafii w Tarnopolu. Dzięki osobistym zaletom oraz urokowi, jaki zawsze wywierał na otoczenie, jak również dzięki specjalnemu darowi ujawnianiu sobie wiernych – stał się prorokiem nawet w rodzinnym mieście.

W czasie pierwszej wojny światowej pełni też obowiązki duszpasterza wojskowego i z tego otarcia się o wojsko pozostanie mu na całe życie wojskowa dyscyplina przede wszystkim względem siebie, a następnie względem podwładnych. Dlatego też miał przez całe życie opinię raczej surowego ojca, bardzo sprawiedliwego, unikającego nawet cienia protekcji, mającego na uwadze na pierwszym miejscu sprawę i prawdę Chrystusową, której czuł się stróżem. Decyzje jego były przemyślane, przemodłone i zwykle nieodwołalne. Umiał nie tylko rozkazywać, ale też i słuchać swoich zwierzchników, którym okazywał szczególny szacunek i zszedł z tej ziemi jako vir orthodoxissimus Matris Ecclesiae.

W roku 1919 arcybiskup Bilczewski mianuje ks. Baziaka prefektem Seminarium Duchownego i na tym stanowisku – korzystając z bliskości uniwersytetu – pracuje naukowo, wieńcząc swoje studia doktoratem, uzyskanym na Uniwersytecie Jana Kazimierza w r. 1921.

Ponieważ ks. prefekt Baziak dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków, zostaje więc obdarzony nowym i trudniejszym stanowiskiem, a mianowicie wicerektora Seminarium Duchownego oraz profesora-katechety żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego, gdzie zasłynie jako pedagog z Bożej Łaski, choć jest kapłanem stosunkowo młodym i pracującym w środowisku raczej trudnym. Jedną z jego dawnych uczennic, dziś poważny profesor, o swoim księdzu katechecie Baziaku mówi tak: „Był kapłanem umiejącym zachować swoją godność, osobą swoją wywierał jakiś czar. Wobec nas zachowywał dystans, dlatego nie tylko bałyśmy się go, ale też szanowałyśmy i kochałyśmy go. Nie tylko uczył nas, lecz i wychowywał, a w swoich metodach pedagogicznych opierał się na znanym już wtedy i sławnym pedagogu Foersterze”.

W r. 1931 arcybiskup Twardowski wysłał go na kresy archidiecezji, do Stanisławowa – największego miasta diecezji po metropolii – jako proboszcza, gdzie będzie duszpasterzował przez dwa lata i zostawi po sobie pięknie odnowioną kolegiatę. Zabłyśnie tu takim talentem duszpasterskim, że Stolica Apostolska uhonoruje go godnością Protonotariusza Apostolskiego.

Jako proboszcz Stanisławowa tak sobie pozyska serca swoich wiernych, że na odchodne żegnać go będą rzewnymi łzami, choć i dla nich to nie było zaszczyt, że ich ojciec – jak go nazywali – dnia 15 września roku jubileuszowego 1933, w święto M. Boskiej Bolesnej



*Z okazji zbliżających się
Świąt Wielkiej Nocy
składamy życzenia radości,
zdrowia i pomyślności osobistej.*

*Niech te dni przebiegają w skupieniu,
zadumie i radości płynącej
ze Zmartwychwstania Pańskiego.*

*Redakcja „Semper Fidelis”
i Zarząd Główny TMLiKPW*

Rys. Jerzy Masior

zostaje przez Piusa XI wyniesiony do godności biskupiej. O tym zaskakującym go fakcie biskup nominat w dniu swojej konsekracji 5 listopada 1933 r. powie tak, jak niegdyś powiedział angielski biskup z XII wieku Tomasz Becket: „... kiedy zostałem wezwany do Metropolii, jechałem z takim uczuciem, z jakim jedzie oficer frontowy do sztabu po instrukcję, a tu tymczasem spada na moje barki ciężki biskupi krzyż”.

I odtąd przez 29 lat ten Krzyż Prawdy Bożej będzie się wbijał w jego serce i tak to czuło na wszystko i subtelne serce porani, że zamieni się ono w jedną wielką ranę i zostanie pokryte bliznami, jak pierś rycerza na wojnie.

Po konsekracji, jako tytularny biskup Foceański, zostaje sufraganiem arcybiskupa Twardowskiego i rektorem Seminarium Duchownego. Z tego okresu – jakby złotego w jego życiu – zasłynie jako gorliwy i bardzo pracowity wikariusz generalny swojego ordynariusza, jako kaznodzieja, a przede wszystkim jako wychowawca i artysta-rzeźbiarz powołań kapłańskich, które kształtował swoją osobowością, nacechowaną zawsze władztwem ducha nad ciałem, o wysokiej autodyscyplinie z poczuciem odpowiedzialności przed Bogiem i przed ludźmi.

Seminarium dla rektora Baziaka było przysłowiowym oczkiem w jego głowie, a w swych przemówieniach dla alumnów mówił często, że seminarium – to schola sanctorum, schola scientiae, a kto patrzyłby na nie inaczej, niech wie, że jego miejsce nie tutaj, bo Kościołowi nie chodzi o ilość, ale o jakość kapłanów i to o takich, którzy na pierwszym miejscu stawiają miłość Boga i bliźniego i w życiu dadzą pierwszeństwo nieskończoności przed doczesnością. O takie ideały nie tylko zabiegał, ale się też i modlił. Jeśli czasem kleryk zabłąkał się w późny wieczór do kościoła seminaryjnego – co się często zdarzało z urzędu tzw. zakrystianina – mógł ujrzeć na kościelnym chórze światło odbijające się od fioletu biskupiej piuski – to właśnie on polecał swoich adeptów do kapłaństwa Boskiemu Mistrzowi, który również był rektorem pierwszego seminarium i który swoich alumnów, prostych rybaków, przemienił w mówiących językami świętych apostołów całego świata i w rybitwy ludzi.

Na tym rektorskim stanowisku pomagał też materialnie nie tylko biednym klerikom, ale też świeckim akademikom, był przy tym bardzo dyskretny i delikatny, by

nie urazić godności osobistej młodzieńca. Postarał się też o wypoczynkowy dom wakacyjny dla kleryków niemających gdzie spędzać zasłużonych wakacji, co było dla nich wielkim dobrodziejstwem z jego strony. Odnowił też kościół seminaryjny, dając mu piękny ołtarz marmurowy, a kaplicę piękną rosenowską polichromię.

Z końcem akademickiego roku 1939 rezygnuje z rektorstwa Seminarium, a na swego następcę powołuje swego wychowanka, śp. ks. prof. dogmatyki dr. Stanisława Frankla, późniejszego męczennika hitlerowskiego okupanta. Zmiana ta została poddyktowana koniecznością większego poświęcenia się sprawom Archidiecezji oraz podeszłym wiekiem arcybiskupa Twardowskiego, któremu pomógł między innymi budować wspaniałą kościół M. Boskiej Ostrobramskiej.

Dzień 1 września 1939 r. rozpoczął jakby nowy najtrudniejszy rozdział w życiu arcybiskupa Baziaka. Tragedia ojczyzny i martyrologia polskiego narodu będzie też jego osobistym dramatem, bo w swych biskupich przemówieniach podkreślał, że jest nie tylko biskupem Kościoła rzymskokatolickiego, lecz również i synem polskiego narodu.

Kiedy w pierwszym dniu hitlerowskiej agresji na Polskę spadną pierwsze bomby między innymi i na Lwów, kiedy padną pierwsze trupy i pierwsi ranni zaczęli wołać o pomoc i ratunek, biskup Baziak osobiście pospieszył z pomocą kapłańską jako Chrystusowy sanitariusz nie zważając na własne niebezpieczeństwo. I odtąd będzie dzielił niedolę swoich diecezjan i kapłanów, aż do końca wojny. Swoim czułym i wrażliwym sercem pasterskim odczuwał bardzo boleśnie wszystkie ciosy uderzające w naród i Kościół, ale szczególnie boleśnie odczuł rozstrzelanie przez hitlerowskich najeźdźców zaraz po wkroczeniu do Lwowa pierwszych zakładników, rekrutujących się spośród profesorów Politechniki i Uniwersytetu

z ks. dr. W. Komarnickim na czele, zabranie gmachów Kurii i Seminarium, rozpędzenie kleryków, aresztowanie i zamęczenie wspomnianego już rektora ks. Frankla oraz – zwłaszcza pod koniec wojny – zdarzające się coraz częściej osławione łapanki i wywożenie na roboty młodzieży, masowe aresztowania i doraźne publiczne egzekucje, mordowanie kapłanów niejednokrotnie po kilku tygodniowo.

Kiedy przed owcami jego owczarni, a zwłaszcza rodzinami aresztowanych, stało widmo śmierci głodo-

wej, nakazał urządzenie przy wszystkich parafiach i klasztorach tzw. kuchni głodnych, w których wydawano codziennie setki obiadów, co oczywiście nie mogło się podobać okupantom, którzy wszędzie, a nawet i tu dopatrywali się niebezpiecznej organizacji. Nie obeszło się bez szykan i grózb. Ale biskup Baziak jest nieustraszony, staje się wszystkim dla wszystkich i niesie wszędzie nie tylko pociechę duchową, ale i pomoc materialną. Jeden z kapłanów, który przeżył więzienie i obóz, ze łzami w oczach, na wieść o śmierci Arcypasterza wspomina: „Byłem w obozie, stałem na apelu złamany i zmaltretowany, myślałem o mojej i innych beznadziejnej sytuacji, czułem się bardzo nieszczęśliwym i zapomnianym i w momencie wkradania się rozpacz w moje serce, nowy więzień, przybysz wręcza mi pewną kwotę pieniężną i zapisany świstek papieru – charakter pisma znany mi – ale kto to pamięta o mnie – czytam następujące słowa: „... trwaj i ufaj, umacniaj też innych, pamiętam o tobie i innych, modlę się za was i wam błogosławieństwo – wasz Eugeniusz”. To Arcypasterz jak Ojciec nie zapomniał swego kapłana, sam zbolaty i cierpiący umie pocieszyć drugich, bo jest pasterzem, który chętnie dałby nawet życie za owce swoje.

W roku 1944 Stolica Apostolska mianuje go tytularnym Arcybiskupem Pariańskim i koadiutorem cum iure secessionis Arcybiskupa Twardowskiego, po śmierci którego zostaje 22.11.1944 r. jego następcą, a więc Arcybiskupem Metropolity Lwowskiej. W swojej pierwszej mowie wygłoszonej do kapłanów, którzy przyszli złożyć swemu nowemu arcypasterzowi hołd, poleci między innymi otoczyć szczególną opieką ministrantów, z których w przyszłości będą się rekrutować powołania kapłańskie. Wskazał przy tym na siebie, bo i jego kapłaństwo zrodziło się z ministratury.

W kwietniu 1946 r. wyjeżdża do Lubaczowa i w maju tegoż roku razem z kardynałem Sapięgą współkonsekuje swojego kapłana, księdza prof. dr. Jana Stepę na biskupa tarnowskiego. Już wówczas kardynał Sapięha tak sobie upodobał Arcybiskupa, że w roku 1950 poprosił swojego współziomka – Eugeniusza – o pomoc w rządzeniu Archidiecezją Krakowską. Po śmierci Kardynała w lipcu 1951 r. został jego następcą i przez 11 lat jako bonus pastor nie tylko rządził swoją lubaczowsko-krakowską owczarnią, ale też nad nią czuwał i strzegł jej, bronił i modlił się za nią. Dla niej też – jak mawiał z humorem – podzielił swe serce na dwie części. Z tego tzw. krakowskiego okresu na szczególniejszą uwagę zasługują Misje całego Krakowa, bo dynamiką jego biskupstwa było właśnie to pełne poczucie odpowiedzialności przed Bogiem za powierzone mu dusze. Dużą też zasługą jego – o posmaku nawet historycznym – było i to, że Archidiecezja Krakowska otrzymała aż dwóch biskupów sufraganów, ks. dr. K. Wojtyłę i ks. dr. J. Groblickiego, których konsekrował osobiście. Współkonsekrował też z ks. prymasem Wyszyńskim i ks. arcybiskupem dr. Kominkiem swojego wychowanka ks. dr. W. Urbana sufragana wrocławskiego, a na trzy tygodnie przed śmiercią konsekrował ordynariusza tarnowskiej diecezji ks. biskupa dr. Jerzego Ablewicza.

Okres ten obfitował też w krzyże, z których najdotkliwiej poraniły pasterskie serce takie fakty, jak osławiony proces grupy księży z 1952 r. Odważną i męską postawę, zadającą kłam fałszywym oskarżeniom z tak zwa-

nego okresu stalinowskiego, podziwiał wtedy cały naród polski i cały świat, ale za ten podziw zapłacił tak, jak niegdyś św. Jan Chryzostom, opuszczeniem diecezji aż do października 1956 r. Po powrocie do diecezji wziął się bardzo energicznie do budowy kościoła w Nowej Hucie, ale kiedy cofnięto pozwolenie na budowę i zabrano plac pod kościół odpowiedział na te krzywdzące fakty z godnością nie tylko protestem, ale też spokojem, równowagą i modlitwą.

Jako Arcypasterz lwowski i krakowski okazał się też wielkim przyjacielem zakonów męskich i żeńskich, szczególnie cenili i opieką otaczał klasztory kontemplacyjno-klauzurowe, bowiem sam prowadził życie kontemplacji i wewnętrznej głębi, dlatego też nigdy się sam nie wysuwał, ani też pierwszego miejsca nie zajmował, ale czekał, aż mu powierzą – przyjacielu posłaj się wyżej. Zabiegał też o współpracę i dobre współżycie między klerem diecezjalnym i zakonem.

W grudniu 1958 r. obchodził swój biskupi srebrny jubileusz. Z tej okazji Ojciec św. Pius XII, za wierną służbę Bogu i Kościołowi, obdarzył jubilata godnością asystenta Tronu papieskiego. Uroczystości jubileuszowe odbyły się w Krakowie i w Lubaczowie, bo był przecież Arcypasterzem obydwu archidiecezji. Wzięli w nich udział i biskupi śląscy, z którymi łączyła go przyjaźń jeszcze z czasów przedwojennych. W ramach tej przyjaźni udzielał w czasie wojny azylu śląskim kapłanom, szukającym schronienia przed hitlerowskim terrorem. W drodze rewanżu arcybiskup Baziak w listopadzie 1960 r. wziął udział w diamentowych uroczystościach kapłańskich biskupa Adamskiego oraz w kwietniu 1962 r. w srebrnym jubileuszu biskupa Bieńka.

W roku 1960 pojechał do Rzymu, ad limina apostolorum, aby zdać Namiestnikowi Chrystusowemu liczbę z włodarstwa swego. Ojciec Święty Jan XXIII znając widocznie jego jakby specjalne uczulenie na sprawy etyczno-moralne kleru oraz zabieganie o wewnętrzną dyscyplinę kapłańską, powołał go na członka komisji soborowej dla spraw karności kleru i wiernych.

Wrócił z Rzymu pokrzepiony duchowo, ale osłabiony fizycznie. Zaniemógł poważnie na zawał serca w kwietniu 1960 r., były dni bardzo groźne, ale tym razem śmierć skapitulowała przed jego osobistą energią i medycyną. Widać Bóg go jeszcze nie potrzebował. Arcypasterz nie tylko wyzdrowiał, ale jakby odmłodził. Zawsze bardzo pracowity – teraz zaczął się jakby dwoić i troić. Nikomu nie odmawiał swoich usług, ale jak jego Mistrz chciał służyć wszystkim i tę gotowość arcypasterskiego posługiwania doceniła też Prześwietna Kapituła Krakowska, na prośbę której Stolica Apostolska zamianowała go Metropolitą Krakowskim, nie zmieniając w niczym stanu dotychczasowego.

Osobiście załatwiał wszystkie sprawy urzędowe, nie pozwalał się nikomu w niczym wyręczać. Nie była to wcale jakaś starcza zachłanność, ale tak mu właściwa przez całe życie kapłańsko-biskupia gorliwość, która go powoli, ale systematycznie, zżerała. Jest to zresztą wspólna cecha starych ludzi, że są bardzo pracowici, jakby się bali, aby o nich nie mówiono, że za darmo chleb jedzą, jakby chcieli zrobić jeszcze coś na zapas. Na przykład dnia 3.06.1962 r. poświęcał kościół w Tarnoszyńcu, pow. Tomaszów Lubelski, a nazajutrz był już w Zakopanem na srebrnym jubileuszu kapłańskim swo-



Brązowa tablica abp. Baziaka.
Dar papieża Jana Pawła II.

ich wychowanków, zadziwiając wszystkich fenomenalną wprost pamięcią minionych faktów i wydarzeń oraz swym ojcowskim i przyjacielskim sercem.

Duch Arcypasterza był jeszcze bardzo silny, ale ciało coraz bardziej słabło i to spalanie się dla chwały Boga i zbawienia Jego dusz musiało się zakończyć tak, jak się zakończyło. Dnia 12.06.1962 r. wyjechał do Warszawy i tam po dwudniowej konferencji Episkopatu, w nocy z 14 na 15 czerwca zmarł nagle na atak serca. Odszedł tak szybko, że nie zdołano mu nawet udzielić pomocy lekarskiej, ale pośpieszyła mu z pomocą Ta, którą wzywał w ostatniej chwili swojego życia, Mater Dolorosa. Odszedł niespodziewanie i w chwili, kiedy wszystko raczej przemawiało za długimi jeszcze latami, odszedł dosłownie na miesiąc przed swoim złotym jubileuszem kapłańskim, który miał obchodzić 14 lipca 1962 r., a do którego gotował się sam i kapłani obu diecezji. Padł na posterunku jako semper fidelis miles Christi i jako następca dwóch świętych biskupów: Jakuba Strepy – pokornego mnicha i Stanisława – nieustraszonego męczennika. Pierwszego naśladował w pokorze, a drugiego w nieugiętym męstwie, obu – w wielkiej pobożności i świętobliwości życia.

Przez swoje kapłańskie pięćdziesięciolecie był dla nas solą, światłem i jasnym drogowskazem, orientującym nas, którędy wiedzie droga do Chrystusa.

Był dla nas przysłowiową indiańską górą, o której Indianie tak piszą: – W kraju naszym znajduje się góra, która jest wyższa niż wszystkie inne w jej sąsiedztwie. Wszyscy Indianie ją znają, znali ją też przodkowie nasi. Gdyśmy jeszcze dziećmi byli, biegaliśmy gdzieśmy chcieli bez obawy, że się zgubimy, jak długo widzieliśmy tę górę, która nam wskazywała drogę do naszego domu. Później wyrosliśmy, polowaliśmy na zwierza, walcziliśmy przeciw innym szczepom, przeciw biegłemu człowiekowi, tropiliśmy nieprzyjaciela po górach i dolinach. Serce nasze nie trwożyło się o dobro dopóki

mogliśmy tę górę widzieć, byliśmy pewni, że trafimy do naszego domu, bośmy ją znali, jako bezpieczny drogowskaz, który nigdy nie sprzeniewierzył się swojemu obowiązkowi. Na jej widok serca nasze uderzały radośniej, że dom nasz jest blisko. W zimie kiedy cała ziemia była białym płaszczem pokryta, poznawaliśmy naszą górę po wysokości. Nieraz ciemne chmury się nad nią kłębiły, zasłaniały jej głowę przed naszymi oczyma, a ogniste strzały wylatywały z nich i raniły jej zbocza, grzmoty zaś wstrząsały nią od stóp do głów, ale burza przeszła, a góra zawsze stała na swoim miejscu. –

Tą górą jest czarna suknia (tak Indianie nazywają kapłana). Jego serce jest mocne jak skała: on się nie zmienia, on mówi do nas słowa prawdy i my mu wierzymy. Zawsze jesteśmy pewni naszej drogi, dopóki na niego patrzymy jako na naszego przewodnika. I taką górą, która nas do Boga przez 50 lat prowadziła, był śp. Arcypasterz-Jubilat.

Dnia 18 czerwca 1962 r. śp. ksiądz arcybiskup Baziak odbył swój ostatni ingres do Katedry Wawelskiej, aby nazajutrz – po dniach trudów i męki – spocząć jako ostatni arcybiskup lubaczowski i krakowski w kaplicy Zebrzydowskich, do której zaprowadziły go niezliczone rzesze wiernych, poprzedzone przez przeszło tysiąc kapłanów, przez księży profesorów KUL-u z ks. rektorem dr. M. Rechowiczem na czele, przez prawie cały dostojny Episkopat wraz z Jego Eminencją ks. kardynałem i Prymasem Polski dr. Wyszyńskim, który nad trumną zmarłego Arcypasterza rozwinął 8 responsum brewiarzowe z dnia św. Stanisława Biskupa:

„Pastor cadit in gregis medio – Dormit sponsus in sponsae gremio – Mater plorans gaudet in Filio, quia vivat victor sub gladio.”

Tę garść wspomnień ofiaruje swojemu Arcypasterzowi wdzięczny za Sakrament Kapłaństwa otrzymany z Jego ręki ks. dr Jan Szurlej. □

się, aby sfotografować „panią łosiową”, która spokojnie żuje sobie trawę niedaleko drogi – tu polowanie jest zabronione, więc jej nikt nie wystraszył. Za drzewami biega mały, również niewystraszone, chociaż na drodze zebrała się już spora grupa ludzi, korzystających z okazji sfotografowania tych zwierząt w naturalnym środowisku.

Już niedaleko miasteczko Barry's Bay – polskie miasto o angielskiej nazwie. Mijamy drogi i ulice o polskich nazwach: Biernacki Road, Cybulski Road, Laskowski Road, Lepiński Road, Kowelski Road, Olszewske Road. W centrum Barry's Bay stoi duży pomnik pułkownika Żurakowskiego, obok model jego samolotu Arrow, na którym dokonywał „cudów”. Pułkownik Janusz Żurakowski jest jednym z najbardziej znanych Polaków w Kanadzie, a pochodzi z Kresów Wschodnich. To już dziś legenda polskiego, angielskiego i kanadyjskiego lotnictwa. Po ukończeniu Szkoły Podchorążych w Dęblinie służył przed wojną w 6 pułku lotniczym we Lwowie. W czasie wojny był uczestnikiem kampanii wrześniowej i Bitwy o Anglię. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych (trzykrotnie), Krzyżem Komandorskim Orderu RP oraz brytyjskimi odznaczeniami wojskowymi. Po wojnie musi zostać w Anglii, jako że jego



Pod pomnikiem pułkownika Janusza Żurakowskiego w Barry's Bay. Październik 2005 r.

zasłużonych kolegów, którzy wrócili do Ojczyzny, gdzie na odmianę zapanował totalitarny system komunistyczny, więziono bez wyroku lub skazywano na śmierć za rzekomą zdradę. Pułkownik Żurakowski w okresie pobytu w Boscombe Down utwierdza swą pozycję pilota doświadczalnego, w 1947 roku angielska firma Gloster Aircraft Co. proponuje mu pracę, na co się decyduje. W 1948 roku udaje mu się połączyć ze swą pierwszą sympatią z czasów przedwojennych i biorą ślub w Paryżu, dokąd Hance cudem udaje się wyrwać ze stalinowskiego reżimu w Polsce. Po sprowadzeniu żony do Anglii nadal pracuje jako pilot myśliwski i doświadczalny – oblatwał około 100 nowych konstrukcji lotniczych, poprawił rekordy szybkości, a jego pokazy akrobacji w Farnborough przeszły do legendy. W 1952 roku nawiązał kontakt z kanadyjską firmą lotniczą i tegoż roku z żoną i dwoma synami wyjeżdża do Kanady i zaczyna pracę pilota doświadczalnego w zakładach lotniczych AVRO – gdzie był oblatywaczem prototypu myśliwca CF-105 Avro-Arrow. Przekroczył na nim barierę dźwięku i przeszedł do historii kanadyjskiego lotnictwa. Niestety, interesy decydentów sprawiły, iż wydano decyzję o zniszczeniu prototypów tych najnowocześniejszych samolotów, a 13 tysięcy pracowników Zakładów Lotniczych AVRO straciło pracę. Pułkownikowi Żurakowskiemu proponowano pracę w Stanach Zjednoczonych w roli eksperta prób lotniczych. Propozycji tej jednak nie przyjął i postanawiają wraz z żoną znaleźć spokojne miejsce dla rodziny na Kanadyjskich Kaszubach. Niedaleko miasteczka Barry's Bay nad brzegiem jeziora Kamaniskę wybudowali ośrodek wypoczynku wakacyjnego i nazwali go Kartuzami.

Wkład pułkownika Żurakowskiego w rozwój kanadyjskiego lotnictwa nie został zapomniany. Jest bohaterem kilku filmów, książek, encyklopedii kanadyjskiej. Międzynarodowe Stowarzyszenie Pilotów Doświadczalnych

w Los Angeles umieściło jego nazwisko na liście najwybitniejszych pilotów wszech czasów. Jego imieniem nazwano nowy budynek Wojskowego Ośrodka Prób Lotniczych w Cold Lake w prowincji Alberta. Jego podobizna zdobi kanadyjską dwudziestodolarówkę. Pułkownik Żurakowski został wierny polskiemu Kaszubom w Kanadzie – spoczywa na cmentarzu polskim w Barry's Bay.

Kanadyjskie Kaszuby

Ta ziemia należała kiedyś do indiańskiego plemienia Madawaska, a krajobrazem przypomina polskie tereny spod Kościerzyny i Bytowa. Kiedy w drugiej połowie XIX wieku rząd kanadyjski zachęcał do osiedlania tej części Kanady, w roku 1859 osiedliła się tutaj pierwsza zwarta grupa osadników z Pomorza. Wygnani prześladowaniem polskości przez Prusaków uciekali ze swych wiosek, werbowani przez agentów Towarzystwa Żegluga Morskiej w Hamburgu i Bremie. Kiedy zdecydowani wchodzić już do bydłych ładowni i płynęli przez ocean ponad trzy miesiące w warunkach zupełnie niepodobnych do tego co im obiecywano, w głodzie i chłodzie, mieli jednak nadzieję na lepsze życie. Kiedy dotarli do hrabstwa Renfrew wiedzieli już, że dla nich zostały najgorsze tereny po osiedleniu się tutaj osadników angielskich, szkockich i irlandzkich. Dla polskich uchodźców z Kaszub zostały kamieniste, porośnięte gęstą puszcza działki, a ziemię tę nazwano Hopefield – polem nadziei. Dzisiaj jedziemy tędy wygodną drogą asfaltową, wtedy 14 polskich rodzin – 57 osób, z tobołkami na plecach ruszało przez wąską ścieżkę w lesie pełną ogromnych kamieni, powalonych drzew, splątanych gałęzi. Szli do swego „pola nadziei”, znajdowali wytyczone granice swych działek, kłękali i podnosząc głowy ku kanadyjskiemu błękitnemu niebu prosili Boga o pomoc w ich nieludzkiej pracy. Często z braku narzędzi karczowali teren, aby zasiać garść ziarna, posadzić ziemniaki, które nie chciały rosnąć pod kamieniami. Ileż potu trzeba było wylać aby żyć. Kolejne fale uchodźców tworzyły nowe skupiska; na tych terenach powstało miasteczko Hagarty, które później nazwano Wilno, bo pierwszy proboszcz ich parafii pochodził z Wilna. Dziś trzy polskie parafie – Wilno, Barry's Bay i Round Lake Centre skupiają około 3 tysięcy osób. Pan Stanisław Stolarczyk – reporter, pisarz, autor przewodników turystycznych m.in. „The Polish Geographical Names in Canada”, a także kanadyjskiej części „Polish Heritage Travel Guide to USA and Canada” oraz dokumentalista polskich cmentarzy w Kanadzie, USA i na Kresach Wschodnich, autor wielu książek, m.in. „Polska mało znana”, „Gdzie stopy nasze”, „Tańcząc na Wulkanie”, jest również autorem książki „Gdy wspominam Kaszuby”. Ta książka poparta dokumentami, to źródło, do którego możemy sięgnąć, aby poznać historię osadnictwa polskiego i utrwalać polskości na Kanadyjskich Kaszubach. Po II wojnie światowej ogromną rolę w tym względzie mieli tułacze polscy z Kresów Wschodnich, którzy nie mogli wrócić do swoich domów i rozproszeni zostali po całym świecie. Przybyli do Kanady i związali się również z polskimi Kaszubami w Kanadzie przez emigracyjne harcerstwo o przedwojennych polskich tradycjach i Szare Szeregi z Powstania Warszawskiego. Założycielem pierwszego Kręgu Starszoharcerskiego „Tatry” był wła-

Helena Wiewiórska

Kresowanie na obczyźnie

O Ontaryjskich Kaszubach opowiedzieli mi Kresowanie z Kanady w czasie Zjazdu „Afrykańczyków” we Wrocławiu tuż przed moim odlotem do Kanady we wrześniu ubiegłego roku.

Będąc w Thunder Bay przeczytałam dwie książki „Gdy wspominam Kaszuby” Stanisława Stolarczyka i autobiografię Janusza Żurakowskiego „Nie tylko o latach”. Zafascynowana wielkimi bohaterami tych książek, którzy większą część swego życia związali z Ontaryjskimi Kaszubami postanowiłam tam pojechać. W wyprawie na Kaszuby towarzyszy mi moja rodzina – Zosia, Tadeusz i Amanda i chociaż z Alton na Kaszuby jest kawał drogi, silny Path Finder szybko pokonuje kilometry na wspaniałych kanadyjskich drogach, a ja znowu mam okazję podziwiać piękno kanadyjskiej przyrody. Jedziemy przez cudownie kolorowe o tej porze roku lasy, na mijanych między wzgórzami jeziorach pływają bobry, przenosząc pocięte przez nie kłody drzew na budulec swoich siedlisk. W pewnej chwili zatrzymujemy

śnie Lwowianin pan Jerzy Grodecki, który po tułaczce i pobycie na nieludzkiej ziemi, potem w Iranie i Libanie, nigdy nie przestał być harcerzem, a Kaszuby były jego ulubionym miejscem. Harcerze z Kręgu „Tatry” dotarli do kanadyjskiego Wilna w 1951 roku, a w 1952 zorganizowano tu Zjazd Instruktorów, na którym dyskutowano nie tylko o sprawach harcerskich, ale też o przyszłości Polonii i jej zadaniach w Kanadzie, jak wciągnąć do pracy polonijnej młodzież urodzoną w Kanadzie. W książce p. Stolarczyka „Gdy wspominam Kaszuby” przewija się wiele nazwisk wspaniałych działaczy harcerskich i chwala im za to, co dla harcerstwa i polskości dokonali. Mnie zafascynowała postać druha Smoka, harcmistrza, franciszkanina ks. Rafała Jana Grzondzela o zakonnym imieniu Ignacy i jego wielkich dokonaniach dla polskości Kanadyjskich Kaszub. Zresztą wielość i wielkość jego dokonań starczyłoby na kilka wspinających życiorysów.

We wrześniu 1939 roku uciekając przed Niemcami dotarł do Zbaraża, gdzie spotkał swego brata lekarza, urządzającego szpital dla rannych. 17 września w Zbarażu byli już Sowietzi. Ciężar spadł z serca braciom Grzondzielom, gdy usłyszeli: „my bracia idiom na Germania”, ale wkrótce złudzenie przysło. Bolszewicy kazali polskim żołnierzom złożyć broń. Ksiądz Rafał wymknął im się, ale kiedy oficer radziecki go dostrzegł, widząc zakonny habit wyciągnął z kabury pistolet i krzyczał: „swolocz, pijesz krew ludu pracującego!”. Godna postawa księdza Rafała zaimponowała mu jednak i nie zastrzelił go. Ksiądz Rafał przebiera się w cywilne ubranie i z bratem postanawiają uciekać. Zmyliwszy czujność sowieckich wartowników docierają do Tarnopola, potem na Polesie. W drodze na północ zanocowali u proboszcza w Kobryniu. Ten poprosił O. Rafała, aby nazajutrz wygłosił w kościele kazanie. Kościół był pełen, a O. Rafał chcąc wlać otuchę w serca mówił o potrzebie wiary w to, że Polska ocaleje. Po mszy, pod kościołem podeszła do niego wielka pisarka polska Maria Rodziewiczówna i powiedziała: „Tym kazaniem wrócił mi ksiądz wiarę w sens życia – dziękuję”. Ksiądz Rafał podsunął notes prosząc o autograf. Napisała: „Ponad potęgą ziemską jest Pan”. Jej przepiękne, przepojone patriotyzmem książki były u nas w czasie komuny na indeksie, wyśmiewane przez aktywistów partyjnych i tzw. partyjne elity.

Dalsza droga na północ stawała się coraz bardziej ryzykowna, więc kierują się na zachód i docierają aż do Chorzowa na Śląsku. Tu organizują pomoc dla rodzin wojskowych, a także pomagają w wydawaniu tajnej gazetki. Niestety brat zostaje aresztowany, a Gestapo jest już na tropie księdza Rafała. W 1940 roku ucieka na Węgry, następnie do Aten, gdzie pełni funkcję kapelana i wikariusza generalnego dla Polaków w Grecji. W czerwcu 1940 roku z polskimi żołnierzami-tulaczami pobitymi we wrześniu 1939, ale pragnącymi dalej walczyć u boku aliantów, płynie do Libanu, potem Syrii wierząc, że będą walczyć u boku Francuzów. Po zdradzie rządu Vichy francuska Syria i Liban muszą się temu podporządkować. Polacy jednak nie kapitulują i nie dają się rozbroić – postanawiają teraz walczyć u boku Brytyjczyków. Ksiądz Rafał był teraz z Karpacką Brygadą na piaskach Egiptu i w Palestynie. I tu miał ręce pełne roboty – odprawiał msze święte dla żołnierzy

i słuchał spowiedzi siedząc na jakimś kamieniu. Był motorem budowy Domu Polskiego w Jerozolimie i jego dyrektorem, a kiedy Armia gen. Andersa przybywa ze Związku Sowieckiego zostaje kanclerzem Kurii Polowej Wojska Polskiego w Bagdadzie, należąc do najbliższego otoczenia JE biskupa polowego Józefa Gawliny i włącza się do wielkiej pracy patriotycznej. Wraz z żołnierzami przybyli ze Związku Sowieckiego ich rodziny – młodzież, dzieci potrzebujące opieki. Organizowano polskie szkoły, hufce junackie i harcerstwo. Powstała Rada Związku Harcerstwa Polskiego na Bliskim Wschodzie. W 1940 roku odbywa się Zlot Harcerzy w Tel Awiwie, a w 1941 roku w Jerozolimie, gdzie w imieniu harcerzy O. Rafał zawiesił z prawej strony XIII Stacji Drogi Krzyżowej harcerskie wotum – srebrny harcerski krzyż. Kiedy Duszpasterstwo Polowe Wojska Polskiego na Bliskim Wschodzie powierzyło O. Rafałowi opracowanie modlitewnika dla żołnierzy, przydały się sprzed wojny studia polonistyczne. Modlitewnik „Panie pozostań z nami” był tak popularny wśród żołnierzy, że do czekał aż ośmiu wydań.

Następnie O. Rafał Grzondziel zgłosił się jako kapelan w oddziałach liniowych i z nimi przebył całą kampanię włoską II Korpusu biorąc udział we wszystkich jego akcjach wojennych – Monte Cassino, Wybrzeże Adriatyku, Bolonia. Jak trudna była droga do Rzymu wiemy już z wielu źródeł historycznych. Ksiądz Rafał w czasie ataku naszych żołnierzy na Monte Cassino znajdował się w 1 kompanii sanitarnej. Z gór znoszono mu setki rannych żołnierzy, którym udzielał rozgrzeszenia in articulo mortis, grzebał poległych, a także pełnił często rolę sanitariusza, bo brakowało ludzi do opatrywania ran. Także biskup Gawlina pracował jako pomocnik, bandażował, zakładał opatrunki, dźwigał nosze z rannymi. Krew polskich żołnierzy nie poszła na marne, droga na Rzym została otwarta, a na szczycie Monte Cassino załopotana polska flaga. Następnie wybrzeżem Adriatyku zdobywając Ankony szli na Bolonię. Ksiądz Rafał Grzondziel zostaje mianowany szefem Duszpasterstwa Grupy RUD dowodzonej przez gen. Klemensa Rudnickiego. Dzięki pamiętnikowi prowadzonemu przez O. Rafała można odtworzyć nastrój i groźbę w czasie zdobywania Bolonii. Kiedy po zwycięskiej bitwie oddziały Wojsk Polskich II Korpusu wkroczyły o 6 rano 21 maja 1945 roku do śródmieścia Bolonii – ksiądz Rafał Grzondziel zawiesił biało-czerwoną flagę na szczycie wieży na znak, że Polacy pierwsi wkroczyli do miasta. W kilka dni później Bolonia uhonorowała polskich żołnierzy – tłumy mieszkańców zgromadziły się w gotyckiej świątyni. Kiedy nadjechał gen. Anders, arcybiskup Bolonii nałożył stulę Ojcu Rafałowi, aby w imieniu JE ks. Biskupa Polowego Wojska Polskiego celebrował mszę świętą. Ksiądz Rafał miał wtedy wielką tremę. W tym samym dniu otrzymał z rąk rektora Uniwersytetu w Bolonii – jednej z najstarszych uczelni świata, powstałej w 1089 roku – dyplom Honoris Causa. Władze Bolonii nadały polskim oficerom tytuł: Honorowy Obywatel Miasta Bolonia, gdzie wśród takich nazwisk jak gen. Anders, gen. Duch, gen. Sulik, gen. Rudnicki jest również nazwisko Cap. Grzondziel Raffaele. Wojna się skończyła, a O. Rafał dalej nosił żołnierski mundur. Mianowano go Kapelanem Garnizonu Wojsk Alianckich w Rzymie. Młody ksiądz-żołnierz chodził po wiecznym

mieście, podziwiał zabytki i tęsknił za Polską. Wciąż tkwiła w nim dusza polskiego harcerza – w 1946 roku był jednym z organizatorów Zlotu Harcerzy Polskich w Rzymie (honorowym przewodniczącym Zlotu był gen. Anders). Następnie organizuje konferencję instruktorską ZHP nad jeziorem Como. W tym samym roku decyduje się na wyjazd z Włoch do Anglii, gdzie było już wielu zdemobilizowanych żołnierzy II Korpusu, którzy wiedzieli, że nie mogą wrócić do Polski. Straszne były rozterki naszych żołnierzy – niedawno jechali z Syberii do oddziałów gen. Andersa, bili się pod Tobrukiem, Monte Cassino, Ankony, Bolonią, pewni że wejdą do Polski z rozwiniętymi sztandarami... Teraz nie wiedzieli co z sobą zrobić. O. Rafał zaczyna studia psychologii eksperymentalnej w Oksfordzie. W 1948 roku przełożeni decydują o jego wyjeździe do Chicago. Z mundurem wojskowym w walizce, z dystynkcjami majora Wojska Polskiego, z baretką Krzyża Wirtuti Militari V klasy, z odznaczeniami bojowymi polskimi, brytyjskimi, francuskimi, włoskimi, mianowany głównym kapelanem ZHP na wychodźstwie.

Ze Stanów Zjednoczonych, gdzie był wykładowcą w Quincy College w Illinois z tytułem magistra nauk społecznych ksiądz Rafał Grzondziel przyjechał do Kanady w 1952 r. i zaczął studiować w Ottawie prawo kanoniczne. Wtedy to druh Smok zwierzył się druhowi profesorowi Wiktorowi Szyryńskiemu, że chciałby zainwestować swoje oszczędności z czasów, gdy był kapelanem wojskowym. Druh Szyryński miał doświadczenie w instruktorskiej pracy harcerskiej z obozów w Afryce, po tułaczce wojennej znalazł się w Ottawie i koordynował pracę harcerstwa w Kanadzie. Wtedy to dwaj druhowie ustalili kierunek harcerskiego osadnictwa Kaszuby, gdzie ksiądz Rafał postanawia wybudować Katolicki Ośrodek Młodzieżowy. Profesor Szyryński był bardzo zadowolony z pomysłu księdza Rafała. Wiele w tych początkach pomógł księdzu Grzondzielowi ksiądz Piotr Biernacki, proboszcz polskiej parafii w Barry's Bay pochodzący z rodziny miejscowych Kaszubów. To dzięki niemu O. Rafał poznał miejscowych Kaszubów, którzy od początku zaangażowali się w jego dzieło. Razem z nimi i zaprzyjaźnionym wykładowcą na Uniwersytecie Ottawskim, wybitnym geografem polskiego pochodzenia profesorem Jostem O. Rafał znajduje w 1953 roku miejsce pod budowę Franciszkańskiego Ośrodka Młodzieżowego nad jeziorem Wadsworth. Ksiądz Rafał nie rzucił słów na wiatr, jak mówił profesor Jost – jako człowiek czynu realizuje swoje zamiary. Już w lipcu 1953 roku kupuje od miejscowych Kaszubów farmę z zabudowaniami, dostaje zezwolenie prowincjału na założenie Katolickiego Ośrodka Młodzieżowego i na budowę kaplicy, która ma być integralną częścią tego ośrodka, a także pismo od prowincjała Franciszkanów mianujące księdza Rafała dyrektorem tegoż ośrodka. Po załatwieniu tych wszystkich formalności czekała księdza ciężka praca, także fizyczna. Zaprawiony w czasie wojny, przyzwyczajony do niewygód ostro wziął się do pracy, a pomagali mu w tym miejscowi Kaszubi i harcerze przybywający na jeszcze wtedy dzikie kanadyjskie Kaszuby. Krąg Starszoharcerski „Tatry” zbiera się na biwak u księdza Grzondzela. Po pierwszym pobycie i pomocy w budowie kaplicy Ośrodka, harcerze postanawiają tutaj urządzić Zjazd Starszego Harcerstwa. Zastęp biwakowy

„Tatry” jest dumny, że mógł dolożyć cegielkę do budowy Ośrodka. Takie to były początki zainicjowanej przez księdza Grzondzela pracy wychowawczej na Kaszubach. Zanim ksiądz Rafał tu przyjechał nie było dróg, elektryczności, ale wytłumaczył władzom, że jeśli nad jeziorem Wadsworth ma się rozwijać turystyka, to musi być przejezdna droga i elektryczność. I tak w 1954 roku na Kaszubach zapaliła się pierwsza żarówka. Najpierw w Katolickim Ośrodku Młodzieżowym i u okolicznych Kaszubów. Linię elektryczną z Barry's Bay Kaszubi nazwali Father Ignatius Line na cześć O. Rafała (zakonne imię Ignacy). Kiedy O. Rafał przekonał się, że nie może liczyć na pomoc z zewnątrz, a pieniądze, które otrzymywał z Wielkiej Brytanii dawno się skończyły, zrezygnował z wzniesienia dużego kościoła, a przy pomocy miejscowych drwali powstała kaplica Matki Boskiej Anielskiej, gdzie ołtarz powstał ze ścinków kory brzozy pomimo protestów Kaszubów, że „szlabzy” to kiepski materiał na ołtarz. A jednak kaplica wyglądała pięknie i w wigilię Bożego Narodzenia 1954 roku O. Rafał odprawił tu pasterkę dla miejscowych mieszkańców Ontaryjskich Kaszub, a kiedy popłynęły polskie kołody i śpiewane na kaszubską nutę „Witaj Jezulu, witaj kochanie” to w tym stworzonym tutaj kawałeczku Polski byli szczęśliwi.

Coraz częściej przyjeżdżali tutaj Polacy z wielkich miast kanadyjskich: Toronto, Montrealu, Ottawy, ludzie, którzy po przeżyciach wojennych na Kaszubach znajdowali atmosferę przypominającą im Ojczyznę i dom rodzinny. Kiedy kaplica nie mogła już pomieścić wszystkich wiernych – miejscowych Kaszubów, harcerzy, „letników”, O. Rafał przygotował z miejscowymi stolarzami nową kaplicę bez ścian, bez dachu, ale z zadaszonym ołtarzem, gdzie na jedynej tylnej ścianie umieścił Czarną Madonnę. Wśród sosen drewniane ławki tworzyły szeroką nawę tego leśnego kościoła nazwanego „Katedrą pod Sosnami”.

Ksiądz Grzondziel postanowił, że Kaszuby muszą mieć swoją oficjalną nazwę. Miejscowi Kaszubi nie lubili tej nazwy i uważali ją nawet za obraźliwą, bo przypominała im traktowanie pierwszych osadników z Kaszub i trudne początki w Kanadzie. Ksiądz Grzondziel wytłumaczył im, że ich przodkowie byli wielkimi polskimi patriotami i że to zaszczyt być Kaszubem, a okolice te do złudzenia przypominają polskie Kaszuby. Jakże szczęśliwy był Father Ignatius, jak go tu po angielsku nazywano, kiedy po napisaniu listu do Canadian Board Geographical Names of Canada, w którym prosił o zatwierdzenie nazwy Kaszuby przez rządową komórkę do spraw nazewnictwa geograficznego – 14 czerwca 1960 roku otrzymał pozytywną odpowiedź w tej sprawie. Polski kartograf, autor wielu atlasów geograficznych w Kanadzie Henryk Mindak naniósł nazwę Kaszuby na topograficzną mapę arkusza Barry's Bay.

Następna inicjatywa O. Rafała to założenie poczty Kaszuby – aby utrwalić nazwę osady w wykazach poczt na świecie i pieczętą o treści: KASZUBY – ONT – CANADA. Uroczyste otwarcie poczty nastąpiło 1 czerwca 1961 roku, a ojciec Rafał Grzondziel został jej pierwszym pocztmistrzem! Ta poczta stała się oknem na świat – filateliści z całego świata prosili o osteplowanie znaczków pieczęcią Kanadyjskich Kaszub. Aby Ośrodek Młodzieżowy był czynny cały rok, ksiądz Rafał

zaplanował powstanie wyciągu narciarskiego. Z miejscowymi Kaszubami wykarczował kawał lasu na stoku góry, kupił stary samochód osobowy z dobrym silnikiem, który służył jako napęd wyciągu. Pracy było bardzo dużo zanim powstał oryginalny wyciąg narciarski w Madawaska Valley. Prasa kanadyjska i polonijna wyrażały się w superlatywach o nowym wyciągu Kaszuby Ski Hills. Przyjeżdżają tu harcerze goszcząc w „Stodole” u O. Rafała. Są organizowane zawody narciarskie, biegi treningowe, jest również szkoła narciarska dla początkujących – to wszystko pod fachowym okiem instruktora z Austrii. W 1954 r. ksiądz Grzondziel powołuje Klub Narciarski – Kaszuby Ski Club. Tak więc Kaszuby stają się ośrodkiem całorocznego obozowania.



Nowy cmentarz w Kanadyjskim Wilnie. Grób z epitafium księdza Rafała Jana Grzondziela. Październik 2005 r.

Z okazji 25-lecia kapłaństwa 19 czerwca 1961 roku ksiądz Rafał Grzondziel dostaje list z gratulacjami i błogosławieństwem od wielkiego prymasa Polski ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego. Po decyzji przełożonych przenosi się do parafii Woodstock w prowincji Ontario, gdzie wraz z parafianami buduje kościół Św. Krzyża, w którym w 1969 roku ksiądz kardynał Wojtyła, późniejszy papież Jan Paweł II, poświęcił sławny Krzyż Ery Atomowej. W sierpniu 1979 roku trąba powietrzna zniszczyła kościół. Po jego odnowieniu w 1981 roku O. Rafał przechodzi na emeryturę i wraca na swoje ukochane Kaszuby, gdzie umiera 22 grudnia 1998 roku.

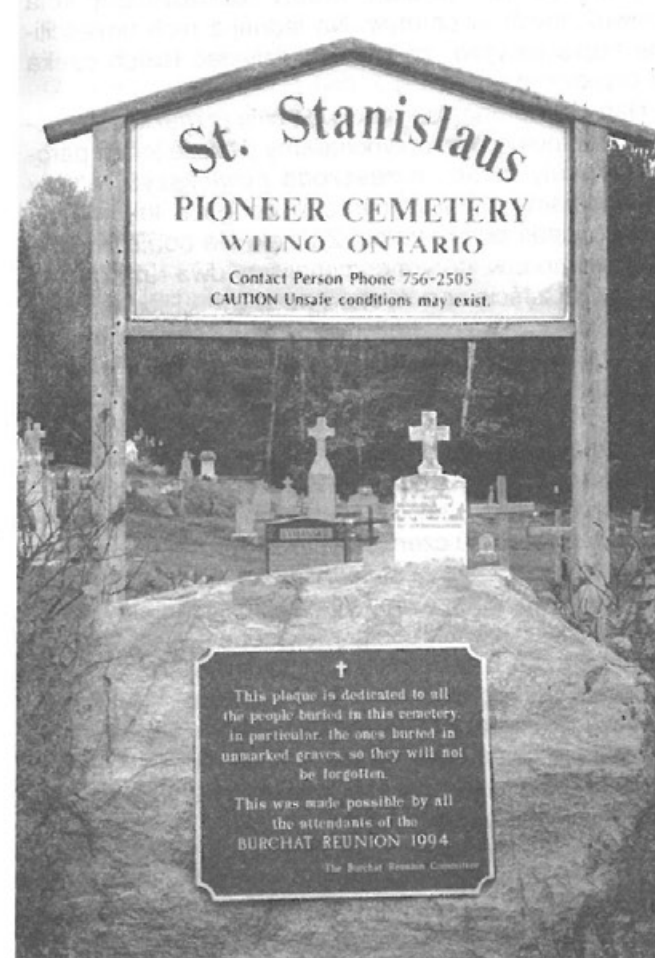
Pan Stanisław Stolarczyk tak opisuje swoje pierwsze spotkanie z księdzem Rafałem Grzondzielem w lecie 1983 roku, kiedy zmęczony upałem w mieście wybrał się na Ontaryjskie Kaszuby i zaszedł do „Katedry pod Sosnami”: „Mszę świętą odprawiał siwy, wysoki ksiądz o jasnych i spokojnych oczach i dobrotliwym uśmiechu, który na zakończenie mocnym głosem zaintonował *Boże coś Polskę...* Podchwycili wierni słowa tej pieśni jak podczas walki chwytając się upadający sztandar i ponieśli tę pieśń-modlitwę: *Przed Twe ołtarze zanosim błaganie Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie.* I gdy śpiew odbijał się echem od przeciwnych brzegów jeziora Wadsworth, przy ołtarzu stał ze spuszczoną głową szepcząc modlitwy i wycierając dłonią łzy ten, który odprawiał mszę świętą – ksiądz Rafał Jan Grzondziel znany jako Father Ignatius czyli Ojciec Ignacy – twórca Kaszub – jak to dziś po latach określamy – małej Polski kanadyjskiej”.

Pan Stanisław Stolarczyk po pierwszym spotkaniu wracał często na Ontaryjskie Kaszuby, odwiedzał księdza Rafała, słuchał jego opowiadań, nagrywał, notował. Wszystkie opowieści poparte były dokumentami, świadectwami, dyplomami. Wiele się tego nazbierało. Te wszystkie świadectwa życia księdza Rafała Jana Grzondziela zebrał w swej książce „Gdy wspominam Kaszuby...”. Książka napisana pięknym językiem, z wieloma fotografiami stanowi dokładne przedstawienie postaci księdza Rafała. Powinni ją przeczytać wszyscy Polacy, którzy nie znają dokładnie ilości i wielkości dokonań tego kapłana, żołnierza i harcerza. Mnie niestety, co stwierdzam z wielkim żalem, nie danym było spotkać tego wspaniałego człowieka. Na Ontaryjskich Kaszubach sfotografowałam wiele obiektów, szczególnie interesowały mnie polskie cmentarze – „Gdzie są Twoje groby Polsko, a gdzie ich nie ma...” – Jan Paweł II.

W Ontaryjskim Wilnie pierwsze kroki skierowałam na nowy cmentarz, bo tam spoczywa ksiądz Rafał Jan Grzondziel. Stojąc nad jego grobem i czytając na epitafium tytuły i odznaczenia pomyślałam, czy doceniona została patriotyczna działalność tego Kapłana dla swego Narodu. Spoczywa w obcej, choć gościnnej, ziemi, ale nawet teraz, kiedy czasy mrocznej komuny niby się skończyły, jego patriotyczna działalność dla swojej Ojczyzny nie jest u nas znana.

Sięgając myślą wstecz do zasłużonych Kapłanów – ks. Stanisław Konarski, ks. Hugo Kollataj, ks. Stanisław Staszic i że dalej nie zliczę, w naszej jakże często tragicznej historii, a także już nam współczesnych, jak ks. Jerzy Popiełuszko i wielu innych kapłanów „Solidarności”, pomyślałam, że w swych wielkich działaniach patriotycznych napotykali na represje nie tylko ze strony obcych totalitaryzmów, ale również ze strony własnego społeczeństwa, dla którego poświęcali życie.

Jeszcze nie przebrzmiały mi w uszach okrzyki aktywistów ZMP na mojej uczelni: „Precz z klerem, precz z wrogami władzy ludowej”, kiedy w tym czasie, gdy u nas szalała komuna, ksiądz Jerzy Popiełuszko podtrzymywał Naród na duchu i kształtował świadomość na wzór wielkiego Prymasa Stefana Wyszyńskiego, zagrożona władza i jej zwolennicy krzyczeli: „Niech się ksiądz nie wtrąca do polityki”. Po śmierci księdza Jerzego Popiełuszki zmiały ludzkie serca, ale czy na



Stary cmentarz w Kanadyjskim Wilnie. Tablica upamiętniająca pochowanych tutaj pierwszych osadników, których groby są nieoznakowane. Październik 2005 r.

długo? Czyżby w naszym społeczeństwie ciągle krążył duch homo sovieticus, czy inne równie groźne duchy?

Marzy mi się, aby książka pana S. Stolarczyka „Gdy wspominam Kaszuby” była czytana nie tylko przez Polonię, ale była dostępna w naszych księgarniach obok zalewu ogłupiającego nasze dzieci „Harry Pottera”. Książka „Gdy wspominam Kaszuby” byłaby wspaniałą lekcją historii i patriotyzmu, a dla harcerzy pomocą w przygotowywaniu ognisk i gawęd harcerskich.*

Źródła:

Stanisław Stolarczyk – „Gdy wspominam Kaszuby”,
Janusz Żurkowski – „Nie tylko o lataniu”.

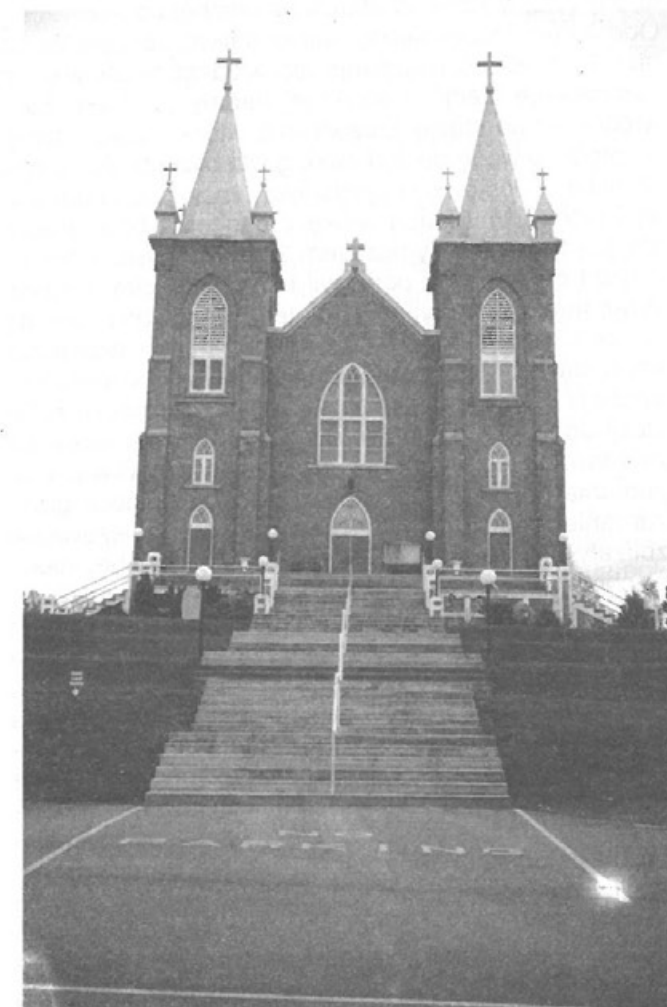
Pamiętnik pociągu pancernego „Gen. Iwaszkiewicz”. Rok 1920 (III)

IV. Odwrót Ukrainy

W tym czasie dała się zauważyć wzmożona działalność i ruchliwość oddziałów bolszewickich. Nasze samoloty donosiły o nadciąganiu wielkich mas piechoty i kawalerii. Jednak oprócz drobnych sukcesów lokalnych, które zresztą i tak natychmiast były wyrównane, front

* Pan Stanisław Stolarczyk kończy swoją książkę pięknym wierszem torontońskiej poetki Tamary Hetmańskiej:

„Gdyby Ci kto powiedział o chatkach wśród małych kwitnących,
O pieśniach tych polskich kojących,
O ogniskach wzniesionych przez polskich harcerzy
To byś nie uwierzyła, że w dalekiej Kanadzie
Błękit jeziora Bałtyk przypomina,
Dzikie kaczki leżą pod chmurami,
Słowiki w uśpionych jaśminach
Śpiewają tak samo.
I zda mi się że jestem w Polsce,
Że jestem z Tobą mamą.
I jakaś rzewność na serce się kładzie
– Kaszuby, Krzyż, Wilno – w Kanadzie”.



Kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Królowej Polski w Kanadyjskim Wilnie. Październik 2005 r.

Odwrót rozpoczęliśmy trzynastego czerwca bez przeszkody ze strony nieprzyjaciela. Na pożegnanie daliśmy kilka razy ognia z armat. Następnie opuściliśmy Trostocianiec z łałem żegnani przez miejscową ludność. Równocześnie oddziały nasze opuściły Krzyżopol, który trzymały od trzynastego maja do trzynastego czerwca.

Czternastego czerwca zniszczyliśmy stację Wapniarkę i wieczorem cofnęliśmy się.

Piętnastego rano podjechaliśmy do skrzyżowania na stacji Wapniarce, gdzie tory były już ponaprawiane i panował ożywiony ruch. Parowozy bolszewickie jeździły, gwizdały, przetaczały wagony. Nagle daliśmy ognia z trzech armat mierząc w stację. Powstał ogromny popłoch, bolszewicy rozproszyli się na wszystkie strony. Daliśmy wtedy 180 strzałów. Równocześnie skierowaliśmy cztery karabiny maszynowe na cygańską osadę z lewej strony toru, w której kwaterowała piechota bolszewicka. Oddział ten rozpędziliśmy. Jakaś bateria zaczęła bić po nas, lecz bardzo niepewnie nie wiedząc właściwie kto ostrzeliwuje stację, pociski jej padały po lesie. Stąd wróciliśmy na stację Żurawlewkę, którą zniszczyliśmy, a potem po wodę do Jorkówki, gdzie była chwilowo linia obronna. Z Jorkówki podjechaliśmy znów pod Żurawlewkę i stoczyliśmy ładną walkę z pancerką bolszewicką stojącą na stacji. Tymczasem kozacy zerwali nam tor z tyłu i oprócz tego podłożyli minę w drugim miejscu. Wracając zauważyliśmy to, lecz za późno, pociąg w całym pędzie wjechał na dziurę i minę i przejechał szczęśliwie. Minę zabraliśmy ze sobą. Po południu sytuacja naszego odcinka pogorszyła się znacznie. Na stacji Jorkówka znajdowała się bateria piętnastek już załadowana do wagonów, lecz nie było parowozu do zabrania pociągu. Atak bolszewicki od północy groził zabiciem stacji od tyłu, dwie pancerki bolszewickie zbliżały się do stacji. Siły polskie były słabe: nieco piechoty i nasza pancerka. Na domiar złego mieliśmy tylko 15 granatów, gdyż wiele pocisków zużyło się pod Wapniarką i w walce z pancerką bolszewicką w Żurawlewie. Próbowaliśmy rozkręcić szyny koło budki 302, gdyż nic do wysadzenia nie mieliśmy. Jednak dwie pancerki odpędziły naszych ludzi granatami i szrapnelami. Na ogień pancerek odpowiadaliśmy rzadko, aż wreszcie przyjechał „Pionier” z amunicją dla nas. Wkrótce piechota nasza poszła do ataku i zabezpieczyła stację od południa. Wtedy zabraliśmy się do niszczenia stacji. Przed zwrotnicami wykopaliliśmy głębokie doły na obydwu torach i zepchnęliśmy dwa stare parowozy. Następnie ekrazytem wysadziliśmy wszystkie zwrotnice i krzyżownice. Robota zajęła nam całą noc. Piechota tymczasem cofnęła się do stacji Rachny Lesowye, my zaś później cofając się spaliliśmy drewniany most, ten sam, z którego wyjeżdżały minę podczas ofensywy. Do mostu wtrącił „Pionier” tender od parowozu. Stację Rachny zniszczyliśmy gruntownie, spaliliśmy też hangar dla samolotów. Potem odjechaliśmy w stronę Jaroszeńki.

W odległości 5 km od Jaroszeńki zatrzymaliśmy się, aby urządzić przeszkody dla bolszewickich pociągów pancernych. Na torze wykopaliliśmy głębokie doły i wtrąciliśmy dwie stare lokomotywy. Ażeby bolszewikom uniemożliwić zbudowanie objazdu naokoło przesady ustawiliśmy prowizoryczne tory, kilka po obu stronach i rozrzuciliśmy jeszcze kilka lokomotyw po polu. W ten sposób powstała cała tyraliera lokomotyw. Oczyszczenie toru wymagało ogromnej pracy. W dodatku ażeby

przysporzyć bolszewikom roboty rozsadziliśmy koła przewróconych lokomotyw. Na jednej z nich umieściliśmy napis rosyjski, że jeszcze dziesięć takich czeka ich przeszkod.

Rano siedemnastego czerwca była przeszkoda gotowa. Przed południem przypchaliśmy jeszcze jeden parowóz zepsuty, ażeby przeszkodę powiększyć. Wtedy zauważyliśmy za płotem przewróconych lokomotyw duże pancerki bolszewickie. Zaczęło się bombardowanie wzajemne, w którym otrzymaliśmy dwa razy granatem, na szczęście w ową starą maszynę. „Pionier”, który brał udział w walce, trafiony został w przedni wóz bojowy. Granat bolszewicki spowodował w tym wozie eksplozję amunicji, która rozerwała wagon na kawałki. Straty poniósł „Pionier” ogromne: kilkunastu zabitych i ciężko rannych, resztę pociągu z trudnością udało się ocalić.

Walka przeciągnęła się do wieczora. W nocy mieliśmy cofnąć się dalej, otrzymaliśmy jednak rozkaz przedłużający do 19 czerwca obronę Jaroszeńki, ponieważ ewakuacja Żmerynki nie była ukończona. W ciągu osiemnastego bolszewicy przypuścili zaciekły atak wprowadzając do walki czołgi większego systemu, automobile pancerne, samoloty i pancerki. Cały dzień staliśmy bez wody, ogień w maszynie był prawie wygaszony, po wodę nie można było odjechać ponieważ piechota nasza nie czuła się bezpiecznie bez słomianki (taka była popularna nazwa naszej pancerki ze względu na drewniane ściany).

Dziewiętnastego czerwca opuściliśmy Jaroszeńkę. Saperzy w pośpiechu wysadzili most za nami; trzeba było go naprawić z powrotem. Do wieczora niszczyliśmy tory kolejowe w Żmerynce, którą opuściliśmy w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego. Dalszy odwrót odbywał się w ten sam sposób: niszczyliśmy tory i mosty, zabieraliśmy ze sobą stacyjne pompy, wodne paliliśmy, tzw. wodokaczki czyli studnie pompujące wodę dla parowozów.

Dwudziestego oddaliśmy stację Serbinowce, a w następnym dniu obsadziliśmy nową linię obronną.

Pozycje jakie obecnie zajęliśmy były prawie te same, które trzymaliśmy w marcu i kwietniu. Jedynie na przestrzeni od Dniestru do linii kolejowej Drokirów-Żmerynka pozycje nasze były wysunięte bardziej na wschód niż na wiosnę. Przez nasze wojska były obsadzone: Motylów Podolski, Bar, stacja Komarowce i Wołkowińce, w których wtedy siedzieli bolszewicy. „Iwaszkiewicz” stał na stacji Komarowce, przez którą przechodziła linia obronna. Stąd zapuszczaliśmy się do Rodowic i Wanitynicz (14 km na wschód od Komarowca).

W Komarowcach staliśmy do trzeciego lipca. Tabor naszego pociągu przebywał w tym czasie w Derażni. Bolszewicy początkowo nie napierali na nas. Dwudziestego szóstego czerwca stoczyliśmy walkę z podjazdem w sile 150 ludzi, który przyjechał do Radowic na rekwizycje. Dwudziestego dziewiątego i trzydziestego pod Radowicami strzelały na nas przez pomyłkę własne baterie. Zresztą koniec czerwca minął spokojnie.

Z początkiem lipca przeszli bolszewicy znów do akcji. Najpierw uderzyli na Łatyczów, miasteczko leżące na północ od linii kolejowej Drokirów-Żmerynka. Drugiego lipca pojawili się kozacy w Radowcach i chcieli zerwać tor za nami, lecz zostali odpędzeni.

Trzeciego lipca uderzyli bolszewicy z wielką furją na Komarowce. Nad ranem obsadzili Radowce. Kiedy tam wjeżdżaliśmy, ze wszystkich stron odezwały się karabiny maszynowe, a piechota zaczęła nas okrążać pod-

chodząc do toru. Nawet z drzewa strzelał jakiś karabin maszynowy i zasypał kulami nasze armatki, które prawie nie były osłonięte. W ten sposób ranili nam artylerzystów: ogniom. P. i kap. Ch. Odjechaliśmy z Radowic do stacji celem nabrania wody i wróciliśmy do wsi. Piechota bolszewicka ukryła się we wsi i stamtąd strzelała znów do nas. Oddaliśmy kilkanaście strzałów i nieprzyjacielskie karabiny maszynowe nieco umilkły. Nagle na zakręcie ukazała się pancerka bolszewicka, a za nią dwie inne, wszystkie uzbrojone w ciężkie działa. 1,5 km za nimi jechała jeszcze czwarta pancerka jako osłona kolumny atakującej. Pancerki ze wszystkich dział zaczęły bić na nas na niewielką odległość. Równocześnie piechota zaszła nam na tył chcąc nas odciąć od naszych oddziałów, od których byliśmy oddaleni o 5 km. Artyleria nasza nie mogła nam przyjść z pomocą, z powodu lesistego terenu nie mogła nic zaobserwować, zresztą były tu tylko dwie placówki, podczas gdy kiedy indziej broniły tego odcinka dwie baterie połówek i jedna ciężka. Sami więc odpowiadaliśmy z dwóch przednich armat na ogień wszystkich pancerek. W końcu kilku żołnierzy zostało ranionych odłamkami, wóz oficerski został rozbity, palacz na maszynie też był ranny (stracił oko), maszynista ogłuszony, a co najgorsze zapas amunicji zaczął się wyczerpywać, oddaliśmy bowiem wiele strzałów. Krok za krokiem zaczęliśmy się więc cofać w kierunku stacji. Pancerki ścigały nas zajądło i strzelały bez przerwy, szczególnie jedna bardzo niska, która jechała na przodzie.

Na stacji oddaliśmy ostatnie strzały. Więcej amunicji nie mieliśmy. Wtedy pancerki podjechały pod stację. Cofnęliśmy się za stację na zwrotnice. Pancerki wjechały na zwrotnice z drugiej strony. Odtąd już nie strzelaliśmy więcej. Gdy granaty padały już pod koła wagonów ruszaliśmy kawałek do tyłu i znów zatrzymywaliśmy się. Pod wieczór pancerki zaprzestały dalszego pościgu, a my stanęliśmy w lesie o 5 km od Komarowca. Komunikat sztabu generalnego podając przebieg walk z 3 lipca wspomina o bohaterskiej obronie pociągu pancernego „gen. Iwaszkiewicz”.

Rezultatem ataku pancerek bolszewickich było zdobycie Wołkawiniec i stacji Komarowce, wreszcie przełamanie naszego frontu. Pułki 53 i 54 cofnęły się, oddziały straciły łączność z sobą, bolszewicy mieli otwartą drogę na tyły całej II armii.

Do rana jednak bolszewicy nie posunęli się dalej. W nocy otrzymaliśmy amunicję, rozkazy nie przychodziły żadne, nie można było z żadnym oddziałem nawiązać łączności. Spotkaliśmy tylko pluton techniczny 54 p.p., który przyłączyliśmy do pociągu jako osłonę. Nad ranem czwartego lipca odjechaliśmy po wodę do Derażni, poprzednio zniszczyliśmy tor w kilku miejscach. Kilku ludzi z dwoma karabinami maszynowymi zostało jako placówka. Jako wzmocnienie placówki został też pluton techniczny. Placówka ta już godzinę trzymała pancerkę bolszewicką pod ogniem obydwu karabinów maszynowych i nie pozwoliła jej naprawić toru. Chociaż pancerka zasypywała ich granatami i szrapnelami placówka trzymała się dzielnie do powrotu „Iwaszkiewicz”. Wtedy daliśmy ognia z dwóch dział i pancerka bolszewicka cofnęła się. Rano ujrzelśmy w odległości 7 km oddział kozaków w sile do 2000 ludzi z małym taborem i z działami. Oddział ten pojechał w stronę Derażni, a w dniach następnych napadł na Płoskirów i Czarny Ostrów. Po drodze zagarnęli kozacy wiele taborów różnych oddziałów.

Przed południem pancerka bolszewicka znów podjechała, lecz wnet się cofnęła. Za nami rozciągała się po obu stronach toru wieś Koraczyńce Rymowija. Nagle ze wsi zagrały karabiny maszynowe. Bolszewicy zajęli wieś, także chłopci chwycili za broń. Cofnęliśmy się więc do wsi, aby nie dopuścić do zerwania toru. Kilkanaście kartaczy i kilka serii z karabinów maszynowych wystarczyło na odpędzenie bolszewików. Przy tej okazji spalila się część wsi.

Dotychczas jeszcze nie nawiązaliśmy łączności z żadnym oddziałem, trzeba więc było mieć się na baczności. Byliśmy więc ciągle w ruchu patrolując okoliczne lasy. Bolszewicy jednak nie wyrzekli się nadziei złapania naszego pociągu. Stoczyliśmy znów kilka drobnych utarczek. W jednym starciu wzięliśmy jeńca 533 pułku piechoty sowieckiej. Ten zeznał, że oddział, który nas tak pilnuje ma zerwać tor za nami i zabrać „Iwaszkiewicz” przy pomocy własnych pancerek. Siła oddziału wynosi 300 ludzi, kilka karabinów maszynowych i dwa działa. Przynajmniej wiedzieliśmy już o co im chodzi.

Po południu zaczęliśmy naprawiać tor aby się posunąć naprzód. Nasz aeroplan przybywał w stronę Komarowca i za chwilę usłyszeliśmy wybuchy jego bomb. Niedługo potem ujrzelśmy za nami oddział kozaków na torze. Po kilku strzałach kozacy uciekli. Wtedy zaprzestawszy naprawiania toru ruszyliśmy w stronę Blachowych Koryczyniec. Pod wsią było kilka szyn wyrwanych. Była to robota bolszewików, którzy nas w ten sposób odcięli od Derażni. Kiedy załoga wysiadła ażeby tor naprawić odezwało się naraz kilka karabinów maszynowych, grad kul zasypał tor, który w tym miejscu był całkiem otwarty. Maszynki grały bez przerwy, a kule dzwoniły po szynach i skakały po torze. W tych warunkach praca trwała bardzo długo, a nawet byłaby niemożliwa, a tymczasem mogli nadjechać pancerki bolszewickie. Ustawiliśmy więc na torze blachę zdjętą jeszcze z pancerki bolszewickiej pod Popieluchami. Blacha ta niewielką dawała osłonę, był jednak skutek moralny. Rzuciliśmy się do naprawiania toru, a równocześnie zagrzmiały nasze działa z pancerek. Wkrótce tor był naprawiony.

Przedtem jeszcze poszło dwóch żołnierzy M. i D. aby wysadzić tor na wypadek nadejścia pancerki bolszewickiej. Ci znowu się dostali pod ogień bolszewików, mimo tego wykonali swoje zadanie.

Czterech żołnierzy z plutonu osłaniającego „Iwaszkiewicz” oddaliło się samowolnie jeszcze przed południem do wsi Blachowych Koryczyniec. Chłopci złapali ich i oddali kozakom, którzy zaczęli się pastwić nad nimi, wreszcie i chłopom pozwolili pohulać sobie. Trzem z nich odcięli głowy, czwarty zdołał uciec kiedy „Iwaszkiewicz” nadjechał. Jednego z tych chłopów złapaliśmy na drugi dzień przestrzelawszy mu prawą rękę. Wieczorem przyjechała nam z pomocą ukraińska pancerka „Kormeluk”, świeżo utworzona z bolszewickiej pancerki „Krasny Krestjanin”, którą my wzięliśmy pod Popieluchami.

W nocy z czwartego na piątego lipca kozacy, których widzieliśmy poprzedniego dnia rano pod Komarowcami, zabrali wielki tabor pod Michałpołem i wysadzili dwa mosty kolejowe między Derażnią a Płoskirowem w odległości 20 km za frontem. Byliśmy znów odcięci, tym razem jednak niebezpieczeństwo było o wiele poważniejsze.

Piątego rano wzięliśmy udział w ataku na Blachowe Koraczyńce. Batalion 59 p.p. pod dowództwem

kpt. Serwaczyńskiego zajął wieś po krótkiej walce. Bolszewicy jednak przypuścili kontratak. Doborowy oddział sowiecki rozwinął się w tyralierę i ruszył do ataku. Zasyпалиśmy ich pociskami, lecz oni mimo to posuwali się dalej. Dopiero kilka granatów gazowych zmusiło ich do cofnięcia się. Walka trwała jeszcze długo; nadjechała pancernka bolszewicka i ostrzeliwała atakujący oddział. W końcu batalion cofnął się po stracie swego dowódcy. Padło też wielu żołnierzy, resztę batalionu zabraliśmy na pancerkę i odwieźliśmy do Derażni. Po drodze ostrzeliwali nas kozacy, którzy wieźli z sobą dwa działa.

Z Derażni pojechaliśmy do wysadzonego mostu i naprawiliśmy go po kilkugodzinnej pracy. Równocześnie kompania kolejowa pod osłoną trzech tanków pracowała nad ustawieniem drugiego mostu.

Szóstego lipca napadli już na Płoskirów, gdzie mało co nie zabrali sztabu armii. Z Płoskirowa pojechaliśmy w stronę Podwołoczysk i zajęliśmy stację Czarny Ostrow (szóstą stację za frontem). Z Ostrowa było wtedy 80 km do pozycji. W Czarnym Ostrowie podminowali kozacy dwa mosty kolejowe, a gdy nadjechał z Płoskirowa pociąg ewakuacyjny wysadzili go w powietrze i bombardowali ogniem z trzech dział. Zginął wówczas ukraiński pułkownik sztabu generalnego Myszkowski, a komisarz cywilny Ziemi Podolskiej gen. Minkiewicz wpadł w ręce kozaków. W ten sposób cała armia i wszystkie transporty z całej Ukrainy były odcięte od Galicji. Pancernka nasza otrzymała rozkaz zniszczyć tor aż do Płoskirowa i powrócić do Czarnego Ostrowa, gdzie już pojechała ukraińska pancernka „Karmeluk”. Wysadziliśmy więc w Derażni wszystkie zwrotnice i tory i odjechaliśmy do Bogdanowic. Po drodze niszczyliśmy wszystkie mosty. W Bogdanowicach zniszczyliśmy dokładnie stację i ruszyliśmy w stronę Płoskirowa.

Siódmego lipca o świcie wysadziliśmy ostatni most przed Płoskirowem pod wsią Rokowo. Potem odjechaliśmy do Czarnego Ostrowa. Stacja już była odbita, kozacy uciekli na północ. Kompanie kolejowe pracowały nad naprawą mostów i usunięciem rozbitego pociągu.

Z Płoskirowa pojechaliśmy na północ w stronę Starego Konstantynowa. Na stacji Klimaszowka spaliliśmy 50 wagonów rosyjskich, które i tak miały być łupem bolszewików. Następnie wróciliśmy do Płoskirowa. Tutaj tabor nasz przeładował się do wagonów normalno-torowych. Odebraliśmy też rozkaz wysadzenia naszej pancernki przy opuszczaniu Czarnego Ostrowa.

Przyszła noc z siódmego na ósmego lipca, noc bardzo burzliwa i niepewna. Bolszewicy już otaczali miasto, stacja była przepełniona transportami, brak parowozów i wagonów był dotkliwy, mosty w Czarnym Ostrowie jeszcze nie były naprawione, połączenia z krajem nie ma, nie wiadomo co nas rano czeka. Wiele trudności robili miejscowi kolejarze sprzyjający bolszewikom.

Wreszcie ósmego rano zaczęły odchodzić pierwsze transporty w stronę Czarnego Ostrowa. Po południu odjechał nasz tabor, bojówka została w Płoskirowie jako osłona stacji. Mieliśmy rozkaz niszczenia szerokokolejowego taboru kolejowego, który był dla nas bezużyteczny, ponieważ tor szeroki kończył się w Czarnym Ostrowie. Od rana więc wywoziliśmy próżne wagony i spychaliśmy do wysadzonego mostu pod wsią Rokowo. Prócz tego zatarasowaliśmy wjazd do stacji nieczynnymi parowozami, które wykoleiliśmy, na stacji zaś spaliliśmy około 200 wagonów.

Bolszewicy już rano zajęli okolice Płoskirowa, przed południem podeszli pod stację i zaczęli siać po niej

z karabinów maszynowych. Zrobił się popłoch. Wielu kolejarzy uciekło od pracy. Ostatnie transporty pośpiesznie opuszczały stację. Otrzymaliśmy rozkaz konwojowania ich do Czarnego Ostrowa. Przedtem jeszcze zapaliliśmy olbrzymią masę szerokotorowych wagonów w liczbie tysięcy kilkaset. Wkrótce słup dymu i ognia wzbijał się do góry. Pożar szerzył się gwałtownie podniecały wybuchami wagonów z amunicją i cystern z benzyną. Wtedy dopiero ruszyliśmy do Czarnego Ostrowa, skąd zaraz wyjechaliśmy do Płoskirowa.

W drodze powrotnej zauważyliśmy, że ostatnie parowozy uciekały z kilkoma tylko wagonami, więc zawróciliśmy ich z powrotem do Płoskirowa osadziwszy na jednym z nich naszego maszynistę K. Koło godziny szóstej wieczorem spotkaliśmy w okolicy Hreczan naszą kawalerię i piechotę cofające się. Z przybyciem „Iwaszkiewicza” oddziały nasze uporządkowały się i przeszły do kontracji posuwając się aż pod Płoskirów. Stacja już była w rękach bolszewików, tylko nasze lewe skrzydło sięgało pod sam dworzec. Piechota zatrzymała się przed miastem, a my z pancerką wjechaliśmy na stację, gdzie szalał pożar. Ogień jednak nie doszedł jeszcze do tzw. dworca podolskiego, gdzie pozostało kilkadziesiąt wagonów naładowanych materiałem wojсковym. Kozacy już rabowali na stacji i po wagonach, równocześnie zaś spędzili chłopów, którym kazali gasić pożar. Zaczęła się strzelanina i gonitwa za kozakami naokoło wagonów. Wreszcie stację oczyściliśmy z bolszewików. Wtedy nasz maszynista K. przyjechał za nami z trzema maszynami i rozpoczął szybowanie i zestawianie wagonów zawierających cenniejszy ładunek. Równocześnie stacja była widownią zaciętej walki. Bolszewicy obsadzili browar i pagórki koło stacji i stamtąd wybijali całe serie z karabinów maszynowych. Ich piechota podchodziła bokami i ostrzeliwała maszynistę K., który wśród gradu kul szedł ciągle. Obawialiśmy się, żeby bolszewicy nie powskakiwali do wagonów i nie zahamowali szybującego pociągu. Naraz usłyszeliśmy charakterystyczne gwizdy min lecących w powietrzu. Raz upadła mina pod wóz karabinów maszynowych, innym razem pod maszynę K. Co chwila ukazywali się kozacy z różnych stron, niektórzy w naszych mundurach niebieskich lub żółtych, z tych kilkunastu stracili nasi strzelcy z koni. Najbardziej była groźna bateria bolszewicka, której haubice zasypywały stację huraganowym ogniem. Granaty rozbijały wagony i rwały tor. Koło ogrzewalni stało kilka lokomotyw szerokotorowych, kule podziurawiły je w wielu miejscach i z każdego tendra sikała woda kilkoma strumieniami. Kilka lokomotyw z rozbitymi świstawkami ryczały ze dwie godziny. Maszynista K. zestawiał tymczasem pociąg złożony z 72 wagonów. W wagonach były konie, zboże, automobile nowe, skład apteczny XII Dywizji piechoty itd. Nareszcie pociąg ruszył i był już w dobrym pędzie, kiedy wpadł granat i zerwał tor przed nim. Nie było już czasu, żeby pociąg zatrzymać, szczęście jednak sprzyjało, maszyna i wagony bez żadnego wypadku przejechały przez dziurę i wydostały się poza obręb stacji. „Iwaszkiewicz” został jeszcze, bo mieliśmy rozkaz trzymać stację do godziny dziewiątej wieczór. Strzelaliśmy więc jeszcze po piechocie bolszewickiej, a gdy noc zapadła opuściliśmy stację. Po drodze wysadziliśmy most kolejowy zaraz za Płoskirowem i przyjechaliśmy przed północą do Hreczan. W Hreczanach zniszczyliśmy stację, spaliliśmy też próżny tabor kolejowy złożony z 500 wagonów i powaliliśmy kilkanaście słupów telegraficznych.

O drugiej nad ranem dziewiątego lipca dojechaliśmy do zniszczonego mostu przed Czarnym Ostrowem i tu był kres „Iwaszkiewicza” po przeszło sześciu miesiącach nieustannych walk na ziemiach ukraińskich. Tyle razy atakowani i otaczani przez nieprzyjaciela wychodziliśmy zwycięsko ze wszystkich operacji, aż teraz, kiedy już nie było dalej drogi dla pancernki, trzeba było „Iwaszkiewicza” wysadzić by nie wpadł cały w ręce bolszewików.

Najpierw wyjęliśmy karabiny maszynowe i cenniejsze rzeczy, tyle ile mogło unieść dwudziestu kilku ludzi, ostatnia załoga „Iwaszkiewicza”. Następnie zniszczyliśmy armaty granatami ręcznymi rzucając je do luf. Później nakładliśmy ekrazytu i piroksyliny do wagonów i podpalamy te wozy, które miały drewniane ściany. W końcu została jeszcze maszyna i wóz pancerny żelazny, które odziedziczyliśmy po „Pionierze”, kiedy został rozbity pod Jaroszynką.

WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO

Zbigniew Umański

Kronika Kresowa

Rok Trzech Rocznic Lwowskich

Rok 2006 przejdzie do historii współczesnej b. Kresów RP jako Rok Trzech Rocznic Lwowskich: 750-lecia miasta Lwowa, 650-lecia nadania mu Prawa Magdeburgskiego przez króla polskiego oraz 350-lecie słynnych ślubów Jana Kazimierza przed obrazem Matki Boskiej Łaskawej w Katedrze Lwowskiej (piszemy obszernie o tym historycznym wydarzeniu na pierwszych stronach „Semper Fidelis”).

Gdy oddajemy do druku ten wielkanocny numer „SF”, Lwów przygotowuje się do uroczystych obchodów Jubileuszu Ślubów Kazimierzowskich w dniu 1 kwietnia br. Odbędą się w Katedrze Lwowskiej z udziałem prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego i innych oficjeli z Polski, hierarchów Kościołów rzymskokatolickiego i greckokatolickiego na Ukrainie oraz licznych pielgrzymów – lwowiaków i kresowiaków, którzy przybędą z całej Polski. Wśród nich będzie oczywiście Kronikarz Kresowy „SF”, aby zdać Czytelnikom relację z uroczystości 1 kwietnia w Katedrze Lwowskiej. M.in. Filharmonia Lwowska wykona oratorium, które napisał Mieczysław Sołtys, lwowianin, wybitny kompozytor, wykładowca Konserwatorium Lwowskiego. Organizatorem uroczystości jest Konsulat Generalny RP we Lwowie.

Obchody 750-lecia Lwowa odbędą się w listopadzie. Lwów chce się zaprezentować jako europejskie miasto wielokulturowe, pokazać wspaniały dorobek kultury materialnej, stworzony przez wybitnych lwowian różnych narodowości. Wcześniej, bo w dniach 8-10 września br. odbędzie się Światowy Zjazd Lwowian, który organizuje Zarząd Główny Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Patronat medialny sprawuje „Gazeta Lwowska”, która program spotkania poda w późniejszym ter-

Na maszynie złożyliśmy na ostatek przed ogniskiem kilkanaście granatów i razem z wozem pancernym puściliśmy ją na ślepo w ogień. Nastąpiła eksplozja. Maszyna i wagon rozleciały się na kawałki.

Wśród ciszy nocnej, powiększonej przez ulewny deszcz, płonęła długo nasza pancernka. Częste detonacje, spowodowane wybuchami amunicji armatniej i karabinowej pozostawionej w wagonach, rozlegały się daleko, sprawiając wrażenie strzelaniny wśród bitwy.

Wreszcie opuściliśmy to miejsce ze śpiewem maszerując wśród deszczu i ciągłych utarczek z kozakami w stronę Wójtowic. Tam spotkaliśmy pociąg uratowany przez nas z Płoskirowa. Na stacji w Czarnym Ostrowie spaliliśmy jeszcze około 200 wagonów rosyjskich, po czym odjechaliśmy do Wołoczysk połączywszy się z całą załogą „Iwaszkiewicza”.

(c.d.n.)

minie. Ale już dzisiaj zgłoszenia i propozycje można kierować pod adresem;

TKPZL Rynek 17, 79006 Lwów, skr. poczt. 10262 lub na e-mail: tkpzl@mis.lviv.ua, tel./fax: (0380322) 74-23-14 oraz (0380322) 37-17-31.

Do współorganizacji obchodów Trzech Rocznic Lwowskich włączył się Urząd Marszałkowski Województwa Mazowieckiego, którego samorząd podpisał umowę o współpracy z Obwodem Lwowskim. Powoływane są komitety – honorowy i organizacyjny obchodów tych rocznic. Dr Tadeusz Samborski – ciągle aktywny w utrwalaniu polskości na Kresach – zaproponował, jako wkład i trwałą pamiątkę obchodów, renowację pomnika bohatera narodowego i chłopskiego Bartosza Głowackiego we Lwowie – jednego z nielicznych już polskich zachowanych w tym mieście, ale obecnie w opłakanym stanie, oraz dwóch grobowców na Cmentarzu Łyczakowskim: Gabrieli Zapolskiej i Seweryna Goszczyńskiego – wybitnych ludzi pióra i twórców polskiej kultury na Kresach.

Jak się dowiedzieliśmy, także Muzeum Niepodległości w Warszawie uwzględni w swoim tegorocznym programie działalności obchody Trzech Rocznic Lwowskich. Zorganizuje sesję popularno-naukową o wkładzie miasta Lwowa w rozwój państwowości polskiej, kultury narodowej i w dorobek zgodnego współżycia wielu narodowości w tym mieście. Urządzi wystawę planszową „750-lecie Miasta Semper Fidelis” oraz wyda specjalny, monotematyczny numer kwartalnika „Niepodległość i Pamięć” poświęconego wszystkim trzem rocznicom i ich uroczystym obchodom przez instytucje samorządu mazowieckiego.

Duch króla Jana Kazimierza w 350 rocznicę złożenia przez niego historycznych Ślubów Lwowskich, ożywił zainteresowanie miastem „Semper Fidelis” w stolicy i zainspirował do patriotycznego działania na rzecz utrwalania pamiątek polskości na Kresach. To bardzo nas lwowian i kresowian cieszy, że nie tylko my będziemy świętować Trzy Lwowskie Rocznice. Na pewno i w innych miastach – prezydent Wrocławia już zadeklarował we Lwowie współpracę – w instytucjach i organizacjach, nie tylko kresowych. Mają pomysły, propozycje, jak

godnie upamiętnić w społeczeństwie i u sąsiadów te Lwowskie Rocznice. Poinformujcie o nich nas, Czytelników „SF” – niech będą przykładem, zainspirują innych. 2006 rok może, dzięki naszej patriotycznej postawie i działaniu, przejść do historii jako Rok Lwowski. Oddalibyśmy miastu „Semper Fidelis” należny mu i jego mieszkańcom honor i cześć – za bohaterstwo, męstwo i martyrologię w 750-letniej historii Lwowa.

Wyjaśnić rosyjską „prawdę” o Katyniu

5 marca 1940 r. Stalin i członkowie Biura Politycznego KPZR podpisali rozkaz zgładzenia obywateli polskich: 14 700 jeńców i 11 000 więźniów politycznych. Wyrok wykonało NKWD. Kilkadziesiąt rodzin Polaków zamordowanych w Katyniu wystąpiło – za pośrednictwem ambasady RP w Moskwie – do władz rosyjskich o uznanie pomordowanych za ofiary represji politycznych – w rozumieniu specjalnej ustawy rosyjskiej z 1991 r. – i o rehabilitację tych osób.

Główna Prokuratura Wojskowa Federacji Rosyjskiej nie znalazła prawnego uzasadnienia, żeby uznać zgładzonych w 1940 r. w Katyniu i innych miejscach na obszarze ZSRR za „ofiary represji politycznej”. Stwierdzenie to dotarło do Polski – jak na ironię – na dwa dni przed 66. rocznicą zbrodni katyńskiej. Wywołało oburzenie i gorycz Rodzin Katyńskich.

– W ostatnich latach można zaobserwować biegnącą w złym kierunku ewolucję strony rosyjskiej w odniesieniu do sprawy katyńskiej. O ile za kadencji prezydenta Borysa Jelcyna wiele spraw załatwiono pozytywnie, później szły one coraz wolniej – mówi „Rz” sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik.

Rosyjska Główna Prokuratura Wojskowa zajęła stanowisko w sprawie zbrodni katyńskiej po raz pierwszy od chwili, gdy 21 października 2004 r. postanowiła umorzyć śledztwo w tej sprawie. Strona polska nigdy nie poznała treści tego postanowienia i jego uzasadnienia. Usłyszała tylko, że Rosja nie zgodziła się uznać mordu katyńskiego za akt ludobójstwa. Teraz okazuje się, że Rosja nie uznaje również, iż była to „represja polityczna”.

Decyzja rosyjskiej prokuratury jest w oczywisty sposób sprzeczna z dokumentami, które swego czasu przekazał Polsce prezydent Borys Jelcyński i z tym, co o zbrodni katyńskiej mówili sami Rosjanie. Ale prokuratura wojskowa to jeszcze nie państwo rosyjskie. Jaki jest stosunek do tej sprawy władz Rosji? – *Trzeba wyjaśnić u źródła, czyli w rozmowach z ich przedstawicielami – radzą niektórzy polscy politycy. – Najlepiej z prezydentem. Ta sprawa to kolejny dowód, jak potrzebne jest spotkanie Lecha Kaczyńskiego i Władimira Putina. Nieważne gdzie: w Warszawie, Moskwie, czy na neutralnym gruncie – twierdzą.*

Kiedy będzie Karta Polaka?

Polacy na Ukrainie coraz głośniejsze dopominają się o Kartę Polaka, piszą listy do władz, bo boją się, że zapowiedziane przez nie prace nad Kartą kolejny raz skończą się na obietnicach. – *Zbieramy podpisy, chcemy by pod listem podpisało się kilkaset tysięcy Polaków zamieszkałych na Ukrainie, może to przyspieszy przyjęcie tego dokumentu potwierdzającego naszą polską narodowość* – powiedział dziennikarzowi „Rzeczpo-

spolitej” Emil Legowicz – prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej.

Zbliżające się wejście naszego kraju do układu z Schengen spowoduje, że Polacy zza wschodniej granicy, by wyjechać do Polski, będą musieli wyrabiać drogie wize. Dla znacznej części, zwłaszcza starszych ludzi, kontakt z ojczystym krajem będzie trudniejszy.

– *Od kiedy w dowodach osobistych obywateli Ukrainy skasowany został zapis „narodowość”, Polacy nie mają żadnego dokumentu, który by potwierdzał, że są Polakami. Karta Polaka jest potrzebna dla naszych dzieci, żeby mogły korzystać ze stypendiów, wyjeżdżać na kolonie i kursy. Starsi chcieliby mieć kartę, żeby w razie czego dostać od Polski jakąś pomoc. Czy od ojczyzny chcemy tak dużo?* – pyta Chmielowa, prezes federacji organizacji polskich na Ukrainie.

– *Karta dla Polaków przede wszystkim święty spokój na granicy, przestaną z nas zdierać pieniądze i traktować nas jak cudzoziemców* – mówią rodacy we Lwowie. Doradca premiera ds. Polonii i Polaków za granicą M. Dworczyt zapewniła, że w czerwcu projekt ustawy o Karcie Polaka ma być gotowy. Czy zawirowania polityczne w Sejmie nie spowodują przesunięcia debaty i uchwalenia Karty Polaka? Polacy zza wschodniej granicy czekają na nią z niecierpliwością.

Pamięci Rafała Maszkowskiego

Był najwybitniejszym polskim dyrygentem drugiej połowy XIX wieku. Urodził się w 1838 r. we Lwowie, studiował we Wiedniu, ale sławę zdobył we Wrocławiu, gdzie za wstawiennictwem samego Johanna Brahmsa objął posadę dyrygenta Wrocławskiego Towarzystwa Muzycznego. Ceniono go za interpretację wielkich dzieł muzyki wokalno-instrumentalnej, miał odwagę reprezentować kompozytorów słowiańskich, w tym polskich.

Zmarł we Wrocławiu w 1901 r. Piękna figura anioła grającego na skrzypcach od ponad stu lat czuwa nad pochowanym w nim Rafałem Maszkowskim. 105 rocznicę śmierci wybitnego polskiego dyrygenta i skrzypka uczczono koncertem w Filharmonii Wrocławskiej. Tablicę poświęconą Jemu odsłonił wnuk Jan Zyndram Maszkowski.

Różne tytuły, jeden temat

Staraniem śp. prof. nauk technicznych Bolesława Brosia, pioniera odbudowy wielu wrocławskich i dolnośląskich obiektów przemysłowych, od sierpnia 1945 r., pod patronatem Zarządu Głównego TMLiKPW, ukazała się książka pt. „Pierwsze lata na Ziemiach Zachodnich”. Są to wspomnienia, relacje, niekiedy dramatyczne przeżycia osobiste pierwszych Polaków – głównie ekspatriowanych ze Lwowa i Kresów – którzy zaraz po zakończeniu działań wojennych organizowali polskie szkolnictwo wyższe w zdruzgotanym Wrocławiu, służbę zdrowia, uruchamiali zakłady przemysłowe i przejmowali gospodarstwa rolne na tzw. Ziemiach Odzyskanych. To dzięki nim polskie miasto Lwów przeniosło się do niemieckiego Breslau, przekształcając je w Polski Wrocław – napisał o nich brytyjski publicysta Timothy Garton Asch.

Druga książka, choć ma tytuł „Szpalty z dziejów Uniwersytetu Wrocławskiego” mogłaby nosić tytuł pierwszej. Składa się w całości z artykułów prasowych z lat 1945-1947, zdjęć i karykatur z dzienników wrocławskich: „Nasz Wrocław”, „Naprzód Dolnośląski”, „Wro-

clawski Kurier Ilustrowany” oraz „Akademik Wrocławski”, które zebrała i przygotowała do druku dr Teresa Suleja dyrektor Archiwum UW.

Uzupełnieniem obu powyższych książek jest książka pt. „Taki zwyczajny. O profesorach Uniwersytetu Wrocławskiego” autorstwa Wandy Dybalskiej, dziennikarki wrocławskiej „Gazety Wyborczej”. Zawiera 19 szkiców o słynnych, nieżyjących już wybitnych wrocławskich uczonych – uzupełnionych wyjątkowymi zdjęciami z domowych archiwów – którzy tworzyli po wojnie podwaliny polskiej nauki we Wrocławiu.

Te trzy książki wzajemnie się uzupełniają i tworzą tryptyk tematyczny o pierwszych dniach, miesiącach, latach na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Fascynująca lektura, zwłaszcza dla interesujących się powojenną historią Wrocławia. Warto je nie tylko przeczytać, ale i mieć na półce z książkami. Polecam.

Zwłaszcza Lwowiacy potrafią...

Kazimierz Górski, lwowiak z urodzenia, frontowiec II wojny światowej, warszawiak z wyboru skończył 85 lat. Wielki skromny człowiek i wielki piłkarski trener, który wprowadził nasz futbol na światowe wyżyny w latach 70. Orły Górskiego zdobyły medal na mistrzostwach świata w 1974 r., pokonując wcześniej Anglię, zdobyły złoty i srebrny medal olimpijski.

„Nigdy przedtem ani nigdy potem sport nie odegrał takiej roli w propagowaniu Polski jak wtedy – wspomina znany dziennikarz sportowy Bohdan Tuszyński. – *Myślę że to ludzie z naszych Kresów mają w sobie taki niezwykły potencjał, a zwłaszcza lwowiacy (...) mają takie integrujące charaktery. I są z reguły dobrymi ludźmi, jak pan Kazio...*

Z okazji 85 rocznicy urodzin prezydent RP Lech Kaczyński udekorował Jubilata Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. W uroczystości w Pałacu Prezydenckim wzięli udział piłkarze Wielkiej Drużyny z lat siedemdziesiątych – G. Lato, Wł. Żmuda, J. Tomaszewski, A. Musiał, L. Ćmikiiewicz, J. Domarski.

Gratulacje i 100 lat, Panie Kazimierzu! Już niedaleko...

Największy w Polsce

Oddział Wrocławski TMLiKPW obejmuje swym patronatem 5 Klubów: 3 „lwowskie”, „Podolan”, „Samborski” oraz Oddział Kołomyja-Pokucie. W okresie sprawozdawczym 2001-2005 ubyto wielu członków i obecnie liczy 621 lwowiaków i kresowiaków. Największym niewątpliwie sukcesem Wrocławskiego Oddziału są organizowane, nieprzerwanie od lat, cieszące się wielkim powodzeniem, Młodzieżowe Rajdy Śladami Zabytków Lwowa w grodzie nad Odrą oraz Konkurs Wiedzy o Lwowie – wspólnie ze Szkołą Podstawową nr 91 im. Orłąt Lwowskich, Fundacją Kresową „Semper Fidelis” oraz „Osso-lineum”. W latach 2001-2005 w Rajdach uczestniczyło 260 uczniów z 43 szkół podstawowych, 42 gimnazjów i 10 liceów, a w konkursach – 411 dziewcząt i chłopców z 58 szkół podstawowych, 71 gimnazjów oraz 8 liceów, nie tylko z Wrocławia.

Wrocławski Oddział organizuje od lat tradycyjnie Dni Lwowa – imprezy na Rynku przy pomniku Aleksandra hr. Fredry, „Bał na ulicy Lwowskiej”, koncerty w Klubie Muzyki i Literatury, występy kabaretu „Ferajna” (pod kier. Z. Puchałowej), wystawy o tematyce lwowskiej i in.

Klub „Orłąt Lwowskich” (prezes M. Rogalski) urządza, rokrocznie w listopadzie, pod pomnikiem Orłąt Lwowskich, uroczyste obchody rocznicy zwycięskiej Obrony Lwowa. W latach 2001-2004 Wrocławski Oddział był organizatorem kolonii dla dzieci polskich ze Lwowa i z Kresów, połączonej z badaniami lekarskimi, nauką języka polskiego i oczywiście zwiedzaniem Dolnego Śląska i innych regionów. Uczestniczyło w nich 170 dziewcząt i chłopców oraz 16 wychowawców. Niestety, z powodu wstrzymania finansowej pomocy ze strony miasta i innych instytucji akcję tę zawieszono. Szkoda.

Największy wrocławski Klub TMLiKPW „Leopolis” (220 członków, prezes E. Urbańska) oraz Oddział Kołomyja i Pokucie (220 członków, prezes Z. Berling) prowadzą wszechstronną działalność – odczyty, prelekcje, spotkania z ciekawymi ludźmi, promocje książek, projekcje filmowe, wystawy, wycieczki na Kresy. Organizują akcje charytatywne pomocy rodakom za wschodnią granicą, wspomagają odbudowę świątyni i cmentarzy na Kresach. Ukazuje się biuletyn „Wiadomości z Kołomyi i Pokucia”. Klub „Nauczycielski” (prezes J. Słaby) zorganizował 57 comiesięcznych spotkań i imprez, w których wzięło udział 1650 osób. „Podolanie” (prezes W. Dąbrowski) urządzili w minionych dwóch latach 14 spotkań integracyjnych, śpiewem i tańcem ukazując piękno swoich „małych ojczyzn kresowych”, odwiedzili rodaków w Barze, Fastowie na Podolu, Mieniewiczach na Wołyniu, wydają drukiem swoje wspomnienia.

Odnótowałem to wszystko na Walnym Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym Oddziału Wrocławskiego TMLiKPW, który wybrał nowe władze. Prezesem został (ponownie) Zdzisław Piwko, wiceprezesem Zbigniew Berling, a sekretarzem Danuta Dąbrowska. Nowy Zarząd będzie kontynuować dotychczasową działalność. Przekazał w ub. miesiącu do Lwowa, dla rodaków chorych na cukrzycę, aparaty elektroniczne do błyskawicznego badania poziomu cukru we krwi oraz leki, zabiega o sprowadzenie na tegoroczne Dni Lwowa we Wrocławiu lwowskiego zespołu „Wesoły Lwów” lub „Lwowiacy...”.

Życzę nowemu Zarządowi Oddziału Wrocławskiego TMLiKPW pomyślności w realizowaniu tych zamierzeń oraz większej przychylności i zrozumienia u „ojców” Wrocławia dla jego działalności na rzecz największego w kraju środowiska kresowego.

Kresowanie i Kresy są im bliskie

I za to Danuta Drożdż z mazowieckiego PCK została wyróżniona „Medalem Towarzystwa Straży Kresowych”, a popularna piosenkarka Jolanta Kubicka, utalentowana śpiewaczka operowa Agata Marcewicz-Szymańska i znana animatorka klutury, twórczyni Europejskiej Biesiady Weselnej, dyrektorka Węgrowskiego Ośrodka Kultury – Ewa Beszłak, zatrzymały honorowe odznaki „Zasłużony Działacz Kultury”. Gratulujemy.

Podhorce uratowane

Rezydencja w Podhorcach na Ziemi Lwowskiej to jedno z najcenniejszych założeń pałacowo-ogrodowych powstałych na kresach RP w XVII wieku. Wybudowano ją dla hetmana Stanisława Koniecpolskiego w latach 1635-40 wzorując się na ówczesnych rozwiązaniach włoskich. Przez trzy stulecia znajdował się w posiadaniu czołowych polskich rodów arystokratycznych: Ko-

niec polskich, Sobieskich, Rzewuskich, Sanguszków. Ci ostatni, by uchronić zbiory przed działaniami wojennymi, wywieźli w 1939 r. ich część do Brazylii (do dziś zarządza nimi fundacja Sao Paolo), inne trafiły do muzeum w Tarnowie oraz na Wawel. Po wojnie część zamku strawił pożar, w czasach władzy sowieckiej zlokalizowano tam szpital dla chorych na płuca. Od 1997 r. zarządza nim Lwowska Galeria Sztuki.

— Kiedy odzyskał ten zabytek, przedstawiał rozpaczliwy widok — mówi Borys Woźnicki, dyrektor lwowskiego ZGSz. Udało nam się przywrócić dawny układ sal, usunąć liczne kuriozalne przeróbki czynione na potrzeby szpitala. Po wielkich staraniach znaleźliśmy sponsora, który przekazał 600 tys. hrywien (ok. 100 tys. dolarów). Za te pieniądze pokryliśmy zamek miedzianą blachą i odtworzyliśmy kopuły, których nie było ponad 200 lat. Aby zamek zalał pełnym blaskiem potrzeba jeszcze ok. 6 mln dolarów. Liczę na prezenta Juszczkę, który gdy zobaczył Podhorce, zaniemógł z wrażenia i westchnął: — Boże jedyny, nawet nie wiedziałem, że mamy takie cuda...

Kto nie widział, nie zwiedził tej polskiej rezydencji magnackiej, mógł się przekonać o jej wielkości i pięknie na wystawie „Polsko-ukraińskie badania zależeń rezydencjonalnych: PODHORCE”, którą otwarto w końcu ub. roku w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Tamże można się było dowiedzieć, że w 2004 r. Krajowy Ośrodek Badań i Dokumentacji Zabytków wraz z partnerami ukraińskimi rozpoczął wyżej wymienione badania i sporządzanie dokumentacji obiektów stanowiących wspólne dziedzictwo kulturowe Polski i Ukrainy. Podhorce są pierwszym etapem tego programu. Wykonano inwentaryzację architektury ogrodowej i analizę szaty roślinnej parku pałacowego, przeprowadzono jego wstępne rozpoznanie archeologiczne oraz zarejestrowano relację założenia pałacowo-ogrodowego z otaczającym krajobrazem. W tych pracach uczestniczą i pomagają polscy studenci z Uniwersytetu i Kardynała S. Wyszyńskiego oraz Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.

Cieszy, że ten wspaniały zabytek został uratowany od zagłady, że dzięki badaniom, analizom i opracowaniom polskich specjalistów i studentów będzie można przywrócić mu pierwotne piękno.

„Pan Tadeusz” we Wrocławiu

Minister kultury i dziedzictwa narodowego K. Ujazdowski, minister edukacji i nauki M. Seweryński, prezydent Wrocławia R. Dutkiewicz i dyrektor wrocławskiego „Ossolineum” A. Juzwenko podpisali porozumienie o wspólnej promocji projektu „Pan Tadeusz we Wrocławiu”. Zakłada on utworzenie w stolicy Dolnego Śląska muzeum, w którym prezentowane będą najcenniejsze skarby polskiej literatury, a główną atrakcją ma się stać rękopis „Pana Tadeusza” A. Mickiewicza. Nowe muzeum będzie się mieścić w kamienicy „Pod Złotym Słońcem” i przy Rynku, w pomieszczeniach po byłym Muzeum Medalierstwa, które już zostało przeniesione w inne miejsce.

116-letni Kresowiak!

Najstarszym Dolnoślązakiem, a może nawet Polakiem, jest rolnik Paweł Parniak, który 27 lutego br. skończył 116 lat! Sędziwy jubilat mieszka w Woliborzu k. Nowej Rudy z 59-letnim wnukiem i jego rodziną.

Urodził się w 1890 r. w Nowosiółce Biskupiej na Kresach. Ekspatriowany po wojnie na Ziemię Zachodnią trafił w okolice Szczecina, gdzie prowadził gospodarstwo rolne. W latach 70. przeniósł się do Woliborza. Mimo że stracił słuch i wzrok czuje się zdrowy i nie wymaga stałej opieki lekarskiej.

Co życzyć takiemu długowiecznemu Jubilatowi? Dożycia 120 lat wydaje się nietaktem...

Jak nie pomnik, to ulica...

W Iwano-Frankowsku, dawnym Stanisławowie, jest muzeum Ukraińskiej Armii Powstańczej. Do pełnego szczęścia miejscowym nacjonalistom, pogrobowcom UPA brakowało Stepana Bandery. Już jest. Postarał się o to Roman Krucyk — radny, który doprowadził do przemianowania nazwy ulicy, noszącej imię rosyjskiego Kujbyszewa, na Stepana Bandery.

— Prosił mnie mieszkający na tej ulicy: — Każdego, panie Romanie, kijowskich kniaziów, pisarzy jakichś, byle nie Bandery — śmieje się radny Krucyk. — Nie ugiąłem się...

„Zwycięski” pochód Stepana Bandery przez Zachodnią Ukrainę trwa.

Wieści ze Lwowa

● Prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz miasta partnerskiego Lwowa — był w marcu gościem Ukraińsko-Polskiego Salonu Osobliwości we Lwowie, do którego należą politycy, ludzie kultury i nauki, działacze społeczni. Na spotkaniu w Pałacu Potockich, w którym uczestniczyła także grupa inteligencji polskiej — członków TKPZL, gość mówił o Wrocławiu, jego rozwoju, problemach. Zapewnił że „Lwów nad Odrą” chętnie włączy się w obchody rocznicy Lwowa nad Półcią.

● Lwów będzie miał metro. Zatwierdzono już rządowy program budowy metra za pieniądze z budżetu państwowego (5 mld hrywien) i lokalnego (4,5 mld hrywien).

● W maju do Opery Lwowskiej przyjadą artyści z La Scali.

● We Lwowie mieszka 13 osób, które przekroczyły setny rok życia, na Ziemi Lwowskiej jest ich 106. Są to przeważnie kobiety.

● 30 lat mieszkał we Lwowie syn wielkiego muzyka Wolfganga Mozarta — Franciszek Ksawery. Jedną z lwowskich ulic otrzyma nazwę W. A. Mozarta.

● Bezrobotni będą odnawiali zabytki architektury, będą pracować na cmentarzach Łyczakowskim i Janowskim, na Wysokim Zamku i na zaniedbanych podwórkach.

● Rozpoczęto produkcję trolejbusów „harmonijkowych” w Lwowskiej Fabryce Autobusów. Pierwsze pojazdy trafią do Kijowa, Stanisławowa i Tamopola.

● Szkoła nr 10 — dawna św. Marii Magdaleny organizuje zjazd absolwentów we wrześniu br. z okazji jubileuszu 190-lecia istnienia szkoły.

● „Nasz Krzemieniec” — taką nazwę ma wystawa otwarta we Lwowie z okazji 200-lecia założenia Liceum Krzemienieckiego. Prezentowane są obrazy artystów polskich i ukraińskich malujących Krzemieniec oraz fotografie tego miasta. Wystawa ma być eksponowana także w polskim Sejmie.

Smaczno Jajka Wielkanocnego!

KRONIKARZ KRESOWY

Zbigniew Umański

Jerzy Janicki doktorem h.c. Uniwersytetu Opolskiego

Senat Uniwersytetu Opolskiego na posiedzeniu w dniu 23 lutego 2006 r. — na wniosek Rady Wydziału Historyczno-Pedagogicznego — podjął uchwałę o przyznaniu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego **Jerzemu Janickiemu** — wybitnemu pisarzowi, popularyzatorowi dzieł Lwowa i Kresów, scenarzyste i filmowcowi, honorowemu prezesowi Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. w Warszawie, laureatowi wielu nagród i wyróżnień.

Uroczystość nadania Mu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego (a także profesorowi dr. hab. Janowi Miodkowi z Wrocławia) odbyła się 10 marca br. w Opolu w 12. rocznicę powstania tej uczelni na Ziemi Opolskiej. W przeddzień tej uroczystości, w kościele Seminarjno-Akademickim pw. św. Jadwigi Śląskiej, została odprawiona w intencji Doktorów h.c. Msza św. koncelebrowana pod przewodnictwem Wielkiego Kanclerza Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego ks. arcybiskupa prof. dr. hab. Alfonsa Nossola. A w Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego otwarto wystawę prezentującą dorobek twórczy Jerzego Janickiego oraz prof. Jana Miodka i wyświetlono film o obu bohaterach uniwersyteckiego święta.

10 marca, o godz. 11, w auli Wydziału Teologicznego UO rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja otworzył uroczystość nadania tytułów honoris causa UO, witając obu Doktorantów i gości — wojewodę i marszałka opolskiego, władze Opola i prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza, reprezentantów uniwersytetów i wyższych uczelni w Warszawie, Wrocławiu, Poznaniu, Rzeszowie i Gliwicach i innych gości honorowych.

W swoim wystąpieniu rektor Uniwersytetu Opolskiego zwrócił uwagę na niezwykłość Śląska Opolskiego. Po zakończeniu II wojny światowej rodowici mieszkańcy tej ziemi, od wieków tu mieszkający spotkali się z Polakami wygnanymi z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, którym tu kazano się osiedlić. Do obu tych grup ludności dołączyli Polacy z różnych stron kraju, a także powracający z emigracji. A zatem do rangi symbolu urasta fakt, że w jednym dniu tytuł doktora honoris causa otrzymują pochodzący ze Śląska prof. Jan Miodek i wywodzący swój ród z Kresów Jerzy Janicki. Obu ich łączyło również i to, że — wprawdzie w różnych latach — ukończyli tę samą uczelnię, i ten sam kierunek studiów — filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim.

Następnie dziekan Wydziału Filologicznego UO prof. dr hab. Irena Jokiel oraz dziekan Wydziału Historycznego UO prof. dr hab. Stefan Marek Grochalski przedstawili przebieg przewodów doktorskich oraz sylwetki obu honorowych Doktorantów. Recenzentami doktoratu Jerzego Janickiego byli: prof. dr hab. Włodzimierz

Bonusiak, rektor Uniwersytetu Rzeszowskiego i prof. dr hab. Czesław Osękowski, rektor Uniwersytetu Zielonogórskiego. Uroczyste *laudatio* (mowę pochwalną) o J. Janickim wygłosił promotor Jego honorowego przewodnictwa doktorskiego — rektor UO prof. S.S. Nicieja. Uczestniczący w tej podniosłej uroczystości, zwłaszcza lwowianie i kresowianie, a i sam Doktorant byli pod wrażeniem niezwykle pięknego w formie i głębokiego w treści *laudatio* (zamieszczamy ją w całości poniżej). Po odczytaniu Dyplomu Doktorskiego rektor UO wręczył go, wśród burzy oklasków, ubranemu w doktorską togę i biret Jerzemu Janickiemu. Chór akademicki zaśpiewał *Gaude Mater Polonia*, a później lwowskie piosenki *Gdybym się jeszcze urodził miał znów...*

Po otrzymaniu doktoratu, nie ukrywając wzruszenia, doktor h.c. Jerzy Janicki podziękował władzom opolskiego Uniwersytetu za nadanie mu najwyższego lauru, jaki może ofiarować wyższa uczelnia. — *Czuję się zaszczycony tym niezwykłym wyróżnieniem, przyznawanym wybitnym ludziom nauki i kultury...* — powiedział. W swoim wystąpieniu przypomniał wydarzenie, które miało wielki wpływ, że lwowskość i kresowość stały się jego życiową pasją. „Jako młody, początkujący dziennikarz wrocławskiego *Słowa Polskiego* został służbowo wysłany do Opola, by sprawdzić dlaczego stały felietonista Tadeusz Szafraniec nie przysyła zamówionych tekstów. okazało się, że pod wskazanym adresem mieszkał... Stanisław Wasylewski: „... *Zanim skojarzyłem, drzwi otworzyła mi legenda Lwowa, autor najważniejszych o nim książek, członek Polskiej Akademii Literatury, wychowanek i stypendysta Ossolineum! Poczułem się jak rekrut przed generałem! To on zwrócił mi uwagę, że warto zainteresować się przeszłością...*”.

Reprezentujący Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. prezes Andrzej Kamiński, jako pierwszy (a za nim aktor i dyrektor Teatru Polskiego we Lwowie Zbigniew Chrzanowski, prezes opolskiego TMLiKPW Zdzisław Kuhl, b. poseł ziemi legnickiej dr Tadeusz Samborski i inni), złożył J. Janickiemu — w imieniu wszystkich członków Towarzystwa, a szczególnie od wrocławskich lwowiaków — serdeczne gratulacje zaszczytnego wyróżnienia doktoratem h.c. Uniwersytetu Opolskiego. — *Jesteśmy z Ciebie dumni!* Dziękując, Doktorant oświadczył z batiańskim uśmiechem A. Kamińskiemu: *Melduję, panie prezesie: zadanie wykonane!* — wywołując gromki śmiech.

Taki to już jest nasz Jurciu Janicki! Był, i pozostanie nadal, lwowskim batiańcem z Łyczakowa z szelmowskim uśmiechem na twarzy. Mimo doktorskiej togi, biretu na głowie i tytułu Doktora h.c.! I takim Go kochamy i cenimy. Ściskamy Ci graby, daj pyska. I daj Ci Boży zdrowi, bo Ci coś ostatnio szwankuje — abyś mógł jeszcze długo i wiele pisać i filmować lwowskie kawałki!

Wygany z Edenu

Laudacja prof. Stanisława Sławomira Nicieji z okazji przyznania Jerzemu Janickiemu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego

Leszek Żuliński w jednym z esejów napisał: „Każdy ma swój Eden, z którego został wypędzony. Czasem bywają to całe ludy. Wtedy mit raju utraconego przekazywany jest z pokolenia na pokolenie i chroniony jak

relikwia. Bo mit ten jest pieczęcią tożsamości i łącznikiem diaspor. Wszyscy banici i wędrowcy szukają wspólnoty w kulturze. Bo tak naprawdę tylko ona jest naszym domem. Dom ten może być ogromny jak kraj,

niewielki jak region, czasami mały – jak miasto. Miasto! Czy Joyce miał coś droższego ponad Dublin? Mann – ponad Lubekę? A Grass – ponad Gdańsk?

Przywołane przez Żulińskiego egzemplifikacje miast uruchamiających najczulsze struny pamięci, wypełnionych miłością, jakże często rajów utraconych, do których wyobraźnia ciągle powraca, by wędrować po ścieżkach młodzieńczych wspomnień, można by mnożyć. Dla Alberta Camusa był to Algier. Dla Immanuela Kanta był to Królewiec, dla Juliana Tuwima Łódź, dla Horsta Bienka Gliwice, dla Goethego malarzki Weimar, dla Krzysztofa Buckiego Pińczów, dla Josepha Eichendorffa malarzka śląska Nysa. A dla Jerzego Janickiego jest to Lwów.

Rzecz zadziwiająca, jak dla wielu twórców, i to ludzi różnych zawodów i zdolności, tym magicznym miejscem jest właśnie Lwów – miasto, które w swych dziejach bodaj najczęściej zmieniał nazwę, włączane w różnorakie organizmy państwowe i narodowe. Norman Davies w swej świetnej książce *Europa* poświęcił temu miastu specjalną „kapsułkę”, zastanawiając się nad fenomenem pulsującej nazwy: Lwów, Lwiv, Lemberg, Löwenberg, Leopold, Lwow, a Jurij Andruchowycz użył nawet sanskryckiej nazwy Singapur i romańskiej Peugeot.

Jeszcze większym fenomenem tego miasta jest to, że miało ono nader liczne grono utalentowanych, a częstokroć genialnych piewców swego piękna i wielkości, którzy nie byli w stanie uwolnić się od nostalgicznych nawrotów do utraconego raju młodości. Najwięcej pośród nich było Polaków, jak choćby Herbert, Śliwiak, Kilar, Zagajewski, Lem, Makuszyński, Hemar, Parandowski, ale nie brakowało też Żydów, Ormian, Rusinów, Niemców, Francuzów. Mógłbym wymieniać dziesiątki nazwisk sławnych lwowiaków o zadziwiająco różnorodnych profesjach i talentach, odnotowanych przez wszystkie leksykony, encyklopedie i słowniki biograficzne.

Nie sposób, próbując ogarnąć całość niezwyklego zjawiska literackiego, jakim jest Jerzy Janicki, nie odwołać się do Jego biografii, i mitologii miasta, które jest Jego mikrokosmosem, źródłem fascynacji, przedmiotem nostalgii, które uczyniło zeń narkotycznego kolekcjonera leopolita i osobliwego pasażera podróżującego Schulzowskim pociągiem między *Sklepami cynamonowymi* a *Sanatorium Pod Klepsydrą*, między Łyczakowem, Zamarstynowem, Gródkiem, Kleparowem, Winnikami i dalej na Buczaczu, Jazłowiec, Czortków, Kamieniec Podolski.

Mam głębokie przekonanie, że jednym z ostatnich, co tak poloneza wodzi w mitologizowaniu Lwowa, jest Jerzy Janicki ze swą niezwykle twórczością, będącą najczęstszą literacką wyprawą w krainę własnej młodości.

Jerzy Janicki (rocznik 1928), urodzony w Czortkowie na Podolu w rodzinie notariusza Zdzisława Janickiego, lata chłopięce i młodość spędził we Lwowie, na Łyczakowie w kamienicy pod numerem 87. We Lwowie uczęszczał do szkoły razem ze znanym później dyrygentem Stanisławem Skrowaczewskim, aktorem Ryszardem Pietruskim, pisarzem Adamem Hollankiem i Ireną Dziedzic – później pierwszą damą Telewizji Polskiej.

Po decyzjach poczdamskich opuścił swe rodzinne miasto i z tysiącami wygnańców wyjechał na Zachód. W Krakowie w 1946 r. zdał egzamin dojrzałości i rozpoczął pracę dziennikarską jako reporter sportowy. W latach 1947-1948 studiował polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim, następnie przeniósł się do Warszawy, gdzie już jako zawodowy dziennikarz pracował w różnych redakcjach, m.in. w „Razem” i „Pokoleniu”. Od roku 1952 na łamach tygodnika „Świat” dość regularnie publikował reportaże i opowiadania.

Za Jego debiut literacki uznawany jest reportaż pt. *Nylon* zamieszczony na łamach „Świata” w roku

1953. Rok później podjął pracę w redakcji literackiej Polskiego Radia, co okazało się momentem przełomowym w Jego biografii artystycznej. Z czasem zaczął w radiu redagować magazyn satyryczny *Parnasik*, cieszący się ogromną popularnością i skupiający wokół siebie wybitnych polskich aktorów i satyryków. Podobnym uznaniem cieszyła się inna audycja paraliteracka *Krasnoludki są na świecie*, redagowana wspólnie z Andrzejem Kudelskim. W 1956 r. pojawiła się na antenie powieść radiowa *Matysiakowie*, która w ówczesnych warunkach była ewenementem w Europie; wyprzedziła o prawie pół wieku tak modne obecnie w telewizjach europejskich telenowele rodzinne. To, co w tej materii stało się zjawiskiem powszechnym, niegdyś było unikatem i Janicki uchodził za prekursora tak popularnego dziś gatunku.

W 1958 r. na łamach „Sztandaru Młodych”, wspólnie z przyjacielem Andrzejem Mularczykiem, opublikował swą pierwszą powieść *Liczę na wasze grzechy* pod wspólnym pseudonimem Andrzej Jurek; kilka lat później sfilmował ją wybitny reżyser starszego pokolenia Jerzy Zarzycki z bardzo popularnymi wówczas aktorami Ewą Krzyżewską i Janem Kociniakiem w rolach głównych.

Swój pierwszy utwór dramatyczny pt. *Cześć jego pamięci* Jerzy Janicki opublikował na łamach „Dialogu”, a w 1962 r. w warszawskim Teatrze Ateneum wystawiono Jego pierwszą jednoaktówkę pt. *Stworzenie świata*. Lata 60. to w biografii Janickiego głównie praca dla radia i filmu polskiego.

Jerzy Janicki jest twórcą wyjątkowo płodnym. Przypomnijmy dla porządku, że jest autorem scenariuszy do 18 filmów fabularnych, m.in. do: *Człowieka z M-3*, z Bogumiłem Kobielą, *Przerwanego lotu* z Elżbietą Czyżewską, *Bumerangu* z Barbarą Brylską, *Trzech kroków po ziemi* z Tadeuszem Fijewskim i Ewą Wiśniewską, *Miliona za Laurę* z Tadeuszem Rossem, *Wolnej soboty* z Wojciechem Siemionem i Zdzisławem Wardejmem, *Tragarza puchu* z Hanną Schygullą; jest też autorem scenariuszy głośnych i ważnych dla kultury polskiej, dziś już legendarnych, seriali telewizyjnych: *Umarłem, aby żyć* z Januszem Bukowskim, *Polskie drogi* z Karolem Strassburgerem w roli głównej i piękną, uchodzącą dziś za klasykę, muzyką również wybitnego lwowianina Andrzeja Kurylewicza, *Ballada o Januszku* z Lidią Szukszyną, *Dom* z Wacławem Kowalskim i piękną muzyką Waldemara Kazaneckiego, twórcy słynnego walca do filmu *Noce i dnie*.

Dom, stworzony wspólnie z Andrzejem Mularczykiem – wielkim przyjacielem i „komilitonem” od najwcześniejszych prób literackich Janickiego, jest jednocześnie epopeją historyczną, mówiącą o przeobrażeniach społecznych zachodzących w Warszawie i w Polsce, z bardzo bogatym tłem historycznym i świetną dokumentacją, która czyni zeń wręcz fabularyzowany film dokumentalny. Dla przykładu: żeby odtworzyć budowę warszawskiej Trasy W-Z, na plan tego filmu ściągnięto nie tylko autentyczne rekwizyty z epoki – plakaty, stroje, hasła – ale również samochody, autobusy, a nawet wagoniki, którymi wywożono gruzy z tego pobojuwiska, fabulę zaś przeplatano autentycznymi kronikami filmowymi, w których piosenki dawnej Warszawy śpiewał Mieczysław Fogg, a młodzież tańczyła boogie-woogie. Nic więc dziwnego, że film ten został uznany za serial wszech czasów i przyniósł Janickiemu i Mularczykowi ogromną popularność, wiele prestiżowych nagród i wyróżnień, w tym Super Wiktora, trofeum wyjątkowe – wdzięczność milionów widzów. Dziś jest niedościgłym wzorem wielkich filmowych fresków historycznych. Spełnił podobną rolę jak niegdyś wielkie powieści-rzeki z panoramą historyczną w tle – *Noce i dnie* Marii Dąbrowskiej czy *Nad Niemnem* Elży Orzeszkowej.

Pamiętamy też, że Janicki jest autorem kilkunastu filmów słuchowisk radiowych – w tym choćby wielokrotnie nagradzanego *Koty to dranie*, *Tragarz puchu*, *Hasło* – i trzykrotnie reprezentował Polskę na Prix Italia. Jest też autorem wielu tomów opowiadań, by wymienić tylko takie książki, jak: *Kłaniaj się drzewom*, *Nieludzki doktor*, *Biografia w walizce*. Warto pamiętać, że Jego sfilmowane opowiadania bieszczadzkie – takie jak *Wolna sobota*, *Hasło*, *Kino objazdowe*, *Niespotkanie spokojny człowiek* – mają swój udział w mitologizacji Bieszczad, które są dla Janickiego, człowieka niebawale aktywnego i ruchliwego, od kilkunastu lat miejscem zapewniającym spokój i ukojenie. W bieszczadzkim Chmielu, pod Zatrwarnicą, Leskiem i Wetliną, ma swój dom, nad którym unosi się na pewno duch kompozytora Krzysztofa Komedy – pierwszego właściciela tej leśnej samotni. Jest to dom otwarty, zjeżdżają doń często liczni przyjaciele Janickiego i Jego żony – wybitnej polskiej okulistki, światowej sławy specjalistki od jaskry, prof. Krystyny Czechowicz-Janickiej. To w Zatrwarnicy Janicki organizował coroczne przeglądy filmów o Bieszczadach z udziałem najwybitniejszych polskich aktorów i reżyserów.

Niezwykle ważnym nurtem tematycznym tej ogromnej, imponującej twórczości jest Miasto – dla Janickiego raj utracony. Czasem pisze o nim wprost, czasem aluzyjnie, czasem dotyka go daleką asocjacją. Ale Lwów jest przy nim ciągle. Magnetyzuje, zapładnia, infekuje, inspiruje, a czasem paraliżuje jego wyobraźnię.

Swe miłości do miasta rodzinnego dawał publicznie wyraz już w latach 60., kiedy w kraju ze względów politycznych nie można było mówić o Lwowie. Już wówczas, w jakże popularnej w tym czasie – a nadawanej do dziś – radiowej powieści *Matysiakowie* począł dyskretnie wprowadzać co pewien czas dialogi pisane lwowskim bałakiem (postać wuja Feliksa). Tą samą metodą posłużył się w pierwszych odcinkach serialu *Dom* (piękna tragiczna postać akordeonisty Tolka Pociągły – grana również przez lwowiaka, pieśniarza i poetę Jerzego Michotkę). Najcięższy zarzut, jaki kierowano później pod adresem *Domu*, to ten, że Janicki tak wcześnie uśmiercił Pociągłego. Powtórzyło się, sto lat temu, Henrykowi Sienkiewiczowi zarzucono, że za wcześnie uśmiercił Longinusa Podbięnię w *Ogniu i mieczu*.

W jednej z książek, w *Krakidalach*, przyznał Janicki, że chciał naprawić ten błąd i wprowadzić do kolejnych odcinków wznowionego serialu *Dom* postać brata Pociągłego, który miał przyjechać do Warszawy na Chmielną z emigracji z Londynu. Był już rok 1995. Potrzebny był aktor mówiący autentycznym bałakiem. Reżyser *Domu*, Jan Łomnicki – kresowiak z Podhajec – proponował siedmiu aktorom (wszyscy z górnych półek), niestety, żaden nie zadowolił ani Janickiego, ani Łomnickiego. Nie byli w stanie posłużyć się autentycznym bałakiem, a nie jego imitacją, co ucho wytrawnego lwowiaka natychmiast wychwyci. Tak więc wątek lwowski w *Domu* już się nie odrodził. Wielka szkoda.

Fenomen bałaku, który niestety nieodwołalnie umiera i którego nie da się zapisać na papierze, analizuje Janicki w najbardziej poetyckim i jednocześnie noszącym znamiona studium językoznawczego rozdziale *Krakidalałów*, w którym jako eksperci występują Kazimierz Schleyen (*Lwowskie gawędy*), Andrzej Chciuk (*W krainie wielkiego bałaku*, *Ziemia księżycowa*) i odkryci przez Janickiego Adam Kozłowski i Mieczysław Magiera (autor zadziwiającego w swej konstrukcji i brzmieniu trzynastozgłoskowca pt. *W krainie stryjskiego bałaku*).

Ale wróćmy do biografii Janickiego. Wątek lwowski w Jego twórczości z całą siłą wypłynął dopiero po roku

1986, kiedy wyraźnie zelżały kleszcze cenzury. Wtedy zrealizował film dokumentalny i opublikował w formie książkowej reportaż *4 lipca o świecie we Lwowie* – o kulisach wymordowania przez Niemców profesorów lwowskich na Wzgórzach Wuleckich w 1941 r.

Nieco później zrealizował film *Tońko, czyli ballada o ostatnim batiarze*, którego bohaterem był jeden ze słynnych komików *Wesołej lwowskiej fali* Henryk Vogelfanger. Film ten, wyświetlany w wieczór wigilijny 1988 r., mając wielomilionową widownię, poruszył nie tylko całą lwowską diasporę rozsianą po kraju, a skupiającą się w tym czasie w dziesiątkach nowo tworzonych kół miłośników Lwowa. Po tej projekcji w Polsce na nowo stała się przebojem piosenka lwowskich batiarów *Bo gdybym się jeszcze urodził miał znów – to tylko we Lwowie* i piosenka Hemara *Tyle jest miast, ale Lwów jest jeden na świecie* w świetnej interpretacji Michała Bajora, który, choć urodzony w Opolu, ma też korzenie kresowe.

U schyłku lat 80. Jerzy Janicki był pomysłodawcą i uczestnikiem wielu audycji telewizyjnych o Lwowie, jego kulturze i historii, m.in. głośnych reportaży Stanisława Auguścika pt. *Podróże na Kresy*. Dla nielicznych Polaków, którzy zostali w pojałtańskim Lwowie, organizował różnego rodzaju imprezy artystyczne z udziałem czołowych polskich artystów.

W tym czasie Jerzy Janicki zaczął realizować filmy biograficzne o tematyce lwowskiej, m.in.: *Tylko dla Orłów* z udziałem obrońcy Lwowa, lekarza osobistego gen. Władysława Andersa, dra Emila Niedzwirskiego, *A do Lwowa daleko aż strach* z udziałem Władysława Majewskiego – muzy Hemara, *Lwów tam i u mnie*, *Kwadrans z Hemarem*. Powstał również świetny cykl wywiadów ze sławnymi członkami lwowskiej diaspory pt. *Salon lwowski*, przekształcony następnie w *Salon kresowy*, obejmujący również Wołyń i Wileńszczyznę.

Ostatnio zrealizował filmy: *Legenda Orląt Lwowskich* o dziejach budowy, dewastacji, profanacji i odbudowy cmentarza Obrońców Lwowa, *Zadwórze – polskie Termopile* i sześciuodcinkowy film *Opowieści cmentarza Łyczakowskiego* (w tych realizacjach miałem przyjemność pełnić rolę narratora), a w minionym roku doprowadził, wspólnie z Henrykiem Janasem, do zakończenia dziesięciuodcinkowego filmu *Strażnice kresowe Rzeczypospolitej* – o Buczaczu, Brzeżanach, Chocimiu, Jazłowiecu, Kamieńcu Podolskim, Krzemieńcu, Okopach św. Trójcy, Olesku, Podhorcach, Zbarażu i Żółkwi.

Po książce eseistycznej *Ni ma jak Lwów* (1991), stanowiącej swoistą literacką, poetycką monografię Lwowa, nawiązującą do przedwojennej książki Stanisława Wasylewskiego *Lwów* (z cyklu „Cuda Polski”), Jerzy Janicki wydał w połowie lat 90. pierwszą swą lwowską trylogię *Cały Lwów na mój głów* (1993), *Towarzystwo weteranów... znam tych panów* (1994), *A do Lwowa daleko aż strach* (1995) – znakomicie ilustrowaną i dowcipną. Jest to osobliwy trytomowy słownik biograficzny wybitnych lwowian i ich potomków rozsianych po świecie, odsłaniający fantastyczne koligacje rodzinne.

W tych trzech książkach, emanujących urodą życia, ale też oddających dramat depolonizowania miasta, unicestwiania jego polskości, mieszają się konwencje: gawędy, reportaży, felietonu, zapisu faktu biograficznego, antologii, anegdoty i dowcipu, powiedzonek oraz notek encyklopedycznych.

Przychodzi wiek XXI i Janicki wydaje w oficynie „Iskry” *Czławkę* (2001) – pierwszy tom swojej lwowskiej sagi, który jeden z krytyków (Andrzej Ziemiński) na łamach „Rzeczypospolitej” (7 lutego 2001) nazwał poematem romantyczno-dygresyjnym.

Nie była to książka wprost o Lwowie, mimo że w nim są jej prawdziwe korzenie. Jej fabuła wyrasta z 40 biograficznych migawek pamięci o tym, jak historia przetrwała ludzi z kąta w kąt, jak okoliczności powodowały, że rośli, stawali się bohaterami, zadziwiali swymi czynami i swą postawą, jak osiągnęli sukcesy i sławę, ale też jak niektórzy z nich karleli i zapadali się w ludzką niepamięć albo w bolesne wspomnienie.

W *Człkawce* znalazł się literacki zapis losów: trzykrotnego premiera RP Kazimierza Bartla, zamordowanego we Lwowie, tragicznego samobójcy Alfreda Bilyka – ostatniego wojewody lwowskiego, kupca Ożjasza Hahna (ojca aktorki Ryszardy Hanin) i jego zięcia Leona Pasternaka, kompozytora Alfreda Schütza – tego od *Czerwonych maków na Monte Cassino*, Szymona Wiesenthala – tropiciela nazistów, Józefa Czaczkesa – plantatora awokado w Izraelu, Jasia Rippera, który w swym sportowym buggati ścigał się z przesławnym wówczas Caracciola. A wszystko to ma w tle wyniszczenie 100 tysięcy Żydów lwowskich i wyrzucenie na Zachód 200 tysięcy Polaków.

W drugim tomie, noszącym tytuł *Kluczyk Yale*, wydanym w 2002 r. Janicki pisał: o lwowskich Ormianach, w tym o swoim dziadku Julianie Łukasiewicz, po którym odziedziczył charakterystyczny mefistofeliczny nos, o słynnym śpiewaku Andrzeju Hiolskim i niegdyśszej pierwszej damie polskiej telewizji Irenie Dziedzic, sławnych lwowskich piłkarzach Michale Matyasie i Spirydonie Albańskim z Pogoni Lwów, brydżowym rebem Bogusławie Seifercie, kompozytorze Jerzym Abratowskim i jego tragedii związanej ze śmiercią Ludmiły Jakubczak – znakomitej piosenkarki z lat sześćdziesiątych (*Szeptem do mnie mów* i *Gdy mi Ciebie zabraknie*) o światowej sławy primabalerinie Barbarze Bittnerównie, rysownikach i malarzach – Szymonie Kobylńskim, Stanisławie Kaczorze-Batowskim i Edwardzie Dwurniku, o Polskim Teatrze we Lwowie i jego guru Zbigniewie Chrzanowskim, o ułanach jazłowieckich i chlebie kulikowskim, o sławnych cukiernikach Ludwiku i Władysławie Zalewskich, o poecie Jerzym Harasymowiczu i o wielu, wielu innych ludziach i faktach.

I wreszcie trzeci tom, wymuszony na autorze przez czytelników, zasypujących Janickiego listami, e-mailami, telefonami, noszący tytuł *Krakidały* – od słynnego lwowskiego placu, w czasie wojny największego targowiska w Europie, zadziwiającego pchłego targu, na którym handlowano wszystkim – walutą, fałszywymi dokumentami – i nad którym unosiły się chmury pierza z indyków, perliczek i obskubywanych na miejscu gęsi. Czerwonoarmiejcy nabywali tam słynne budziki i inne czasomierze, które przypinali później do rąk i nóg, a żony dygnitarzy sowieckich skupowały masowo nocne koszule, które traktowały jak suknie balowe.

Krakidały były kolosalnym antykwariatem. Budy zawalone stosami starych książek i gazet, gdzie w magmie przeróżnej makulatury oko znawcy, narkotycznego kolekcjonera trafiało na rzadkie rarytasy i różne cymelia. Krakidały były eldorado zbieraczy, kolekcjonerów i różnej maści maniaków.

Janicki wychodzi z tego fascynującego straganu ze starociami i siłą swego talentu, wyobraźni oraz pamięci, która jest jego wielką zaletą i dumą, komentuje i ożywia wyciągnięty z szuflady szpargał krakidałowskiego pochodzenia. Wędruje po cmentarzysku czarodziejskich dzielnic, miast i kresowych miasteczek, przywołuje cienie kolejnych lwowskich rodzin: Stromengerów, Riedlów, Ruckerów, Ziembickich, przywołuje lwowskich Tatarów, wyjaśnia, na czym polega „austriackie gadanie” i za co lwowiacy kochali cesarza Austro-Węgier Franciszka

Józefa, jak historyk-jurysta prof. Oswald Balzer wywalczył dla Polski Morskie Oko i odkrywa nieznane epizody w biografii znakomitej aktorki Wandy Siemaszkowej, Kazimierza Wajdy (słynnego Szczepia z *Wesołej lwowskiej fali*), Jana Łomnickiego, reżysera *Domu* – rodem z Podhajec. Wreszcie zamyka książkę agonią polskiego Lwowa we wrześniu 1939 r., gdy do miasta wchodzi Armia Czerwona.

Krakidały są jakby dalszą częścią *Człkawki* i *Kluczyka Yale*. Janicki kontynuuje więc wcześniejsze asocjacje: o obrońcach i sprawcach zagłady polskiego Lwowa, o ludziach, którzy przeszli przez krematoria Bełżca, przez stępy Kazachstanu, lodownie Kołymy, stali przed plutonami egzekucyjnymi na Wzgórzach Wuleckich i tłoczyli się w więziennych piwnicach na Łąckiego i w Brygidkach.

W książkach Janickiego bardzo ważna jest szata graficzna: autor jako filmowiec traktuje ją z wielką powagą i znanstwem, wiedząc, iż żyjemy obecnie w cywilizacji obrazkowej. Ilustracja ma pomagać tekstowi, tworzyć z nim swoistą symbiozę, inspirować i epatować wyobraźnię. Janicki częstokroć ilustruje swoje książki dokumentami z epoki, na pierwszy rzut oka wydawałoby się błahostkami: jakimś lwowskim biletem tramwajowym, wyciągiem z księgi meldunkowej; etykietkami lwowskich likierów i rosolisów, zdjęciami pudełek po herbacie i kakao z firmy Riedla, puszek po konserwach Ruckera, nalepkami firm Baczewskiego, Koseckiego i Mikolascha, ogłoszeniem ze starej „Gazety Lwowskiej” repertuaru kina „Świtez”, spisem lwowskich linii tramwajowych.

Właśnie to wszystko dzięki poetyckiej oprawie Janickiego tworzy magiczną siłę autentyku, polegającą na nakładaniu się na siebie jawy i snu, marzenia i chłodnych realiów, prawdy, domysłu, domniemania, podejrzania, skojarzenia, błysku przypomnienia.

Niezwykła to materia, którą rzadko posługuje się pisarz, a jednocześnie świadek historii, interpretator, historyk swego miasta i swego pokolenia, ale przede wszystkim artysta – czuły, wrażliwy, życzliwy ludziom, pragnący zachować w pamięci nawet najdrobniejszy ślad, najbłedszy cień czyjejś bytności w raju utraconym, w arkadii, bytności i aktywnej obecności tych, którzy już bezpowrotnie odeszli. I jeśli – jak zauważa Wisława Szymborska – nie będzie im się płacić naszą pamięcią, naszym wspomnieniem, to rozplyną się we wszechświecie anonimowość.

W swej trylogii lwowskiej (*Człkawka*, *Kluczyk Yale*, *Krakidały*) Janicki używa często *plusquamperfectum* – czasu zaprzeszłego, którego nikt nie zawróci, może precyzyjniej – nikt nie skłoni.

Dygresje, które wypełniają niemal każdy rozdział trylogii lwowskiej zadziwiają erudycją. Janicki jest encyklopedystą, o ludziach, których spotkał w swoim życiu wie prawie wszystko... Potrafi ich biografie i czyny zmitologizować i ozdobić pięknym, dowcipnym, literackim ornamentem.

Wydaje się, że cała twórczość Janickiego zmierza do wyrwania ludzi z anonimowości, kreślenia ich artystycznych portretów, zaludniania naszej historii postaciami barwnymi, pięknymi, ważnymi, niezbędnymi, potrzebnymi.

I za tę twórczość, jej wielki ładunek edukacyjny i moralny, emanujący z niej wielki humanizm i patriotyzm jesteśmy Jerzemu Janickiemu jako społeczności uniwersyteckiej wdzięczni, darując najwyższe uniwersyteckie wyróżnienie – doktorat *honoris causa*, dajemy wyraz, iż takie wartości cenimy sobie najwyżej i pragniemy je propagować i zwracać na nie uwagę.

Prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja



10 marca 2006 r. Aula Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego. Rozpoczyna się uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego Jerzemu Janickiemu. Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja wita J. Janickiego, recenzentów dorobku Doktora i uczestniczących w tej podniosłej uroczystości.



Rektor UO prof. S. S. Nicieja, promotor przewodu doktorskiego Jerzego Janickiego, w obecności recenzentów: prof. dr hab. Włodzimierza Bonusiaka, rektora Uniwersytetu Rzeszowskiego i prof. dr hab. Czesława Osękowskiego, rektora Uniwersytetu Zielonogórskiego, wygłasza laudację.



Jerzy Janicki otrzymuje z rąk promotora, rektora UO prof. S. S. Nicieji DOKTORAT HONOROWY UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO

Po otrzymaniu tytułu doktora honoris causa UO Jerzy Janicki dziękuje władzom opolskiej uczelni za wyróżnienie go tą godnością. Obok siedzą: rektor UO S. S. Nicieja oraz prorektorzy – Krystyna Czaja i Jerzy Lis.



Nowemu doktorowi h.c. Uniwersytetu Opolskiego J. Janickiemu gratulacje i kwiaty składa młodzież opolska w regionalnych strojach.

Gratulacje od przyjaciół z okazji otrzymania tytułu doktora h.c. Uniwersytetu Opolskiego.



Już po wszystkim... Jerzy Janicki, jeszcze w doktoranckiej todze i birecie, ale już odprężony, uśmiechnięty, radosny. To było wielkie wydarzenie w Jego życiu...



Doktor h.c. Jerzy Janicki w swoim warszawskim mieszkaniu, pełnym lwowskich pamiątek. W głębi – przedwojenna kasa automatyczna Jego dziadka, nadal działająca!



Promocja książki „Czkawka” na wieczorze autorskim J. Janickiego w Warszawie. Jej fragmenty czyta wybitny aktor i reżyser Adam Hanuszkiewicz – także lwowiak.

Rektor S. S. Nicieja i Jerzy Janicki podczas kolejnych odwiedzin Lwowa, przed gmachem Akademii Medycznej.



Zadwórze – Polskie Termopile. S. S. Nicieja i J. Janicki przy grobach bohaterskich żołnierzy zadumani nad polskimi losami...

Jurku – kwiaty, gratulacje i najlepsze życzenia od lwowskiej chebry i Czytelników „SF”!



Jan Arski

Piła: opłatek z laureatami i VIP-ami



Kresowiaczy w gościnnym Piłskim Domu Kultury spotykają się na „opłatku” co roku.

Tegoroczne Spotkanie Opłatkowe członków TMLiKPW zrzeszonych w piłskim Oddziale miało szczególnie uroczystą oprawę. Liczne grono kresowiaków przybyło do sali kameralnej Piłskiego Domu Kultury, aby przełamać się opłatkiem i złożyć sobie życzenia na nowy rok, a także po to, aby poznać laureatów konkursu na wspomnienia kresowiaków pod nazwą „Tak daleko, tak blisko”, ogłoszonego w połowie ubiegłego roku przez Zarząd Oddziału w Pile. Wśród znakomych gości spotkania byli: senator obecnej kadencji Mieczysław Augustyn, senator poprzedniej kadencji Tadeusz Rzemkowski, prezydent Piły Zbigniew Kosmatka, radni miasta i powiatu, dyrektorzy kilku piłskich placówek oraz fundatorzy nagród konkursowych i sponsorzy imprezy.

Współzawodnictwo pamiętnikarzy miało charakter zamknięty. Konkurs adresowany został do obecnych i byłych członków TMLiKPW zrzeszonych w piłskim Oddziale, aby można było rozpocząć zbieranie materiału dokumentacyjnego dotyczącego losów kresowiaków

regionu piłskiego. I chociaż przystąpiło do niego niewielu uczestników, to jednak – według oceny jury złożonego z profesjonalnych dziennikarzy – plon konkursu jest bogaty zarówno pod względem faktograficznym, jak i językowym. W związku z tym Zarząd Oddziału w Pile podejmie starania o wydanie nagrodzonych prac w formie książkowej.

Jury pod przewodnictwem red. Zuzanny Przeworskiej I nagrodę w wysokości 300 zł – ufundowaną przez prezesa Zarządu Głównego TMLiKPW, Andrzeja Kamin-skiego – przyznało Helenie Hankowskiej z Rogoźna. Autorka w sposób bardzo osobisty, a jednocześnie z dużą starannością o dobór faktów i potwierdzających je dokumentów oraz ilustracji, przedstawiła losy własne, swojej rodziny i mieszkańców historycznego Zbaraża w woj. tarnopolskim w okresie II wojny światowej oraz tułaczkę w drodze do „okrojonej” przez mocarstwa Polski po zakończeniu wojny.

II nagroda w wysokości 200 zł – ufundowana przez b. senatora Tadeusza Rzemkowskiego – przypadła Lidii Dzyf-Pikułowej z Trzcianki. Jej wspomnienia dla



Lidia Pikuła z Trzcianki odbiera nagrodę konkursową z rąk b. senatora Tadeusza Rzemkowskiego.

odmiany związane są z Torczynem i Łuckiem na Woły-niu, a po 1956 roku, w ramach akcji repatriacyjnej, z osiedleniem się w Słubicach nad Odrą i trudnym procesem asymilacji ze społecznością lokalną.

Laureatka III nagrody, Janina Dzięczek z Piły zgłosiła do konkursu bogato ilustrowaną kronikę własnych losów życiowych i członków jej rodziny. Autorka była m.in. sanitariuszką w 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, stąd też w jej pracy znalazły się biogramy innych sanitariuszek z tej dywizji.

Jej mąż, Zbigniew Dzięczek, który otrzymał wyróżnienie, walczył najpierw we Lwowie w konspiracyjnych „Szarych Szeregach”, a później w 5 Dywizji Piechoty AK na tzw. Zasaniu.

Konkursowe wyróżnienia otrzymali również Ryszard Kilar ze Złotowa i Stanisława Marek z Piły.



Zaproszenie na uroczystość przyjęło liczne grono piłskich osobistości.

Praca Ryszarda Kilara jest literackim portretem nie żyjącej już jego matki – lwowianki Marii Kilar, która uczyła w kilku szkołach na Kresach dzieci polskie, litewskie i ukraińskie, a po wojnie osiedliła się w Kleszczynie w pow. złotowskim, gdzie została kierownikiem Szkoły Podstawowej. Jako pedagog i niezwykle aktywna działaczka społeczna cieszyła się w swoim środowisku wielkim autorytetem; 2 września 2005 r. władze oświatowe nadały szkole, w której uczyła, jej imię.

Wspomnienia Stanisławy Marek, rodem z Kołomyi, dotyczą głównie losów autorki i jej rodziny w okresie największego zagrożenia dla ludności polskiej na Kresach Południowo-Wschodnich w czasie II wojny światowej – rzezi dokonywanych na Polakach przez bandy UPA. Zawierają też opis długiej podróży rodziny autorki jesienią 1945 roku (ona sama była wówczas małą dziewczynką) w nieznaną: na Śląsk, a wkrótce później do zrujnowanej Piły.

Helena Hankowska

„Tak daleko, tak blisko” (I)

(I nagroda w konkursie Oddziału w Pile na wspomnienia kresowian)

Wstęp

Podróż w minione...

*„Czas po kolei nas wymiata
jak pajęczyny w kącie
Coraz nas mniej z tamtego świata
Co się oddala i odlata
i tylko dzwony po nim dzwońcie.”*

Ten cytat z Hemara nie ma na celu szerzenia nastroju pesymizmu, lecz przypomnienie o nieuchronności procesu przemijania, który dotyczy nas wszystkich. Szczególnie uzmysławiają to sobie ludzie starsi, kiedy aktywność życiowa przechodzi w refleksję i mają wiele do przekazania młodemu, bo ci żyją w kulcie teraźniejszości.

Jedni w ciągłej nirwanie, inni w nieustannym zagrożeniu o byt, o zdrowie, a nawet o losy świata. Wszyscy mamy sprawiedliwie przeznaczony czas na tylko jedno życie i wyznaczone miejsce na ziemi. Te dwa czynniki zadecydowały o naszym stosunku do otaczającego świata, kształtowały nasze charaktery, poglądy, tożsamość narodową, wyznaczały cele do osiągnięcia i motywacje do działania.

Celem autorów, którzy spisują wspomnienia (także moim), jest nie tylko przypomnienie i przybliżenie fragmentów tego nieistniejącego świata i rozbudzenie refleksji nad przeszłością i szacunku dla niej, lecz szukanie punktów odniesienia do współczesności z nadzieją, że będzie lepsza. Dzwony bowiem nie zawsze biją na trwogę, głoszą też radość i zwycięstwo.

Myślą przewodnią wspomnień, które przedstawię, będą relacje z historią powiązane, gdyż to ona z determinowała losy naszej rodziny, bliskich osób i całego środowiska. Położenie geopolityczne Zbaraża i naszego

Laureatka I nagrody, Helena Hankowska, która z powodów zdrowotnych nie mogła przybyć na uroczystość wręczenia nagród, tak zareagowała na telefoniczną wiadomość o zwycięstwie w konkursie: „Nie mogę w to uwierzyć! Bardzo się cieszę. Przyznam się, że zdopinguje mnie tym do dalszej pracy nad wspomnieniami, prosi o to rodzina i znajomi. A w ogóle, to gratuluję pomysłu. To bardzo ważne, żeby ocalić naszą kresową przeszłość od zapomnienia”.

Goście naszej uroczystości z zainteresowaniem przeglądali nagrodzone prace, a senator Mieczysław Augustyn wręczył od siebie każdemu z autorów po wiązance kwiatów. Nie była to jedyna niespodzianka tego miłego spotkania, bo w części opłatkowej wzruszające słowa skierował do kresowiaków ojciec Roman Rusek – proboszcz Parafii św. Antoniego w Pile, po czym razem z radną Rady Miejskiej, Teresą Bogucką, poprowadzili wspólne śpiewanie kolęd i pastorałek. □

domu przy głównym szlaku komunikacyjnym pozwalały jej „wchodzić na podwórko i zaglądać w okna chaty”.

Emigracja za chlebem z zaboru austriackiego (Galicja), akcje militarne I i II wojny – podwójna okupacja, czystki etniczne, wędrowniacy ludów, itp....

Ze względu na różnorodność wydarzeń wyodrębnię osobne zagadnienia. Może to zakłócić porządek chronologiczny, ale czytelnikowi wskaże lepszą orientację w tematyce. Z pozycji świadka i uczestnika, z pozycji dziecka przedstawię lata 1939-1946, a częściowo także do 1953 r.

Przez Tarnopolskie Przedmieście Zbaraża przebiegała słynna „szosa zaleszczycka”, przy której mieszkaliśmy. W zależności od realiów politycznych kilkakrotnie zmienialiśmy adres: do 1939 roku ulica Słowackiego 57, od 1939 do 1941 ulica Kirowa 114, od 1941 do 1944 ulica Iwana Mazepy, od 1944 znów ulica Kirowa 114, a od 1944 do 1990 ulica 1 Maja. Obecnie ulica W. Czornowola. A dom pozostawał na miejscu.

Ci, którzy o Kresach mogliby powiedzieć najwięcej odeszli już na zawsze: zmarli, zostali zamordowani, wywiezieni, wypędzeni. My przeżyliśmy, jesteśmy ich dłużnikami. Jesteśmy dłużnikami także tych, którzy nie opuścili „Pięknej Ziemi Ojców Naszych”.

Gniazdo rodzinne

Zbaraż nie wymaga promocji. Był opiewany jako akt triumfu Rzeczypospolitej przez pisarzy i poetów oraz oceniany przez historyków i publicystów, często stronniczo w zależności od adresatów. Istnieje obszerna bibliografia utworów.

Miasto Zbaraż leży w kotlinie rzeki Gniezny, która dzieli je na część północną i południową. Z jednej strony wapienne wzgórza, między nimi w wąwozach malowni-

czo rozłożyły się wsie: Stary Zbaraż i Zaluże. Od południa: Kretowce, Łubianki i inne. Tarnopolskie Przedmieście leży na południowym-wschodzie i wyglądem przypominało wieś. Ludność zajmowała się rolnictwem, rzemiosłem – biedniejsi utrzymywali się z pracy „za snop” u zamożniejszych gospodarzy. Domy na naszej ulicy znajdowały się po jednej stronie. Strona zachodnia to odkryty teren zwany „wygonem”. Ten wygon był pastwiskiem dla bydła, miejscem kąpieli w „gliniankach”, a przede wszystkim miejscem zabaw naszego dzieciństwa i wielu wydarzeń związanych z działaniami wojennymi, toteż w treści wspomnień jest częstym leitmotywem.

Od kiedy nasza rodzina tam się osiedliła? Ojciec naszej babci Tekli – Karol Blacha sprzedał swojej córce i zięciowi Pawłowi Pajączkowskiemu z Zaluża połowę swojej posesji (akt notarialny z 1894 roku). Nasi dziadkowie wybudowali dom i budynki gospodarcze. Trzykrotnie musieli się odbudować po pożarach całego przedmieścia. Budynki kryte słomą, mało studni – bardzo głębokie. Dziadek Paweł kilka razy wyjeżdżał do Ameryki i tam pracował jako stolarz. W 1906 roku udały się do niego córki: Anna 14, Maria 12 lat, a w 1914 również 16-letni syn Antoni. Z przeludnionej Galicji wyjazdy odbywały się z Triestu nad Adriatykiem. Babcia odwiedziła rodzinę w 1907 roku. Opowiadała nam jak przepłynęła „szyfą”. Dziadek mógł wrócić dopiero po I wojnie, a dzieci pozostały na zawsze. Syn Franciszek poległ w 1919 roku w walkach z Ukraińcami, Stanisław w 1945 roku pod Drezniem – zaginął bez wieści.

Stanisław Pajączkowski ożenił się z Emilią Szuber, córką Wojciecha i Julii z d. Zalańska, której ojciec był administratorem majątku (większe gospodarstwo) OO. Bernardynów, oznaczone na mapie jako Łanek.

Oboje Szuberowie zmarli w 1926 roku, toteż nasza mama Emilia została z dwójką młodszego rodzeństwa (13 i 17 lat) – uczniami gimnazjum w Zbarażu. Ponieważ Dziadek oddał część swojej posesji pod budowę kościoła w Zalużu w 1910 roku Bernardyni interesowali się losami rodziny, np. płacili chętnie za Alojzego z nadzieją, że zostanie księdzem (pocztówka). Alojzy zachorował na gruźlicę, jednak zdał maturę i pracował w banku w Bielsku Podlaskim, gdzie został aresztowany przez NKWD. Zmarł w obozie Borek Doński w 1945 roku. Żyje najmłodsza Janina Kuryło urodzona w 1913 roku, mieszka w Warszawie z córką. Obie wdowy – jedyny ich syn i wnuk zginął w wypadku samochodowym w wieku 22 lat.

Józef i Ignacy Szuberowie byli rolnikami. Stracili synów podczas wojny. Spoczywają na cmentarzu w Miliczu. Helena Kuczer – pensjonariuszka zakładu leży na cmentarzu w Branicach. Emilia Pajączkowska zmarła w 1990 roku w Rogoźnie. Maria Kanas zmarła w 1978 roku w Zbarażu. Nie wyjechała na zachód z przyczyn patriotycznych (pocztówka od brata Antoniego). Najstarszy Antoni zmarł w 1959 roku w Anglii, nauczyciel z zawodu, oficer w armii generała Hallera, uczestnik II wojny, poliglota.

Przy sporządzaniu drzewa genealogicznego wraz z bratem Józefem Pajączkowskim (mieszka w Szczecinie) ustaliliśmy: rodzina Szubów wywodzi się od dwóch braci, którzy przybyli wraz z matką Austriaczką do Zbaraża jako budowniczości kościoła w XVIII wieku. Informacja pochodzi od Michała Szubra burmistrza Zbaraża, który zdobył ją z archiwum OO. Bernardynów już przed wojną. Jego linia genealogiczna jest udokumento-

wana (miałam wgląd w 2002 roku). Nasza, nazwijmy ją II, jest jak łańcuch z brakującymi ogniwami.

Skrócone informacje z tego rozdziału zamieściłam w celu ukazania tułacznych losów typowych kresowych rodzin.

Wojna i jej wpływ na losy rodziny i środowiska

*„Piszcie historię sami,
bo inni napiszą o was nieprawdę.”*

Józef Piłsudski

Dwa wielkie systemy totalitarne: faszyzm i stalinizm zderzyły się najpierw przyjaźnie, a potem wrogo – gdzie? Oczywiście na Kresach Wschodnich.

Współczesny świat dowodzi, że aktywizują się „mutacje”. Obserwujemy coraz więcej przykładów manipulowania słowami i faktami z pozycji silnych, perfidnie w imię sprawiedliwości i dobra narodów. Po tej refleksji wracam do wyznaczonego w tym temacie czasu 1939-1946 i przestrzeni.

Letnie miesiące roku przed wybuchem wojny. Na wygonie odbywały się manewry, a może tylko ułańska parada. Pamiętam kolorowe proporczyki, ułanów na koniach i błyski szabel. Miałam wtedy cztery lata, a to są moje pierwsze zapamiętane obrazy. Obraz drugi: w podółku fartuszek niosłam zebrane w sadzie jabłka i gruszki dla wojska. Gościńcem jechały odkryte ciężarówki pełne żołnierzy w rogatywkach. Ludzie podawali im owoce, chleba nie chcieli przyjmować. Kawalkada zmierzała w kierunku miasta, a nie Zaleszczyk – było to więc przed 17 września. Obraz trzeci: obudziłam się nocą, rodzice wstali i patrzyli przez okno. Rano dowiedzieliśmy się, że kilka autobusów pod eskortą konnych jeźdźców wywoziło za granicę skarb państwa. Samochody były mocno obciążone, co uniemożliwiało szybką jazdę. Podobno tabor nocował w klasztorze i był wśród nich marszałek E. Śmigły-Rydz.

Wkrótce nadciągnęła fala uciekinierów przed Niemcami. Jechali samochodami, powózkami, a nawet pieszo. Ile kilometrów niektórzy z nich przemierzali niech posłuży przykład pana Juliana, którego nazwiska nikt z nas nie zapamiętał. Nocował u nas kilka dni, gdyż nie zdążył uciec przed wkroczeniem Sowietów, którzy byli w Zbarażu już w pierwszym dniu agresji 17 września – musieli pokonać tylko 30 km od granicy na Zbruczu. Zapamiętałam tego pana, dawał nam ciastka i czekoladę. Dziwił się, że nasz 3-letni brat nosi jego imię. Zostawił u nas dokumenty, z których wynikało, iż był profesorem gimnazjum w Toruniu. Leżały przez jakiś czas w skrzyni, ale babcia ze strachu spaliła je wraz z innymi „papierami” np. „Rycerzem Niepokalanej”. Po wojnie często jej to wypominaliśmy, tym bardziej, że w tej skrzyni przez obie okupacje schowane było radio cioci Kurulowej.

Z innych uciekinierów zapamiętałam starszego męża z bratnią, który rozmawiał z babcią (zawsze była ciekawa świata), powiedziała: „A to pan starozakonny” i jeszcze dwa młode małżeństwa (może?) – bardzo prosili, żeby im wyznaczyć jakiś kącik do kąpieli. Wkrótce zarządzono rejestrację „bieżeńców” i wywieziono – nie wiadomo dokąd pod pozorem wymiany z Niemcami. Wielu Polaków – cywilów, a szczególnie żołnierzy zmierzających ku rumuńskiej granicy zostało zamordowa-

nych przez ukraińskich nacjonalistów, którzy kontynuowali terroryzm z lat międzywojennych.

Na Zakarpaciu wiosną 1942 albo 1943 r. dopływy Dniestru spowodowały wielką powódź. Nastąpił głód. Kobiety przychodziły za chlebem, z dziećmi na plecach owiniętymi w jakieś szmaty. Nasza sąsiadka zwróciła się do jednej z nich: „w 39 roku zabijaliście naszych żołnierzy, a teraz przychodzicie do Polaków po chleb”. Odpowiedź brzmiała: „to nie u nas, to w drugiej wsi i wymienię nazwę”.

Po wprowadzeniu nowych porządków 4.11.1939 roku odbył się plebiscyt. Wszyscy obywatele z „radością” poszli do urn wyborczych, aby przyjąć nowe obywatelstwo sowieckie (98,9%). Rozpoczęły się aresztowania.

Już z datą 8.10.1939 r. zostali osądzeni policjanci. Jednym z nich był Władysław Kuryło, mąż najmłodszej siostry mojej mamy. Wyrok brzmiał: „za wrogą działalność przeciwko Związkowi Radzieckiemu i próbę obalenia ustroju socjalistycznego 8 lat ciężkich robót w obozie wychowawczo-poprawczym”, choć wujek miał już 40 lat. Przeżył podróż z Władywostoku na Magadan. Był żołnierzem Armii gen. Andersa, po demobilizacji pozostał w Anglii, lecz zmarł w 1972 roku na krótko przed powrotem do kraju.

Rodziny policjantów wyznaczone zostały na wywózkę. Cioci z roczną córeczką udało się schronić na wsi Krotowce. Była to wieś polska w której mieszkali nasi krewni z linii Żałańskich. Tam najczęściej w stodole przebywały przez 1,5 roku aż do „wyzwolenia” przez Niemców – oto paradoks historii. Dziecko myślało, że słońce ma kształt jasnej smugi – takie światło padało przez szpary w deskach stodół.

Ten okres przebywania na „łaskawym chlebie” tylko one pamiętają, ale tym, którzy je ukrywali też groziło niebezpieczeństwo. Niewiele miało możliwości aby się ukrywać. Z opowiadania mamy wynika, że niedaleko nas po aresztowaniu ojca (policjanta), zostało dwóch synów w wieku 16 i 7 lat. Matka po miesiącu zmarła. Sąsiedzi wspomagali ich przynosząc żywność. W tym czasie, kiedy starszy poszedł na wieś, młodszego zabrano do transportu. Nie wiemy czy zdążył połączyć się z bratem, gdyż zgłosił się na ochotnika. Czy takie samotne dzieci miały szansę przeżycia na Syberii? Ilu takich bezimiennych istot zostało na tej nieludzkiej ziemi?

Zima 1939/40 była bardzo mroźna z dużą ilością opadów. W odległości około 5 km od nas leżała wieś Czarnichowce, w której folwark miała hrabina Kwiatkowska – matka Eugeniusza (premier, minister). Ziemię rozparcelowała sprowadzając „osadników wojskowych” – oni w pierwszej kolejności byli wywożeni. I znów nocą, przy 40-stopniowym mrozie, na saniach byli więzieni na dworzec kolejowy w Zbarażu. Mieszkańcy naszej ulicy w grubo zamazanych oknach wychuchiwali szpary, żeby widzieć co się dzieje.

W listopadzie 1939 roku Stalin wysłał Armię Czerwoną na podbój Finlandii – roczniki poborowe Polaków i innych narodowości zostały wcielone do wojska i wysłane na ten front. Nasi sąsiedzi: Michał Franczyszyn i Stanisław Trojanowski polegali w tej wojnie. Pamiętam jak przyszli się pożegnać. Było wcześniej rano, świeciła się lampa naftowa, leżeliśmy w łóżkach. Stanisław Trojanowski, który często u nas przebywał, pochylał się żeby każdego pocałować, a ja wstydyłam się i zasłoniłam ręką. Matka Michała Franczyszyna była Ukrainką i

do śmierci w latach sześćdziesiątych otrzymywała po nim rentę. Trojanowscy osiedlili się w Kłodzku. W Rogoźnie w latach sześćdziesiątych mieszkał człowiek, prawdopodobnie Ukrainiec, który w Finlandii przedał się przez linię frontu do Niemców. Internowany w obozie jenieckim, po wojnie ożenił się z Niemką, ale wrócił do Polski. Zmienił nazwisko z Baran na Baranowski.

W 1940 r. NKWD aresztowało w Zbarażu około 30 mężczyzn należących do organizacji POW, a członków młodzieżowych organizacji przedwojennych aresztowano już w 1939 r. Ich losy są już częściowo stwierdzone. Aresztowania uniknął Stanisław Blacha, kuzyn naszego ojca mieszkający w sąsiedztwie. Kilka razy zmieniał miejsce kryjówki. Cała rodzina bez przerwy była przygotowana, że po nich przyjdą. Można domniemywać, że okupant nie nadązał ze środkami transportu, toteż wszystkich nie udało się przesiedlić, jak mówiono „na białe niedźwiedzie”.

Niezależnie od prześladowań politycznych życie pod okupacją było coraz trudniejsze. Brakowało podstawowych produktów w sklepach, krążyły anegdota w stylu: „Ojcie Stalin daj nam mydła, bo już wszyscy mają skrzydła”. Dzieci wszystkich roczników musiały powtarzać klasę, ponieważ w ZSRR obowiązek szkolny rozpoczynał się od 8 lat. Do szkoły uczęszczała tylko najstarsza z rodzeństwa – Maria 1931 r., a Józef 1933 r. musiał czekać do 1941 r. Zaczęliśmy chodzić do szkoły już pod okupacją niemiecką.

Duże podatki nałożono na działalność kościoła, który jednak nie został zamknięty – parafianie złożyli się na nie.

Przed rozpoczęciem nauki szkolnej nauczyliśmy się czytać z przedwojennego elementarza siostry, jednej książki z bajkami, które krążyły od domu do domu oraz opowiadań Gogola w języku ukraińskim i bibułkach od papierosów (Solali). Istniał wielki głód wiedzy: ani książek, ani map, ani przyborów do pisanja.

22 czerwca 1941 roku Niemcy rozpoczęli realizację planu „Barbarossa”.

W ciągu kilku dni poprzedzających wkroczenie wojska miały miejsce następujące wydarzenia: nie było żadnych starć z Rosjanami, ale samoloty bombardowały szosę, widoczne na niej były resztki uciekających czerwonoarmiejców, którzy rozpięchli się między zabudowaniami przedmieścia.

Chorowaliśmy wtedy na koklusz. Miałam atak kaszlu z wymiotami i byłam z babcią na podwórzu, skąd widać było bomby spadające na wzgórza zamkowe. Samoloty pikowały nad naszymi głowami. Grupa osób przechodzących ulicą schroniła się u nas w sieni. Dziewczyna, może 15-letnia, dostała ataku hysterii. Krzyczała dzikim głosem i wdraprywała się na ścianę.

Zginął wtedy nasz sąsiad Antoni Kinach lat 16. Jego przyrodni brat z 2-letnią córką, żoną i sąsiadami stali obok stodół i przyglądali się, w sadzie pasły się krowy. Widząc nadlatujący samolot wszyscy rzucili się na ziemię. Antek zaczął biec w ich kierunku i dostał odłamkiem w głowę. Były problemy z pochówkiem. Ukryci na cmentarzu żołnierze rosyjscy nie wpuścili konduktu. Trumnę zakopano obok ogrodzenia, dopiero po kilku dniach przeniesiono na właściwe miejsce.

W tych dniach zostali zastrzeleni przez uciekających bolszewików nasz sąsiad Karol Świętanowski i jego teść Jaremczuk, ponieważ wyszli w nocy zobaczyć co dzieje się na ulicy. Front zbliżał się, a wiadomo było, że

Niemcy używają pocisków zapalających. Ojciec postanowił zawieźć nas do Kretowic. Zabrał na wóz babcię, nas czworo, trochę rzeczy i pojechaliśmy. Mama została, żeby zaprowadzić krowy dalej od głównej szosy do krewnych – Pisarskich. Kiedy przechodziła przez ogród już kule świstały, toteż została u nich w piwnicy. Ojciec wrócił do domu w takich samych okolicznościach. Zaprowadził konie do stajni, położył się na chwilę odpocząć i zasnął. Nie widział kiedy palił się dom Blachów, ani w jaki sposób sąsiad Czapliński ugasił naszą stodołę, mimo że była pokryta strzechą. Rano 2 lipca było po wszystkim. Przez cały następny dzień staliśmy na wzgórzu w Kretowcach. Nie wiedzieliśmy co dzieje się z rodzicami, ponieważ nad naszym przedmieściem stała luna pożarów, słyszeliśmy też detonacje.

Ze względu na działania wojenne bezpiecznie było mieszkać na wsi, ale tylko do czasu zbrodniczej działalności banderowców.

Ojciec przyjechał po nas po kilku dniach. Szosą gościńcem maszerowały niezliczone ilości wojsk niemieckich. Pogorzelcy zajęli się organizowaniem sposobu na dalszą egzystencję. Jedni odbudowywali nie całkiem spalone domostwa, inni np. Blachowie adaptowali spichlerz, który nie spłonął – kryty blachą.

Wylapywano pojedynczych rosyjskich żołnierzy i ich rozstrzeliwano. Świadkiem takiej egzekucji był mój brat Józef. Niemcy poczęstowali ofiarę papierosem.

Niektórzy z żołdatów przeżyli pracując u gospodarzy w charakterze parobków – jeżeli nikt ich nie zadenuncjował. W 1944 roku po „wyzwoleniu Ukrainy” czekał ich wyrok za dezercję lub pobyt w łagrze. Na Sobolówce – willa bogatego kupca, otoczona jego sklepami – leżeli ranni oficerowie-jeńcy. Nie karmiono ich, ale strażnicy nie zabraniali dostarczać im chleba. Musiał istnieć jakiś cel przedłużania im życia. Polityczny?

W mieście rozbijano sklepy – nie wiem czy żydowskie, czy przeznaczone dla Rosjan.

W Bazarzyńcach mieszkały kuzynki naszego ojca: Maria Piech i Józefa Kocioruba. Przyniosły nam duże, czerwone chusty z frędzlami, z których mama uszyła nam sukienki. Obie ciocie miały mężów Ukraińców – zginęli w czasie okupacji – rodzina nie chce mówić na ten temat.

Życie ludzkie w tamtych czasach nie miało żadnej wartości.

Zaczęły się rządy nowego okupanta. Miasto zostało oflagowane, zarządzono szczepienie przeciw tyfusowi. Dostałam dwa zastrzyki w klatkę piersiową, były bardzo bolesne. Po nich wystąpiła wysoka temperatura. W drugą niedzielę lipca odbyła się wielka manifestacja nacjonalistów ukraińskich. Na placu zamkowym księża grekokatolicy odprawili dziękczynną mszę świętą za pomysłność oręża niemieckiego.

Odczytany był list pasterski metropolity abp. Szeptyckiego o traktowaniu niemieckiej armii jako wyzwoliciełki spod bolszewickiego jarzma.

Po nabożeństwie delegacje z okolicznych wsi wracały do domów, przeważnie konno, po kozacku ubrani w kozuchy włosami na wierzchu, z kosami i widłami na ramionach. Naszą ulicą wracała grupa z Czarnichowic. Na czele nieśli transparent: „My nie chcemy żyć z Polakami” i inne – nie pamiętam ich treści. Nasza sąsiadka Czaplińska zwana potocznie „ślepa”, stojąc na mostku krzyknęła: „To się powieszajcie”.

Oczywiście z gromadą innych dzieciaków pobiegliśmy na zamek. W linii prostej było to około 1,5 kilometra. Ale pamiętam tylko fragment mszy polowej. Stałam obok starszej siostry. Musiałyśmy wcześniej wrócić do domu, gdyż ów konny pochód do Czarnichowic obserwowałam z parkanu ulicy, która była świadkiem historii II wojny i nie tylko.

Mój brat pamięta, że w 1943 r. obserwował podobny pochód dziewcząt ukraińskich, a hasła były bardziej na czasie: „Śmierć Lachom”.

Na naszym przedmieściu nie było dużo Rusinów – ludzie spokojni i pracowici. Wyjątki to Zeleńka i Suchy.

Nasza rodzina przyjaźniła się z Berezami, moim ojcem chrzestnym był Ołeksa Jaremczuk – grekokatolik, mąż kuzynki naszego taty.

Na politykowanie do babci przychodził kowal Psiowski – nie akceptował nacjonalistów.

Moją dobrą koleżanką była Ola Niemy. Jako dzieci byliśmy dwujęzyczni. W czasie wspólnych zabaw prawdopodobnie nie zastanawialiśmy się, którym językiem się posługujemy, a jednak dziwiłam się gdy jej ojciec mówił do mnie po polsku, to był rzadki przypadek.

W nagrodę dla sojuszników nasza ulica od lipca 1941 r. nazwana została im. „Iwana Mazepy” – nazwa przetrwała do 5 marca 1944 roku.

Po wprowadzeniu niemieckiej administracji następowały zmiany gospodarcze: obowiązek uprawy buraków cukrowych i tytoniu na żyznym czarnoziemiu. Budynki gospodarcze obwieszane były nanizanymi na sznurkach liśćmi suszonego tytoniu. Buraki wykopywane łopatkami (ryskalami) były oblepione błotem. Należało nie tylko obciąć liście, ale oczyścić bardzo dokładnie i górną część obrać jak jabłko. Mieliśmy od tej pracy pęcherze na rękach. Z tych buraków po kilkakrotnym wygotowaniu otrzymywało się gęstą, słodką ciecz – melasę do słodzenia herbaty lipowej i kawy z utartego spalonego zboża. Nałożono wysokie kontyngenty na gospodarstwa rolne, z których bardzo trudno było wywiązać się. Płacono za nie niewiele i przeważnie kartkami na wódkę, którą rodzice sprzedawali na sól, naftę, odzież. Kartki miały format znaczka pocztowego, koloru niebieskiego i przedstawiały butelki – tak je zapamiętałam.

W naszym domu było biednie: czworo nieletnich dzieci i to miejsce, które zapraszało do wejścia na podwórze, więc wchodził, na przykład: wojsko niemieckie zarekwirowało konia w środku żniw, złodziej ukradł wszystkie kury, w 1942 roku była susza i prawie całe zbiory poszły na dostawy. Na przednówku 1943 roku zabrakło chleba. Oprócz podstawowych zbóż ojciec na małych kawałkach siał jeszcze len i konopie na olej oraz hreczkę i proso na kaszę. Żyto mielono na żarnach. Kaszę – stępą – można ją określić jako skrzyżowanie żurawia studziennego z gilotyną, tylko zamiast ostrza wisił duży wygładzony kamień. Jak ciężka była praca na tych urządzeniach pojmie ten, kto musiał to robić.

Krowy i świnie były zakolczykowane. Wielu z narażeniem życia próbowało obejść te drakońskie prawa, kiedy Niemiec wyprowadzał konia ze stajni za drzwiami leżała niezakolczykowana świnia. Kiedy przychodził drugi front w 1944 roku konie były chowane w stodole za belami słomy. Chodziliśmy boso dopóki było można, nawet do szkoły. Ludzie nauczyli się robić: drewniaki – laczki, a na zimę łapcie ze słomianych warkoczy. Talent do tych robót miał Józef, również do wyrobów z drewna (rubły i kaczałka).

Miałam 8 lat i marzyłam o tym, żeby mieć 3 pary butów. Zakładałabym równocześnie jedno na drugie, żeby mi nikt nie ukradł. Były jasno-brązowe, powyżej kostek.

Namiastką normalności była osobna szkoła dla Polaków i Ukraińców. Otwarta mniej więcej we wrześniu i październiku oraz na wiosnę – maj, czerwiec. W okresie zimowym stanowiła magazyn zbożowy. Na pewno zamknięta też z powodu braku opału. W czerwcu otrzymaliśmy promocje do następnej klasy. Zachowały się świadectwa siostry w języku polskim i niemieckim. Brat Julian przeszedł do klasy II po jednodniowym pobycie w szkole ponieważ znał całą tabliczkę mnożenia i płynnie czytał.

Kościół i cerkwie były czynne. Ludzie cierpieli głód, a duchowieństwo wraz z nimi. W niedzielę młodzież szkolna ustawiała się parami w dwóch rzędach na mszy o 9 godzinie.

Już na początku 1942 roku sporządzone były listy młodzieży, która ukończyła 16 lat, na roboty do Niemiec. Uważam, że rejestrowano tych, którzy nie mieli pracy na miejscu, byli zbędni w pracy na roli. Niektórym udało się wykupić. Ciocia Maria Kanas załatwiła córce Jadzi miejsce pokojówki na folwarku w Czarnichowcach. Jakie było zdziwienie, gdy po ucieczce Niemców Jadzia zamiast worka odzieży przyniosła na plecach kryształowe lustro – pozostałość po hrabinie Kwiatkowskiej.

U nas w domu „na komornym” mieszkała wdowa Maria Kinach z piątką dzieci. Najstarszy Roman dostał wezwanie. Widziałam jak stał na progu i płakał, a ja spojrzawszy na niego z dołu dziwiłam się: taki duży i płacze.

Punkt zborny był w Tarnopolu i tam na dworzec kolejowy wiezono ich saniami (25 km).

Mój kuzyn Franek Szuber uciekł z kopalni na Śląsku. Po wojnie Roman Kinach ożenił się z córką gospodarza, u którego pracował, i pozostał w Niemczech. Odwiedził rodzinę w Łęborku – teraz już nie żyje. Na roboty pojechał mój szwagier Jan Sowa z Maksymówki i przeżył. Starszy brat Cyprian poległ na wojnie. Paradoksalny wniosek: roczniki, które wywieziono miały większą szansę przeżycia niż te wcielone do wojska.

W 1943 roku jesienią wywieziono dzieci szkolne od 12 roku życia, do buraków w Zarubińcach. Spały tam na podłodze w budynku szkolnym, okryte tylko kocami. Siostra dostała tam zapalenia stawów kolanowych, do tego dołączyła się awitaminoza – wielki wrzód na plecach. Nie było leków, jedyny środek zalecony przez lekarza to okład z gorących plew gryczanych. Reumatyzm na pewno był przyczyną uszkodzenia serca. Wczesne zamążpójście, urodzenie czwórki dzieci w warunkach kolejnej biedy lat pięćdziesiątych, stan opieki medycznej w PRL spowodowały jej przedwczesną śmierć w wieku 28 lat.

W 1943 r. dowódca UPA Roman Szuchewycz „Czupryńka” rzucił hasło „Ruskich nie wpuszczamy, Niemców wygonimy, Polaków wyróżniemy”. Najłatwiejsze okazało się to ostatnie.

Urodzony w Zbarażu Dymtro Kłaczkiwskij dowódca UPA na okręg „Północ” wydał w czerwcu tego roku dyrektywę o całkowitej likwidacji ludności polskiej na Wołyniu. Jej wynikiem między innymi była owa krwawa niedziela 11 lipca. Resztki Polaków uciekały gdzie komu się udało – na zachód i na południe do miast.

Zbaraż zwiększył stan liczebny mieszkańców z około 10 do 30 tysięcy. W kilku domach naszych sąsiadów przyjęto zbiegów, nasza mama trzymała do chrztu dziecko kobiety, która uciekła z niemowlęciem na rękę i dwójkiem starszych dzieci.

Na pograniczu Podola i Wołynia, w odległości 6-8 km przechodziła granica zaboru rosyjskiego i austriackiego. Zbaraż należał do Galicji (zabór austriacki), a wieś Kołodno do Rosji. W ramach tej samej akcji wymordowano około 300 mieszkańców Kołodna.

W Zbarażu odbył się pogrzeb sześciuosobowej rodziny Sieniakiewiczów: rodzice i cztery córki, zorganizował go brat zamordowanej, Ukrainiec z Czarnego Lasu. Przeżyło dwóch synów. Jeden siedział w szopie, a drugi w ciemnościach uciekł oprawcom. „To jest sznur, którym miałem związane ręce” – pokazywał go z płaczem uczestnikom pogrzebu (z relacji wielu osób uczestniczących w manifestacji). Obaj bracia zmarli w Pilszczu.

W Czarnym Lesie mieliśmy krewnych. Była to liczna rodzina Stankiewiczów, potomków Agnieszki, siostry naszego dziadka Pawła Pajczkowskiego. Sprowadzili się do nas jesienią. Najpierw sąsiedzi Ukraińcy (wtedy używano wciąż nazwy Rusini) podkładali kartkę pod drzwi: nie nocujcie dzisiaj w domu, ale w dzień wracali, żeby sprzątać resztę plonów. Następna przestroga: uciekajcie i nie pokazujcie się we wsi. Uciekli więc do nas: babcia Agnieszka, jej córka Maria Biernat z synami – Bolkiem – 14 lat i Florkiem – 7 lat (mąż był w niewoli rosyjskiej od 1939 roku), syn Franciszek z żoną i dwuletnią córeczką. 6 stycznia 1944 roku urodził się u nas ich syn Jaś. Stanisław około lat trzydziestu, kawaler, bez nogi. Często przychodził, ale nie nocował, najmłodszy Antoni. Z naszą rodziną w sumie mieszkało 17 osób w dwuizbowej chałupie i komorze. Na szczęście kuchnia była długa z dwoma paleniskami i piecem do pieczenia chleba. Nie przypominam sobie awantur. Oczywiście rządziła nasza babcia Tekla, której dewizą było „moja chata moja prawda”. Nie była złą kobietą, ale władczą i baliśmy się jej.

W latach 1939-42 przyjęła na komorne wdowę, której szwagier wymówił mieszkanie. Przy pomocy „tłoki” wybudowała ona z gliny (halamuców) własną chatę i wprowadziła się. Byliśmy bardzo zżyci ze sobą, razem w jednym wagonie przyjechalśmy do Łęborka.

W kwietniu 1944 r. po wejściu Rosjan krewni z Czarnego Lasu wrócili do domów, banderowcy przychli na około pół roku. 30 lipca przystąpiłam do Pierwszej Komunii Świętej. Mama zaprzęгла konie, wzięła na wóz babcię i nas dwoje młodszych i pojechaliśmy do nich w odwiedzin. Mężowie, ojcowie i bracia poszli na wojnę, zostały kobiety, dzieci i starsi mężczyźni. Mieszkańcy wsi znów uciekali w panice do miast – Stankiewiczowie wrócili do nas. Jedynie wieś Kretowce wytrzymała do końca, zorganizowano samoobronę: nocne warty. Mieszkańcy posiadali broń, zorganizowali nawet akcję odwetową (inf. Teofila Dyjura – kuzyna mamy) w Łubiankach. W strukturach Armii Krajowej zaangażowana była rodzina Rzeźników. Ich siostra Elżbieta była żoną Franciszka Stankiewicza – mieszkali u nas, pamiętam najmłodszą z nich Manię – opowiadała o tych nocnych wartach.

Pewnego razu zdarzył się następujący incydent: stryj Franciszek wracał, chyba z łąki, wozem z sianem, po drodze dosiadł się do niego jeden z jego szwagrów. W momencie zatrzymania przez żandarma niemieckie-

go Rzeźnik (nie pamiętam imienia) zaczął uciekać, myśląc że to chodzi o jego osobę. Niestety zapomniał zabrać marynarkę, w której miał pistolet. Franciszek Stankiewicz został aresztowany, bito go, ale nie przyznał się do znajomości z podwiezionym człowiekiem. Było to jesienią 1943 r. Elżbieta była w zaawansowanej ciąży, ale następnego dnia poszła na posterunek z prośbą, może z „kopertą”, o wypuszczenie męża, udało się. Niemcy w tym czasie już nie byli tacy pewni siebie. Rosjanie rozpoczęli tzw. „ofensywę zimową”.

5 marca 1944 r. w niedzielę od strony Tarnopola jechały kolumny niemieckich samochodów z wojskiem, żeby zająć okopy. Okazało się, że w nich siedzą już Rosjanie. Zbaraż został wzięty przez zaskoczenie. Wieczorem słychać było strzelaninę od strony miasta, toteż zeszliśmy wszyscy do piwnicy, która była duża, wymurowana pod podłogą spichlerza.

Ojciec i stryj stali za drzwiami spichlerza i obserwowali sytuację. Uciekała niemiecka piechota, w krótkim czasie nadjechały rosyjskie czołgi. Niemcy wysadzili most w Czarnichowcach i wycofali się do Tarnopola. Zginęło tam około 12 tysięcy żołnierzy rosyjskich. Mówiono że miasto nie zostało zdobyte z marszu, bo żołdactwo popiło się w cysternach wódki w Kapuścińcach. Jedni topili się, a drudzy napelniali menażki. Zostały ruiny i zgłiszczca, i ogrom ofiar ludności cywilnej. Okazało się, że nasza posesja i dom są ważnym punktem „strategicznym”. Na mostku ustawił się czołg i przez kilka dni strzelano z niego, mimo że Niemcy byli daleko.

Od wystrzałów z czołgu trzęsie się chałupa, w Tarnopolu biją katusze, a my pod kierunkiem babci śpiewamy „gorzkie żale przybywajcie...”. Zakwaterował się u nas dowódca brygady artylerii pułkownik Żywotowski wraz ze sztabem i sztandarem pułku. Był to bardzo szlachetny człowiek. Płakał, gdy zginął jego szef sztabu. Zabity leżał u nas w stodole, w otwartej trumnie i tak wiezono go na cmentarz wojskowy na zamku. Na pewno utworzony wtedy, gdy masowo zwożono zabitych w walkach o Tarnopol. W czasie Świąt Wielkanocy pułkownik przyszedł do kuchni, podzielił się z nami święconym jajkiem i szybko się wycofał. Pozwalał nam wchodzić do dużej izby, w której pracował. Ponieważ ciągle słyszeliśmy zaszyfrowane hasło: „Połtawa słuszaj”, toteż pewnego razu w czasie jego nieobecności weszliśmy tam. Obejrzeliśmy z bliska leżące granaty, na dotyk też. Ja wzięłam do ręki „jakąś zabawkę”, przyłożyłam do ucha wołając „Połtawa słuszaj”, odzew brzmiał: „Kukła broś” – lalka odlóz.

Co jakiś czas odbywały się narady sztabu. Analizowano jakąś ulotkę w języku polskim. Pułkownik zapytał mamę czy umiemy czytać tzn. młodsze dzieci – 13-letnia siostra mogła zapamiętać treść. Wybrano mnie – miałam 9 lat. Izba była zapełniona oficerami, świta siedziała za stołem, ja stałam obok i czytałam; dokładnie pamiętam, że przy jakimś dłuższym wyrazie zająknęłam się. Kartka była formatu zeszytowej, zapisana z obu stron. Czytałam dwa razy i powtórzyłam mamie to, co zrozumiałam. Oficerowie przychodzili też na posiłki i my przy nich nie byliśmy głodni. W kuchni pracował kucharz Misza, który praktykował w hotelu w Moskwie. Jego pomocnikiem był młodociany żołnierz Jurka. Ten ciągle spał na stojąco. Psociliśmy wkładając mu do ust łyżkę, nie czuł tego, widocznie była to jakaś choroba.

Odwiedzający nas w 1946 r. oficerowie wracający do Rosji po demobilizacji opowiadali nam, kto przeżył, kto zginął. „Jurku maszyna zadawila” – zasnął już na zawsze. Bardzo nam było go żal. Jeden z oficerów wchodząc do kuchni krzychał: „Miszka kyszał”, a potem sadzał nas koło siebie i opowiadał, że Moskwa to miasto piętrowe. Nie mogliśmy tego pojąć, więc powtarzał to wiele razy, potem na hasło „Miszka jeść” od razu chowali się za skrzynię. Pobyt sztabu przez okres 2,5 miesiąca zapewniał nam spokój ze strony następnych rzutów żołdactwa drugiej i trzeciej kategorii, którzy zajmowali część domu na kwatery. Zyliliśmy w strefie przyfrontowej aż do rozpoczęcia tzw. ofensywy letniej. Obie strony przygotowywały się do skoku. Codziennie trwały naloty i strzelanina z zenitówek. Niemcy bombardowali tyły wojsk rosyjskich oraz drogi, stacje kolejowe itp. Ponieważ w Zbarażu stacja kolejowa znajdowała się za miastem, po przeciwnej stronie niż nasze przedmieście, nie byliśmy za bardzo przestraszeni, ale w końcu dostało się i nam. 21 maja w wigilię Zielonych Świąt 1944 roku bombardowano Tarnopolskie Przedmieście. U Stanisława Kinacha (rodzina mieszka w Rogoźnie) znajdowały się składy amunicji do katusz. Podobno samoloty otrzymały sygnał świetlny, co do miejsca składowania, tylko że dzień wcześniej wszystko przeniesiono bliżej frontu. Najpierw teren został oświetlony racami i zaczęły się zrzuty. Na około dwa kilometry kwadratowe, w trzech nawrotach spadło 30 bomb. Pikujące bombowce włączały jakieś wyjące syreny, a może to były gwizdy przecinających powietrze pocisków. Wyleciały wszystkie szyby, odłamki fruwały w powietrzu, a żołnierz stał na baczność, na warcie przed sztandarem.

Do domu weszła sanitariuszka. Kazała nam wejść pod łóżko i pod stół. Byliśmy spokojni. Strach ogarniał wtedy, gdy bomba wyla – po wybuchu następowała ulga. Nad ranem rozległy się płacze i lamenty. Zginęło kilka osób. Na wygonie stał samochód osobowy z zapalonymi światłami, a obok w domu po libacji na stole spała kobieta S. Bomba trafiła w auto, a ją zabiły odłamki. Były też niewybuchy. Rano chłopcy pobiegli policzyć leje. Kiedy w czerwcu ruszył front naloty były rzadziej, ale na kwaterę przychodzili tacy, którzy próbowali po pijanemu awanturować się. Obroną było magiczne słowo NKWD. Tacy, którzy zmusili mamę, żeby im usmażyła jajecznicę na oleju samochodowym, oddział kałmuków i kilkunastoletnich chłopców 12-14 lat.

Po raz pierwszy widzieliśmy dwugarbnego wielbłąda, który obgryzał strzechę na stodole, ale też oficera w granatowym mundurze, który siedział w gnojówce i wymachiwał naganem. Oni wszyscy byli politycznie przygotowani, że tutaj jest wyzwolona Ukraina, a nie Germania i bali się zwierzchników. Nie było co kraść, to wydellli rosół przygotowany dla chorej siostry.

Już 12 marca ogłoszono mobilizację mężczyzn w wieku od 18 do 50 lat oraz trzy roczniki dziewcząt do I i II Armii (Józefa Stocka z d. Szuber z Garbatki koło Rogoźna). Zwerbowanych pod obstawą pędzono pieszo do Sum k. Żytomierza. Tam był obóz szkoleniowy. W czasie noclegu w Wiśniowcu przyszli banderowcy i namawiali do wstępowania w ich szeregi – nawet Polaków. Konwojenci nie reagowali. Na Wielkanoc kobiety z tobołami na plecach szły (może jechały) odwiedzić mężów. Nasza mama w tym czasie chorowała. Kuzynka Janka z Zaluża była przez to kilka dni u nas do pomocy.

Na dziewięć osób z najbliższej rodziny zginęło czterech. Stanisław Pajęczkowski, nasz ojciec, lat 37, 20 kwietnia 1945 r. w Odernitz za Nysą, bez wieści. Karol Blacha, kuzyn ojca, pod Budziszynem, czołgista – grób odnaleziono, lat 20. Kazimierz Szuber, kuzyn, lat 23, chorąży I AWP, pochowany w Drawsku Pomorskim, zginął w lutym 1945 roku. Tadeusz Szuber, kuzyn, lat 20, zginął bez wieści na Wale Pomorskim oraz Gretkierewicz, mąż kuzynki mamy. Przeżyli i wrócili bracia mamy: Józef Szuber oraz Ignacy Szuber – uczestnik wojny z lat 1920-21, a także starsi krewni, sąsiedzi, znajomi służący w taborach.

17-latkowie, którzy przeżyli, mieli do wyboru albo wojsko ochotnicze, albo kopalnię w Donbasie. Najczęściej wybierali pierwsze. Zygmunt Kinach, który przeżył – „śmierć od kuli łżejsza niż z głodu”.

Ojciec miał operację na przepuklinę i miał nadzieję na kilka dni urlopu, ale go nie otrzymał. Pisał wzruszające listy (do dziś zachowane). W wigilię 1944 roku żołnierze w okopach dzielili się opłatkiem – jeden musiał wystarczyć na 40 ludzi. Ostatni list ojca mamy z 13 marca 1945 roku. Informował w nim: jedziemy na front.

Historia toczyła się dalej. Wprowadzono administrację rosyjską z miejscowych Ukraińców i ich zwierzchników pochodzących z ZSRR.

Znów nałożono podatki na gospodarstwa rolne. Dla rodzin wezwanych do wojska wyznaczono zapomogi. Na sześć osób – 100 rubli. Kiedy przysłano wiadomość o zaginięciu ojca kwotę zmniejszono do 72 rubli. Na pytanie mamy dlaczego odpowiedź była następująca: „On już jest nieprzydatny dla Ojczyzny”.

W czerwcu 1944 roku samochód osobowy z rosyjskimi oficerami, na poboczu szosy, potrącił 8-letniego brata Juliana. Sąsiedzi wnieśli go na podwórze, był nieprzytomny. Żołnierze kwaterujący u nas zawieźli go do szpitala na zamku (wojskowego). Położono go na podłodze, gdyż wszystkie łóżka były zajęte. Mama została przy nim na noc, przez co uratowała mu życie (wróciła po trzech dniach). Brat miał wysoką temperaturę oraz wybuchy krwi ustami. W czasie nocnych nalotów żołnierze mówili do mamy: chadziak uciekaj do piwnicy, ale ona nie skorzystała. Kontuzja polegała na tym, że w czasie uderzenia głową o bruk nastąpiło wgniecenie czaszki z boku głowy. Po powrocie do domu brat bardzo długo nie mógł utrzymać równowagi. Uczyliśmy go chodzić. Jako trwale pozostało mu jękanie się, które zaważyło na jego karierze. Był on bowiem wybitnym matematykiem. Miał różne problemy życiowe wynikające z powodu swojej „naducziwości”. Skończył AE w Łodzi. Kilka lat przed śmiercią żył w postępującej depresji, odezwały się też skutki urazów z dzieciństwa. Zmarł w wieku 66 lat.

W tym samym miejscu, w Zbarażu, w 1970 roku zostało zabite przez samochód dziecko (1,5-roczone) Ukraińców z Zamojszczyzny, którym przyznano naszą posesję. Tragicznie zginął też dziadek tej rodziny Kuźma. Nie chcieli jednak mówić, w jakich okolicznościach. Czyżby jakieś fatum.

W styczniu br. zginęła w wypadku samochodowym koło Obornik synowa brata Juliana wraz ze swoją matką i zostawiła 2-letnią sierotę, synka Juliana (imię po dziadku). „... Czy to sieroctwo, które na nas zsyłasz, jest skutkiem planu, czy dziełem przypadku, a że nikt z nas tego pojąć nie może – smutno nam Boże.”

Można mało rozumieć, ale hartu ducha, walki z przeciwnościami losu i wielkiej odwagi można nauczyć się od naszych przodków, bo umieli żyć ze świadomością przemijania.

Jesienią 1944 roku zaczęły przychodzić kartki z wiadomościami o poległych. Otrzymała taką koleżanka naszej mamy Elżbieta Szumowska. W tych samych dniach zmarła jej matka, więc idąc za trumną miała wrażenie, że leżą w niej dwie osoby.

Na Boże Narodzenie słyszałam nową zwrotkę koledy: „Wdowy zawodzą, płaczą sieroty. Lulajże Jezuniu, lulajże złoty”. Zawiadomienia o poległych przychodziły coraz częściej od lutego 1945 roku do końca wojny. Do nas dotarło 15 czerwca. Brat babci, Karol, który pełnił funkcję „dziesiątnika” przez kilka dni nie miał odwagi wręczyć go mamie. Było miesiąc po wojnie, a my czekaliśmy na powrót ojca.

Pamiętam jak drogą jechał mężczyzna na rowerze i wołał głośno: koniec wojny!

Mama i babcia lamentowały chyba tylko jeden dzień. Uciekliśmy na podwórze i na wygon. Sam fakt nieobecności taty jeszcze do nas nie docierał, odczuwaliśmy skutki jego braku w późniejszym życiu. Wielokrotnie mama wspominała, że postanowiła nigdy przy nas nie rozpaczać z tego powodu. Toteż podobnej sceny w domu nie pamiętam. Dowiedzieliśmy się tylko, jak w czasie pracy na polu usiadła odpocząć i dała upust swojemu żalowi, a konie stojące obok patrzyły i z oczu ciekły im łzy.

To były konie: Siwa i Kasztanka, które uratowała w czasie panującej zarazy, chyba przywleczonej przez wojsko. Konie dostawały „parchów”, chorowały i padały. Mama postarała się o jakieś piekielne mazidło. W czasie smarowania nim konie z bólu stawały dęba. Musiały być częściowo związane i odgradzone w wąskim przejściu, ale wyzdrowiały i to budziło powszechny podziw. Chyba od tych bakterii na naszych rękach i nogach pojawiły się pęcherze, które potem pękały i robiły się strupy. Mama miała je jeszcze na głowie. Obcinałam wokół nich włosy, które miała długie do kolan i czyściłam z robactwa. Chorowałam we wczesnym dzieciństwie, a w czasie wojny byłam zdrowa. W czasie epidemii szkarlatyny tylko ja nie zachorowałam. Kilko dzieci na przedmieściu zmarło. Myślę, że na zapalenie opon mózgowych. Nie było środków znieczulających – Hania Jaremczuk (krewna) męczyła się bardzo długo.

Wśród dzieci było dużo wypadków z powodu zabawy niewybuchami, prochem, a nawet bronią. Tak zginął Jurek Słaby zastrzelony przez kolegę serią w brzuch – nieumyślnie. Mój brat Józef do dzisiaj nosi w udzie resztki prochu strzelniczego. Ojciec Jurka był policjantem, pełnił służbę w Tokach, powiat Zbaraż, i został zamordowany przez OUN już w 1939 roku. Matka – Anna z Szubrow przez wiele lat mieszkała w Rogoźnie, pochowana jest w Murowanej Goślinie. Na cmentarzu rogozińskim leży jej matka i siostra Maria Werchono-wicz z synem Edwardem, porucznikiem WP – zmarł po wojnie w wieku 24 lat.

W czerwcu 1944 roku z Tarnopola prowadzono wielotysięczną kolumnę jeńców. Niektórzy szli boso. Rannych podtrzymywali ich kamraci, jeden upadł. Młody żołdat z obstawy kazał położyć go na poboczu drogi i dobił rannego jeńca z automatu. Ktoś pochował go w rowie. Próbowano podać idącemu chleb, ale konwojentów było wielu i nie pozwolili.

Gdy po raz drugi Stankiewiczowie mieli opuścić Czarny Las nie było już mężczyzn. Został tylko Stanisław bez nogi. W czasie wigilii Bożego Narodzenia wszyscy staliśmy dzieląc się opłatkiem. Wtedy przez okno padł strzał. W popłochu dzieciaki schowały się pod łóżka. Uważaliśmy, że zaraz będą nas mordować. Nasłuchaliśmy się różnych okropności, najbardziej bał się Bolek, miał 13 lat i wiedział więcej od nas. Sprawa wyglądała tak, że miano zastrzelić sąsiada. Po stwierdzonej pomyłce wykonawca poszedł do niego, ale Andrzeja K. już nie było, zdążył uciec.

Polityką u nas interesowali się tato i babcia, która przynosiła różne wiadomości i przepowiednie np. „O czarnym orle”, który ze złamanym skrzydłem wróci do swojego gniazda i inne. Za Niemców czytano Gazetę Lwowską wydawaną dla Polaków przez okupanta. Zamieszczono w niej listę, a nawet zdjęcia pomordowanych w Katyniu – nikt nie wątpił, kto był winowajcą.

W lutym 1944 roku stacjonowali u nas żołnierze węgierscy przyjaźnie nastawieni do Polaków. Używaliśmy na nich nazwy „Madziarzy”, próbowali nas uczyć po węgiersku – umiałam liczyć do 10. Oficer węgierski znający język rusiński twierdził, że cofać się będą do Karpat, a potem znów z Niemcami ruszą na Wschód.

Pamiętam rozmowę z Julkiem: było u nas wojsko polskie, ruskie, niemieckie, węgierskie, a może teraz przyjdzie francuskie albo angielskie?

Kwaterujący żołnierze różnych narodowości interesowali się dziećmi, przypominaliśmy im własne, cierpiące z powodu wojny, czy też skazane na śmierć głodową w ZSRR.

Już na przełomie lat 1945/1946 zaczęli masowo przyjeżdżać za chlebem ludzie z głębi Rosji. Pojawili się zdemobilizowani żołnierze, którzy zamieniali na żywność obuwie i odzież przywiezioną z Niemiec (może te osławione zegarki też). Grupy 14-15-letnich chłopców niesamowicie obdartych po prostu żebrało. Opowiadano o kanibalizmie, o tym, że po powrocie z wojny z pięciorga dzieci zostało dwoje, trójka zmarła z głodu. Kilkunastoletni chłopiec napelniał kieszenie spodni i jakiegoś podartego chałata zbożem i mówi, że wraca do domu do Tuły. Ponieważ te wyjazdy były nielegalne, a władze doszły do wniosku, że im przynoszą wstyd, prawdopodobnie wydano jakieś zarządzenia. W mieście zorganizowano więc „głowa miasta”, Litwińczuk, wygłosił mowę, w której określił przybyszów jako leniących się do pracy. „W ZSRR chleba nie brakuje, jedźcie do

Ameryki, zobaczycie jaka tam jest bieda.” Od tego czasu tych nieszczęśników zwano Amerykanami, ale wciąż przybywali, ginęli w wypadkach kolejowych.

W roku szkolnym 1944/1945 zorganizowane były dwie szkoły: polska i ukraińska – w tych samych budynkach, jak przed wojną. Nauka trwała przez cały rok szkolny, nauczali polscy nauczyciele. Tylko wszyscy musieliśmy powtarzać klasę. Na rok szkolny 1945/1946 na miejscu polskiej zorganizowano szkołę z językiem rosyjskim. Zaczęłam uczęszczać do trzeciej klasy z dziećmi rosyjskimi z domu dziecka. Polacy wyjeżdżali. Jesienią przestałam się uczyć. Od jesieni 1945 roku było coraz trudniej i coraz niebezpieczniej. W sierpniu 1945 roku władza sowiecka ogłosiła amnestię dla banderowców. Wielu skorzystało, inni walczyli i mordowali. Część przedostała się przez granicę w Bieszczady. Ujawnił się Maksym Zeleńka – bogaty gospodarz, który wysługiwał się Niemcom. Wraz z rodziną ukrywał się od marca 1944 roku. Tuż po ujawnieniu został we własnym domu zastrzelony. Podejrzanie padło na zachodniaka, któremu przydzielono jego gospodarstwo i musiał je zwrócić. Inni mówili, że wyrok wykonali banderowcy z Łubianek za ujawnienie się. Rozpoczęła się likwidacja kryjówek w lasach. Podawano przykłady popełniania zbiorowych samobójstw młodzieży ukraińskiej i niepoddawania się do niewoli. Banderowcy teraz zaczęli likwidować przedstawicieli władzy oraz nauczycieli przysyłanych ze wschodu Ukrainy. Jesienią 1945 roku weszli do nas na podwórze uzbrojeni żołnierze rosyjscy, zaprzęgli konie, bo musieli jechać na banderowców. Mama postanowiła jechać z nimi. To był akt determinacji: „Jeżeli stracę konie i wóz zostaniemy bez środków do utrzymania” – mówiła.

W Stryjówce zostawili u księdza grekokatolickiego konie, wóz i jednego na straż. Żona popa przyjęła mamę na noc do domu – mama przesiedziała w kuchni. Na drugi dzień wrócili prowadząc trzech ze związanymi rękoma. Innym razem, ale to już w grupie, musiała jechać na froszpan (rodzaj podatku do odrobienia) i nie było jej w domu kilka dni. Wystarczy!

Codziennie widać było łuny pożarów. Szczyt wyjazdów na Zachód ludności polskiej. Żadnych perspektyw i brak nadziei. Ukraińców zmuszono do przejścia na prawosławie. Doszły prześladowania religijne. Bernardyni wyjechali krótko po nas, zabrali całe archiwum oraz najcenniejsze rzeczy.

(c.d.n.)

Czesław Bednarski

Święto Niepodległości w Gdańsku

Tradycyjnie, jak od 15 lat, Towarzystwo nasze i w tym roku uczciło kolejną rocznicę obrony Lwowa i odzyskania niepodległości przez Polskę. Uroczystość ta odbyła się 7 listopada ub. roku podczas miesięcznego zebrania członków naszego Towarzystwa w pięknie udekorowanej herbami Lwowa sali Liceum Szkół Okręgowych „Conradinum” w Gdańsku.

Na uroczystość tę Janina Rokicka – wiceprezes zarządu Towarzystwa zaprosiła zespół uczniów miejscowej szkoły oraz uczniów z XX liceum, które nosi zaszczytne imię poety Lwowa – Zbigniewa Herberta.

Pod kierownictwem pani Janiny uczniowie obu szkół przygotowali ciekawy i urozmaicony program występów, na który złożyły się: referat historyczny (nawiązujący do walk o Lwów w dniach 1-22 listopada 1918 r.), deklamacje patriotyczne oraz skecze, piosenki i dowcipy lwowskie.

Występy uczniów z Liceum im. Z. Herberta nawiązywały do walk Orląt Lwowskich o swoje ukochane miasto – Semper Fidelis. Przedstawiono między innymi piękne, lecz smutne wspomnienie o 14-letnim Jurku Bitscharie, który już w pierwszych dniach walki o Lwów poległ na

Cmentarzu Łyczakowskim. Na zakończenie tego smutnego wspomnienia uczennica zacytowała słowa właśnie tego Jurka, który uciekł z domu zostawiając kartkę o treści: „... Mamo, Lwów i Polska w potrzebie! Idę walczyć!”. Inna uczennica tej szkoły przypomniła słowa wiersza poety o pseudonimie Or Ot z okresu walk o polski Lwów:

*„O mamo otrzyj oczy,
Z uśmiechem do mnie mów –
Ta krew, co z piersi broczy,
Ta krew, to za nasz Lwów”.*

Następnie uczeń ze szkoły Conradinum wykonał na wiolonczeli wiązanek pieśni lwowskich. Śpiewali nie tylko uczniowie, lecz włączyła się cała sala lwowiaków i kresowiaków będących na uroczystości.

Inni dwaj uczniowie Conradinum wcielili się w sympatyczną parę lwowskich batiarów – Szczepka i Tońka w skeczu „Tońko i Szczepko poznają zabytki Lwowa”. Szczepko zawsze udawał mądrego batiarę, a Tońka nazywał „dumowaty pomidur”.

Po każdym spektaklu uczniów, który świetnie rozbaławił zebranych, zrywała się burza oklasków.

Na zakończenie świetnych występów zaproszonej młodzieży prezes naszego Towarzystwa – Zdzisław Nałęcz-Sobieszczański – serdecznie i gorąco podziękował pani Janinie, organizatorce tego spotkania, oraz występującej młodzieży obu szkół. Dalszym punktem uroczystości była prelekcja członka naszego Towarzystwa – profesora Tadeusza Riedla, który niezwykle inte-

resując i barwnie opowiedział o najwybitniejszych postaciach lwowskich uczonych, pisarzy i poetów. Przedstawił m.in. Sreana Banacha, Hugo Steinhausa i Stanisława Ulama jako najwybitniejszych lwowskich matematyków. Przedstawił też zasługi pisarzy i poetów takich jak: Leopold Staff, Zbigniew Herbert, Maria Konopnicka i wielu innych.

Na zakończenie wieczoru wyświetlono film z wycieczki do Lwowa młodzieży obu szkół, która odbyła się w lipcu ub. roku.

Po wyświetleniu filmu młodzież ta licznie wpisała się na listę sympatyków naszego Towarzystwa, a cichym marzeniem naszym jest, aby lista ta przekształciła się w Młodzieżowy Klub Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich. Upatrujemy w tym sposób, aby młodzież kontynuowała idee członków naszego Towarzystwa, którego grono – z wiadomych przyczyn – stopniowo, lecz ciągle się zawęża. Na zakończenie obchodów Święta Niepodległości w niedzielę 13 listopada większość naszych członków uczestniczyła we mszy św. w gdańskim kościele pod wezwaniem św. św. Piotra i Pawła.

Msza św. odprawiona była w intencji lwowiaków i kresowiaków poległych w pierwszej obronie Lwowa w latach 1918-1920 oraz poległych w drugiej obronie Lwowa w czasie drugiej wojny światowej.

Ostatnią intencją tej mszy byli lwowiacy i kresowiacy żyjący obecnie w Polsce i w różnych zakątkach świata – biorący czynny udział w trzeciej obronie Lwowa – przed zapomnieniem. □

Maria Pawłowiczowa

Drukarnia Stanisława Chowańca w Stanisławowie (1887-1939)

Twierdza stanisławowska powstała w połowie XVII wieku. Miała bronić południowych rubieży państwa polskiego przed najazdami Turków, Tatarów i Wołochów. W obrębie murów twierdzy rozwinęło się z czasem miasto. Zamieszkali tu ludzie różnych nacji: Polacy, Rusini, Ormianie i Żydzi. Potoccy – właściciele miasta – obdarzali mieszkańców licznymi nadaniami, rozwinęła się tu więc bogata kultura materialna i duchowa. Każda z nacji miała swoje ośrodki kultury i szkoły, posługiwała się swoim językiem i alfabetem. Książka drukowana przywożona była ze Lwowa i z Krakowa. Rękopisy powstawały w lokalnych skrytoriach.

Sytuacja polityczna, społeczna i gospodarcza zmieniła się po I rozbiórce Polski, gdy Stanisławów wcielony został do Galicji. Władze austriackie usunęły Potockich i zlikwidowały obwarowania twierdzy. Stanisławów stał się odtąd małym galicyjskim miastem powiatowym, poddanym ostremu reżimowi germanizatorskiemu.

W tym mrocznym okresie – w 1828 roku – Jan MILIKOWSKI założył w mieście pierwszą księgarnię. I już wkrótce – w 1834 roku – Jan Paweł PILLER uruchomił tu pierwszą drukarnię. Odtąd książki mogły się ukazywać na miejscu – w Stanisławowie. I księgarnia,

i drukarnia prowadziły działalność nakładową. Placówki te istniały nieprzerwanie do 1939 roku, zmieniając tylko właścicieli.

Po uzyskaniu przez Galicję autonomii Stanisławów stał się żywym ośrodkiem kultury. Wzrosło zapotrzebowanie na słowo drukowane w języku polskim. W 1887 roku nową oficynę założył Stanisław CHOWANIEC. Stale udoskonalana pozostała w rękach rodziny Chowańców do 1939 roku. Utworzyła się tym samym dynastia stanisławowskich drukarzy, którzy wnieśli ogromny wkład do kultury całego Pokucia.

Przekazywanie firmy dziedzicznie dawało jej przewagę nad innymi tłoczniami i pozwalało na ulepszanie urządzeń technicznych. Z tej przyczyny była drukarnia Chowańca najnowocześniejszym zakładem w mieście, mogącym realizować również wyszukane zamówienia. Liczne jej druki mają charakter bibliofilski.

Księgarnie i drukarnie stanisławowskie poczęły się dynamicznie rozwijać dopiero w okresie międzywojennym, gdy w niepodległej Polsce powstało województwo stanisławowskie. Rozbudzone zostało wówczas na Kresach bogate życie kulturalne. Zwiększyła się liczba oficyn. Na podkreślenie zasługuje fakt, iż dostrzeżono dokonania Wacława Chowańca. Mianowano go burmi-

strzem wojewódzkiego miasta Stanisławowa, został też posłem na Sejm.

Zagładę polskości we Wschodniej Małopolsce przyniosła II wojna światowa. Na skutek agresji sowieckiej zlikwidowane zostały polskie drukarnie i księgarnie, a grażdanka stała się literą obowiązującą na terenie ziem zabranych leżących na wschód od Bugu i Sanu. Tony czcionek łacinki w drukarniach Stanisławowa zlikwidowano, bezwzględnie zacierając ślady polskości.

Dziś badania nad dziejami księgarń i drukarni dawnego Stanisławowa wpisują się w zabiegi o odtworzenie przeszłości naszej kultury na ziemiach utraconych. Należy przy tym zwrócić uwagę na bazę techniczną dawnych zakładów, osoby właścicieli firm, którzy tworzyli potencjał gospodarczy oraz nadawali charakterystyczny kształt produkcji wydawniczej. Jako trzeci element trzeba opisać plon drukarski danej oficyny. Zważając na to, że księgarnie i drukarnie prowadziły bogatą działalność nakładową.

W Stanisławowie zakład Pillera i następców działał w latach 1834-1939 – czyli w ciągu ponad 100 lat. Spod prasy oficyny Chowańca wyszły druki w latach 1887-1939, czyli w ciągu ponad 50 lat. Produkcja obydwu firm stanowi dziś zbiór zamknięty feralną datą 1939 roku. Cała ma charakter zabytkowy.

Wiele z tych stanisławowianów zaginęło podczas kataklizmów wojennych oraz na skutek cenzury. Uległy

Kresowiaków losy

Edward Poskier

Stolarz artysta z Rychcic (wspomnienie o Marcinie Jachu 1906-1976)

*Ziemio moja droga, rodzinna, kochana
Przez moich pradziadków byłaś uprawiana
Ja ciebie ziemio ojczysta kocham i miłuję
A skrycie twoje grudki ściskam i całuję...*

(„Ziemia rodzinna” – Marcin Jach)



Marcin Jach

Chciałbym przybliżyć w tym artykule postać mojego dziadka Marcina Jacha, urodzonego we wsi Rychcice, pow. Drohobycz, woj. lwowskie. Skończyłem już 55 lat i ciągle wracam wspomnieniami do lat dzieciństwa spędzonych w Zabrze, gdzie było dużo, jak pamiętam, rodzin ekspatriantów z Kresów. Ponieważ moi kochani rodzice byli bardzo zapracowani w tych trudnych powojennych czasach, to w dużej części moje i mojej siostry Barbary wychowanie zawdzięczamy naszemu kochanym dziadkom. To oni przekazali nam wiele serca, ciepła, uczyli nas pa-

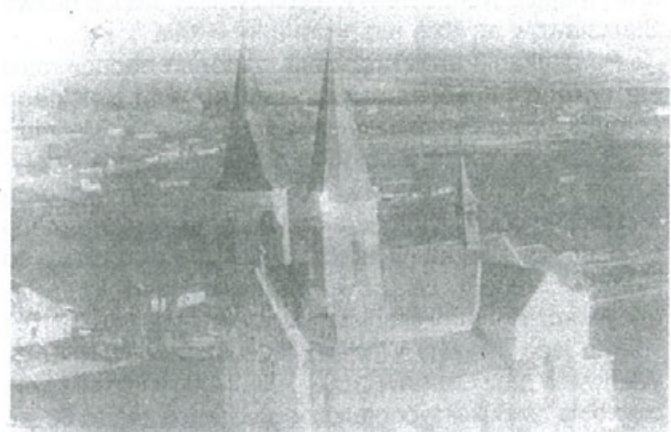
też zagładzie w czasie likwidacji bibliotek kresowych i ekspatriacji mieszkańców Stanisławowa. Tylko niektóre książki udało się wywieźć z opuszczanych w pośpiechu domów. Dziś są rozproszone, jak i ich właściciele. Mimo trudności należy tę pracę podjąć, tym bardziej że władze sowieckie w 1962 roku zmieniły nazwę miasta – zniknął Stanisławów, jest Iwanofrankowsk. Tak więc druki mające w adresie wydawniczym i w stopce nazwę Stanisławów są dziś już historią.

Po ukazaniu skali problemu, z którym badacz musi się uporać chcąc odtworzyć dzieje i rolę polskiego ośrodka typograficznego w dawnym Stanisławowie informuję, iż w pierwszej kolejności opracuję materiały dotyczące oficyny Stanisława Chowańca. W tym celu w mojej wypowiedzi scharakteryzowane zostaną moce produkcyjne zakładu w latach 1887-1939 oraz druki, do których dotarłam. Ukazani zostaną też właściciele firmy: twórca drukarni Stanisław Chowaniec (1862-1910) i kolejno jego synowie Wacław, Tadeusz (zm. w 1940 r.), Władysław oraz Czesław (1899-1968). Odcisnęli oni swoje piętno na produkcji typograficznej w ciągu przeszło 50 lat.

Byli oni twórcami druków. Udzielali się ponadto w życiu Stanisławowa współtworząc niepowtarzalną atmosferę polskości na Kresach. Wielkie zasługi dla regionu wniósł historyk Czesław Chowaniec, który pozostawił liczne znaczące rozprawy naukowe dokumentujące przeszłość ziem utraconych. □

triotyzmu, miłości do ojczyzny, wiedzieliśmy już jako dzieci o zbrodni katyńskiej, o pięknie Lwowa i naszych ziem wschodnich. Ja od dziadka otrzymałem gruntowną wiedzę o stolarstwie artystycznym, snycerce, on uczył mnie rysunku, malarstwa, pisania wierszy, historii i wielu innych rzeczy. Dziadek mój urodził się w rodzinie rzemieślniczej w Rychcicach, początkowo namawiano go do zawodu murarza, ale przeważyła stolarka. Po ukończeniu szkoły rzemiosła szybko usamodzielniał się i otworzył własny warsztat stolarski w Rychcicach, który rozbudowywał. Mieszkał we własnym domu pod nr. 628, wcześniej z rodziną pod nr. 287. Jego pasją było stolarstwo meblowe, ale jako dobry rzemieślnik i niespokojna dusza interesował się wszystkim co ma związek z rzemiosłem drzewnym, także bednarstwem, kołodziejstwem, ciesielką i... wyrobem nart! Dla niego drewno nie miało tajemnicy, rozpoznawał każdy gatunek, wiek pnia drzewa, mógł o drzewach mówić godzinami. Zawsze mówił, że Bóg dał nam drewno – materiał doskonały, z którego można wszystko wykonać i myślę, że się nie mylił. Snycerka, rzeźba w drewnie, wszelkie ornamenty, zdobnictwo były jego pasją, toteż współpracował z firmami przy pracach w wykonawstwie kościołów we Lwowie i w innych miastach, gdzie takie prace wykonywał. Był mistrzem renowacji stolarki, wiele tajemnic zawodowych odziedziczyłem po moim dziadku. Był znakomitym stolarzem meblowym, współpracował z salonami meblowymi w Drohobyczu i Lwowie. Interesował się historią, sztuką, kulturą, religioznawstwem, dużo czytał, malował obrazy różnymi technikami. Pomógł w rozbudowie i adaptacji sceny ludowej w Domu Kultury zwanym „Sokołem” w Rychcicach, tam odgrywano jasełka, gdzie również występował. Był duszą towarzystwa, wesoły i

posiadający dużą wiedzę szybko zjednywał sobie rzesze przyjaciół. Wykonał wiele prac w miejscowym kościele. Zawsze mówił, że Rychcice to magiczna miejscowość, wielu ludzi z tej wioski ciekawych świata zdobyło dobre zawody, wykształcenie i pozycję. Do nich należeli między innymi pilot Stanisław Bury z Rychcic, wykonawca poniższego zdjęcia kościoła, swe loty roz-



poczynał z lotniska Skniłów k. Lwowa. Bracia Emerle: Edward miał po wojnie najlepszy zakład naprawy samochodów na Krupówkach w Zakopanem, drugi był kapitanem żeglugi wielkiej, mistrz zduński Podolak z Zakopanego, wykonawca i rekonstruktor zabytkowych pieców kaflowych i kominków. Tych nazwisk było wiele. Dziadek ciężko przeżył repatriację, nie chciał zostać z bliskimi w Nowej Soli, mówił że nie będzie mieszkał na niemieckich terenach, przeniósł się do Czechowic-Dziedzic k. Bielska-Białej, by ostatecznie osiąść w Zabrze. W Zabrzu pracował jako mistrz stolarski w stolarni PSS „Społem”, jakiś czas prowadził własny warsztat stolarski renowacji mebli, do dziś pamiętam jego unikatowe profilowane specjalistyczne heble i inne ręczne narzędzia, bo swoich maszyn bardzo drogie nie mógł z Rychcic wywieźć. Pamiętam zanikające już technologie formowania na oryginalnych klejonych formach, zapach kostnego kleju, szelak, bejce, politura, ręczne roboty już dzisiaj zanikające. Szczególnie piękne były jego formirowe mozaiki, mam kasety drewnianą, kunszt ornamentu roboty stolarskiej mego dziadka. Inną jego

pasją było pisanie wierszy, prowadził kronikę, dużo czytał. To wszystko w znikomym stopniu przysłańiało mu ból i tęsknotę za jego umiłowanymi Rychcicami, Drohobyczem i Lwowem. Ciągłe wierzył, że odzyskamy te ziemie, że wróci na swoje. Po wojnie tylko raz w latach sześćdziesiątych pojechał w misji kościelnej z darami i żywnością dla głodującej tam rodziny mojej babci. To co zobaczył: dewastację kościołów we Lwowie, których wnętrza wykonywał, a które stały się magazynami zbożowymi, kolchoz na swojej posesji, swoje jeszcze pracujące maszyny stolarskie na... gołej ziemi, w warsztatach wyrwano posadzkę, dom był bez podłóg! Nerwy puściły, narozrabiał wyzywając Ukraińców i został zamknięty przez policję. Tylko dzięki zabiegom rodziny mojej babci udało się dziadka uwolnić i szybko wrócił do Polski. W Zabrzu prowadził ożywioną korespondencję z krajanami, z którymi się także spotykał, tu pojawiają się nazwiska: Michał Tarnawski i Franciszek Hańczuk z Gorzowa Wlkp., Jan Świerniak z Andrychowa, Maria Sirek i Katarzyna Dudziak z Rzeszowa, Jan Sypliwy z Cieszkowic, Edward Emerle z Zakopanego, Stanisław Małysz z Krakowa, Franciszek Franków i wiele innych. Po moim kochanym dziadku pozostały piękne rysunki, szkice i jego piękne wiersze, niestety nie zachowały się obrazy olejne i rzeźby. Zbierał notatki swoich idoli: Poli Negri, Jana Kiepury, Mieczysławy Ćwiklińskiej, Adolfa Dymy. Miał ciekawą płytotekę. W tych ciężkich czasach podporą dziadka była moja babcia Katarzyna Jach z d. Wachowicz. Pochodziła z rodziny ziemiańskiej z Polany k. Chyrowa. Mieli jedną córkę Janinę, moją mamę, obydwie już zmarły. Dziadek miał dwóch braci: Piotra, mistrza murarskiego, pochowanego po tułaczce w Zabrzu i Wawrzyńca, oficera WP, ułana, który zaginął bez wieści w wojennej zawierusze. Dalsza rodzina dziadka żyje na ziemiach odzyskanych, także w Stanach Zjednoczonych. Rodzina babci mimo szykan i prześladowań z jakimi się spotykali Polacy żyje w okolicach Drohobycza. Marcin Jach, człowiek życzliwy, uczynny, patriota i znakomity fachowiec, mój kochany dziadek na zawsze zostanie w mojej pamięci.

Czas ucieka, ludzie odchodzą, a wspomnienia i żal zostają.

Zdjęcie z rodzinnego archiwum

Remigiusz Węgrzynowicz

„Sine ira et Studio” – „Bez gniewu i stronnictwa”

Ekspansja terytorialna w poszukiwaniu przestrzeni życiowej jest naturalnym zjawiskiem w przyrodzie. Dotyczy wszystkich istot żyjących.

Wraz ze wzrostem demograficznym nasila się potrzeba zdobywania przestrzeni życiowej dla człowieka. Zawłaszczanie terytorium uzasadniane jest często racjami historycznymi. Spory na świecie trwają nieustannie. Nielatwo jest zmieścić wszystkie racje historyczne dotyczące pretensji terytorialnych wobec wzrostu demograficznego na niepowiększającej się ziemi. Klasycznym przykładem bez perspektyw zakończenia jest wieoletni spór palestyński-izraelski.

Obecnie człowiek dysponując wysoką techniką może dokonać zniszczenia o dużym zasięgu, nie

oszczędzając również niezaangażowanych w konflikcie. Jedyną drogą szukania prawdy przy rozstrzyganiu sporów (jeżeli chcemy zachować gatunek ludzki) jest droga mediacji „bez gniewu i stronnictwa” – jak mawiał Tacyt.

Jak znaleźć prawdę? Filozof-humanista ks. prof. Tischner określał prawdy krotko i chwytliwie: „...są trzy prawdy... moja prawda, twoja prawda i g... prawda”. W tym rubasznym folklorystycznym góralskim sformułowaniu zawarty jest głęboki sens. Prawda służąca wsparciu własnych racji nie może być stronnictwa, ulegać spekulacji interpretacyjnej, szczególnie jeżeli dotyczy faktów historycznych odległych w czasie, opartych na wielu źródłach, jak również konfabulacji kolejnych historyków.

Druga wojna światowa stworzyła nadzieję na zakończenie sporów terytorialnych i w miarę możliwości sprawiedliwego ustalenia granic, zgodnie z racjami historycznymi. Niestety zachłanność imperialna mocarstwa komunistycznego zastrzyła spory. Podziału terytorialnego (przed zakończeniem wojny) dokonano przez trzy zwycięskie mocarstwa, bez udziału wszystkich zainteresowanych narodów. Pominięto nawet należących do zwycięskiej koalicji! Polska utraciła na kresach wschodnich 1/3 terytorium o wielowiekowym dorobku kulturowym naszego narodu. Otrzymała w „zamian” (?) za udział w zwycięstwie ziemie zachodnie o 70 tys. km kw. mniejsze od posiadanych przed wojną! Ekspatriacja z Kresów Wschodnich ludności polskiej, a na zachodzie ludności niemieckiej, odbywała się przymusowo pod dyktando sowieckim.

Prawdę historyczną (dla uzasadnienia dokonanych przemian w tej części Europy) odpowiednio formułowano zgodnie z głoszoną propagandą. Dotyczyło to zarówno Kresów Wschodnich jak i ziem zachodnich.

Większość faktów historycznych (niewygodnych) zacierano. Stanowiły temat tabu. Przypominanie ich podlegało cenzurze, narażało wolność osobistą. Ponad 40 lat wychowywano pokolenia zniewolonych narodów na „prawdach” historycznych spreparowanych przez reżim propagandy.

Ustalenie nowych granic państw, ekspatriacja, związane z nią tragedie milionów ludzi, którzy przeżyli wojnę, a po wojnie stracili cały dorobek życiowy (niekiedy pokoleń), pozycję społeczną, warsztat pracy, środowisko przyjaźne, w którym wychowali się, wywoływało uzasadnione poczucie krzywdy, zarówno u Polaków jak i Niemców.

Odkrywanie prawd historycznych niezafałszowanych nie leżało w interesie mocarstw zarówno Wschodu jak i Zachodu. Obydwie strony były sprawcami podziałów (w Teheranie i Jaltie). Szczególnie niechętnie było wobec Polaków – sojuszników, którzy od pierwszego do ostatniego dnia wojny walczyli na lądzie, na morzach i w powietrzu, oddając życie za „wolność naszą i waszą”.

Trudno było mocarstwom przyznać się, że pogwałcili prawa międzynarodowe na zakończenie konfliktu pięcioletniego, który pochłonął miliony ludzi! Wzrastały antagonizmy między narodami. Budziły się roszczenia terytorialne, które do dzisiaj nie wygasły.

Odkrywanie prawdy historycznej ujawniałoby spekulacje polityczne. Prawda dla Niemców byłaby bolesna, ale przejrzysta i konieczna do przyjęcia, jeżeli przedstawiona byłaby rzetelnie, że: „Każda wojna powoduje straty po obydwu stronach walczących, że zwycięzcy mają prawo rekompensować część strat (terytorium, dobra materialne, potencjał ludzki – specjalistów, itp.).

Koalicjanci w miarę możliwości rekompensowali straty wojenne wykorzystując dokumentację, patenty, specjalistów niemieckich m.in. w energetyce nuklearnej, w wywiadzie itp. Związek Sowiecki dokonał również aneksji Prus Wschodnich. Pomorze, Śląsk, tzw. Ziemia Zachodnia oraz część Prus Wschodnich przekazano Polsce jako rekompensatę za zawłaszczane przez Sowieców Kresy Wschodnie.

Wszystkich strat wynikłych z konfliktu nie można było (jak w każdej wojnie) zrehabilitować. Przekraczałyby to możliwości zwyciężonych. Szczególnie straty moralne (utrata najbliższych, osierocone rodziny, kalectwo, cierpienia więzienne – obozowe, niewolnicze roboty, utrata ziemi ojczystej, dorobku pokoleń itp.)

pozostaną bliźniami narodów. Straty dóbr kulturalnych Polski spowodowane przez Niemców (wg szacunku specjalistów) wynoszą ok. 15 mld dolarów (wg obecnych cen). Niemcy jako agresorzy pozostają dłużnikami wielu narodów, na które dokonali napaści.

Trudniejsze byłoby odkrywanie prawdy Polakom w stosunkach polsko-sowieckich. Uzasadnienie dlaczego Polacy jako zwycięzcy ponieśli straty terytorialne na rzecz Sowieców? Na jakiej podstawie prawnej Sowieci naruszyli granice Polski w 1939 r. zajmując jedną trzecią terytorium, mordowali jeńców, więźniów, wywozili na wyniszczenie do ekstremalnie ciężkich warunków tysiące ludzi cywilnych. Po wstąpieniu do koalicji antyhitlerowskiej naruszali prawa sojuszników likwidując Armię Krajową, wspomagając działania wojenne na froncie wschodnim. Nie dopuszczali do udzielenia pomocy w Powstaniu Warszawskim...

Wartość dóbr kultury wywiezionych przez Sowieców na początku drugiej wojny światowej ze Lwowa wynosi ok. 11 mld... lista jest długa! Straty spowodowane grabieżą sowiecką przewyższają straty spowodowane przez Niemców. Roszczenia polskie wobec Rosji traktowane są w Moskwie jako przejawy antyrosyjskości!

Przez wiele lat po wojnie okupant sowiecki nie dopuszczał do dyskusji na temat dokonanych zbrodni własnych. Przyzwyczaiał opinię światową (już w Norymberdze), że za zbrodnie wojenne odpowiadać mają tylko Niemcy.

Stosunki dobrosąsiedzkie po wojnie w obozie państw zniewolonych okupant układał na zasadzie obłudnych kłamstw.

Zmuszał do demonstrowania nie tylko przyjaźni, ale miłości wobec sąsiadów. Przywódcy witali się „na miast”... serdeczne uściski i gorące pocałunki miały demonstrować jak gorąca jest braterska miłość oparta na „najlepszej” ideologii. W takiej atmosferze przestępstwem byłoby wypominanie co dzieli narody.

Należało okazywać wdzięczność za wyzwolenie i przyjęcie do wspólnoty narodów miłujących pokój. Wdzięczność nie miała granic. Począwszy od pomników w każdej niemal miejscowości, zmiany nazw ulic, placów, miast, zakładów przemysłowych... do danin bez miary (po cenach dyktowanych, często niepokrywających kosztów własnych), zasobów ziemi, produktów przemysłowych, nie wyłączając myśli naukowej (m.in. patentów), kosztów utrzymywania wojska obcego i dewastacji środowiska naturalnego jego działalnością.

W rozliczeniach powojennych normą było wywożenie do Kraju Rad całych obiektów przemysłowych, a nawet tysiące zwierząt hodowlanych z terenów poniemieckich, w tym również objętych przez administrację polską. Pozostawiono nam również przywilej (?) tłumaczenia (racjami historycznymi) zmian granic, a także ekspatriacji, które były dokonywane w wyniku decyzji mocarstw.

Nie dopuszczano do otwartych rozliczeń za straty wojenne spowodowane przez „Wielkiego Brata”. Obecnie po upadku komunizmu drogą do demokracji i utrzymania prawdziwie przyjaznych stosunków może być szczerza postawa wobec przeszłości, wymiana poglądów „sine ira et studio”. Czy potrafią politycy uwolnić się od nieprawdy powtarzanej przez lata? Czy potrafią zdobyć się na gesty przyjaźni, a nie presji, pamiętając o długach, które pozostaną na wieczną pamiątkę?

Biskupi polscy (przed 40 laty!) w odpowiedzi na list biskupom polskim nie „owijali” prawdy. Pisali: „Nasi Ślązacy, Pomorzanie i mieszkańcy Prus Wschodnich

pragną wyrazić, że w swoich stronach rodzinnych mieszkali prawnie i że nadal z nimi są związani". Używają przy tym nazw historycznych (Prusy Wschodnie...).

Jaką różnicę postaw reprezentują Polacy? Kuroń – „Ja Polak ze Lwowa jestem szczęśliwy, że Lwów jest miastem ukraińskim... Lwów był sercem Ukrainy...”. Kardynał Glemp w „Cracovia Leopoldis” bije się w piersi za coś co nie istniało: „uparte polonizowanie ludności ruskiej...” na Ukrainie Zachodniej (!) zamiast Małopolsce Wschodniej. Na spotkaniu w Zarwaniu podtrzymywał fikcję na rzecz grekokatolików odmawiających łacinnikom nie tylko zwrotu, ale i współużytkowania kościołów! Wydanie przez Archidiecezję Lwowską obrządku łacińskiego autorstwa ks. bp. M. Buczka i ks. I. Selnyka pt. „Parafie, kościoły oraz kaplice (obw. lwowski)” w języku ukraińskim dla Polaków (!), podczas gdy emigranci (nie autochtoni jak Kresowiaczy) na Zachodzie używają polskiego języka w kościołach jako niekwestionowane prawo.

D. Baliszewski historyk-publicysta we „Wprost”: „polski Lwów był tylko polską enklawą na ich terytorium w wielomilionowym ukraińskim spragnionym wolności żywiole”? W „Tygodniku Powszechnym” M. Nocuń i A. Brzezicki usiłują wytłumaczyć, że „zwycięstwo polskiego oręża przypieczętowało na 70 lat los ukraińskich dążeń niepodległościowych”? Autorzy nie raczyli uwzględnić rusyfikacji kilkudziesięciu milionów Ukraińców przez paręset lat dzięki Chmielnickiemu?!

Niestety w procesie wynaradawiania na Kresach uczestniczą również księża wykształceni w polskich seminariach (gł. na KUL-u) oraz siostry zakonne. Są to smutne relacje „Cracovia Leopoldis”, kwartalnika, który w trosce o przyszłość narodu otwarcie o tym pisze.

Zacieranie historii narodu to również pomijanie w publikacjach bogatego wkładu intelektualnego Kreso-

wiaków do skarbnicy kultury i nauki światowej. Nieuwzględnienie w wydawnictwach biograficznych wybitnych Polaków – pracowników nauki na Kresach jest wynikiem nieświadomości, a może lęku jaki cechował określanych przez ks. Tischnera „homo sovieticus”? Korzystają z tego nasi sąsiedzi dokonując chętnie adopcji „niechcianych” przez rodaków wybitnych uczonych. Przykładem jest pominięcie w wydanej biografii („Wybitni Polscy Lekarze Weterynarii w XX wieku w Nauce i Zawodzie” – opracowanie prof. E. Prost) wielu wybitnych nauczycieli akademickich, którzy tworzyli Akademię Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie w XX wieku. Uczelnię, która zyskała światową renomę.

Działalność publicystyczna dotycząca Kresów jest ważnym elementem faktografii historycznej – nośnikiem pamięci narodowej. Naszej obecności przez wieki na Kresach.

Czy potrafimy prowadzić rzeczowy dialog „sine ira et studio” na wszystkich płaszczyznach (politycznych, publicystycznych, naukowych, przekonań, upodobań, biznesu, kontaktów osobistych...) z narodami, z którymi prowadziliśmy w przeszłości dialog nieszczerzy, oparty na nieprawdzie – fałszowanej historii?

Unia Europejska stwarza możliwości faktycznej integracji narodów z otwartymi granicami, oraz korzystania bez ograniczeń z dóbr kultury innych narodów i własnych, również pozostawionych poza granicami obecnymi. Otwarte, szczerze dialogi dotyczące przeszłości oraz obecnych stosunków, perspektywy współpracy wobec technicznych możliwości przekazu, ułatwiają kontakty międzyludzkie we wszystkich dziedzinach w skali jakiej nie śniło się nie tylko naszym Ojcom, ale nie tak dawno nam. Technika zbliżyła ludzi. Korzystajmy z możliwości kształtowania świata przyjaznego człowiekowi „Sine ira et studio” również w oparciu o prawdy historyczne. □

Janina Oparowska

Ten jeden styczniowy dzień...

Oto znowu zimowy wiatr od wschodu powiał tęsknotą i wspomnieniami do dawnych lat, do czasów dzieciństwa i młodości dawnych mieszkańców ziemi lwowskiej.

Dlatego w dniu 15 stycznia 2006 roku już po raz 23 zjechali się z różnych zakątków Dolnego Śląska, z samego Wrocławia, a nawet z dalszych miejscowości, aby spotkać się ze swoimi bliskimi, dawnymi sąsiadami i wspólnie przeżyć tych kilka godzin na spotkaniu opłatkowym.

To spotkanie odbyło się we Wrocławiu – w Domu Sióstr Maryi Niepokalanej w pobliżu katedry.

Przybyło ich wielu na to spotkanie opłatkowe. Nie odstraszył ich mroźny, styczniowy dzień. Z ogromną radością witali się ze sobą. Serdecznie się pozdrawiali, a wymieniane wzajemne uściski świadczyły o głębokiej potrzebie takiego spotkania.

To spotkanie odbyło się pod przewodnictwem ks. kan. Franciszka Rozwoda oraz ks. prałata Walentego Szalęgi. Uczestniczyli w nim także ks. kan. Stanisław Draguła oraz ks. Zdzisław Więclaw – proboszcz parafii we Wrocławiu-Świniarach. Organizatorem było Społeczno-Kulturalne Towarzystwo Pomocy w Odbudowie Ko-

ścioła w Nawarii z udziałem Augusta Barabasza i innych osób.

O godz. 13 uczestnicy wzięli udział w uroczystej Eucharystii, która miała miejsce w kaplicy klasztornej, którą sprawowali obecni na tym spotkaniu kapłani.

Homilię wygłosił ks. kan. Franciszek Rozwód, który w wymowny sposób rozwinął słowa kolędy „Bóg się rodzi”. Nawiązał równocześnie do znaczenia tego spotkania opłatkowego dla uczestników.

Po Mszy św. wszyscy zgromadzili się w refektarzu klasztornym i usiedli przy stołach, zastawionych potrawami, wśród których królowała tradycyjna kresowa potrawa – „kutia”. Po powitaniu wszystkich przybyłych na to spotkanie ze szczególnym wyróżnieniem dawnych mieszkańców parafii Nawaria, Hodowica, Sokolniki – miejscowości znajdujących się w pobliżu Lwowa, po oficjalnym powitaniu gości – w osobie prezesa Stowarzyszenia Siemianówki Bolesława Bednarskiego, przedstawiciela Pierwszego Koła TML „Leopoldis” Kazimierza Błądzińskiego, dyr. Klubu „Na Polance” Bolesława Langa, Janina Oparowska zaprezentowała wiersz pt. „Ten jeden styczniowy dzień”. Po ostatniej strofie tego wiersza:

„I połączmy swoje głosy
z tamtymi – z dawnych minionych lat
i zaśpiewajmy unoszącą się aż pod niebiosy kolędę
która kiedyś rozbrzmiewała wśród nocnej ciszy
wśród naszych swojskich chat”

wszyscy zaśpiewali kolędę „Wśród nocnej ciszy”.

Następnie ks. Walenty Szalęga dokonał poświęcenia opłatków. A potem nastąpił bardzo ważny moment tego spotkania – składanie sobie życzeń. Jest to zawsze bardzo wzruszająca chwila. Tyle pięknych słów pada z ust składających życzenia, uśmiechy, pocałunki, lzy wzruszenia.

A potem wszyscy spożywali przygotowane na stołach potrawy.

Było gwarno, trwały rozmowy, wszyscy cieszyli się, trwała szczególna atmosfera – taka swojska, odświeżona, wszyscy czuli się jak w jednej rodzinie. I to jest bardzo ważne.

W czasie spotkania głos zabrał ks. kan. Stanisław Draguła, który opowiedział o Polakach na Kresach, ich warunkach życia, ich potrzebach itp.

Zbigniew Burda

„Ni ma jak Lwów”

Na tradycyjnym opłatku spotkali się 14 stycznia br. członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Częstochowie. Temu, jakże miłemu spotkaniu, przewodniczył prezes Wacław Baczynski. Wśród zaproszonych gości byli między innymi ks. Andrzej Sobota, proboszcz parafii Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, który odmówił modlitwę na rozpoczęcie i poświęcił opłatek, a także akompaniował na akordeonie podczas licznie śpiewanych kolęd oraz Stanisław Gmitruk, dyrektor Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa w Częstochowie – członek Towarzystwa.

Samo spotkanie miało bardzo kameralny charakter, podczas którego wspomniano czas, kiedy Lwów był jeszcze po polskiej stronie. Skromny, ale jakże smaczny poczęstunek przygotowany został przez prezesa oraz wszystkich członków Towarzystwa. Po przywitaniu licznych obecnych prezes rozpoczął spotkanie w inny niż zazwyczaj sposób – odczytaniem wiersza Marii Konopnickiej „Ojczyzna”. Wśród życzeń, jakie można było tego dnia usłyszeć, przeważały życzenia długich lat życia w zdrowiu oraz pragnienie spotkania się w przyszłym roku. Te ostatnie były uzasadnione, gdyż większość członków TMLiKPW to ludzie w podeszłym wieku, którzy pomimo swoich lat nie wyzbyli się młodościowej werwy, radości i pamięci. Dla niektórych z nich okres młodości, wojny i okresu powojennego nie był usłany różami, lecz pomimo tego nie załamali się i pragną dalej przekazywać swoje życiowe doświadczenia jak np. Józef Natali – uczestnik walk na Monte Cassino i ostatni żyjący z brygady pancerniej „Lwowskie dzieci”, odznaczony niedawno brytyjską odznaką „Veteran Wojny”.

Wielu młodych ludzi powinno brać u nich lekcje z życia, gdyż są żyjącymi książkami historycznymi tamtych dni. Oby byli wśród nas jak najdłużej.

Bolesław Bednarski przedłożył informację z pielgrzymki na Kresy w ub. 2005 roku, a dokładnie do Siemianówki i do Lwowa. Przedstawił stan budowy plebanii w Siemianówce.

Barabasza August przekazał pozdrowienia i życzenia świąteczne od O. Lucjana Szymańskiego, pierwszego proboszcza w Nawarii po otwarciu tam kościoła. O. Lucjan obecnie przebywa na misji w Samarkandzie.

Sz szczególnie miłym akcentem spotkania było złożenie życzeń imieninowych ks. Walentemu – chociaż z miesięcznym wyprzedzeniem. Pieśń „Życzmy, życzmy” rozbrzmiewała donośnie w klasztornej refektarzu, co świadczyło o szczerzej sympatii dla solenizanta.

Na zakończenie spotkania opłatkowego zaśpiewano kolędę „Bóg się rodzi” oraz pieśń „Podajmy sobie ręce”. Wszyscy trzymając się za ręce utworzyli przyjacielski krąg ludzi, którzy kiedyś przed 60 laty musieli opuścić swoją ziemię rodzinną.

A styczniowy, zimowy wiatr od wschodu może zatrzymał się na moment – i zawrócił – i poniósł echo kolęd, rozmów, wspomnień do ziemi – skąd nasze korzenie. □



Szanowna Redakcjo!

Przesyłam materiały do artykułów o ks. Wincentym Danku oraz Siostrze Adeli Danek – Salomei.

Do Ks. Danki.

W ostatnim numerze „Semper Fidelis” ukazały się słusznie artykuły związane ze świetlanymi postaciami świętych lwowiaków abpa Józefa Bilczewskiego oraz księdza Zygmunta Gorazdowskiego. Pragnę przedstawić bliskie im osoby, które czerpiąc z ich ducha dokonały wielkich dzieł i przyczyniły się jeszcze bardziej do sławy i zasług Lwowa i Archidiecezji Lwowskiej.

1 maja mija rok od poświęcenia popiersia ks. Wincentego Danki w Budapeszcie, które umieszczone zostało na postumencie przed kościołem oraz „Schroniskiem” wybudowanym w latach dwudziestych XX wieku z inicjatywy św. Józefa Bilczewskiego abpa Metropolii Lwowskiej. Poświęcenia dokonał sufragan lwowski JE ks bp Leon Mały. Zaznaczyć należy także i fakt ten, że działkę pod budowę kościoła poświęcił ówczesny sufragan lwowski bp Władysław Bandurski z racji wizytacji Legionu Polskiego stacjonującego w Budapeszcie. Tablica pamiątkowa z jego medalionem do dzisiaj widoczna jest na wieży zakrystii. Popiersie ks. Danki wykonał w Polsce artysta rzeźbiarz prof. Wiesław Bielak.

W związku z tą tak doniosłą uroczystością pojawiły się artykuły w prasie polonijnej ze zdjęciami, które już dzisiaj stanowią bezcenny materiał historyczny przywołujący na pamięć osoby i wydarzenia nie tylko z czasów życia ks. Danki, ale i współczesnych jego wielkich czcicieli. Słowa towarzyszące tej uroczystości, które wygłosił piszący niniejszą informację, niech choć w znikomym wymiarze przybliżą wielkość osoby tego lwowskiego kapłana oraz doniosłość dzieła jego życia.

Przemówienie:

Osobą związaną najbliższą ze św. kapłanem Zygmuntem Gorazdowskim, a łączącą z abpem św. Józefem Bilczewskim, była ciotka ks. Wincentego Danki S. Salomea – Adela Danek – współzałożycielka Zgromadzenia Sióstr Józefitek – pierwsza matka. Urodziła się w Złoczowie w 1845 roku – 6 grudnia – z ojca Wincentego Danki asesora Magistratu w Złoczowie oraz matki Florentyny z d. Macielińskiej.

Ojciec S. Salomei był doskonałym muzykiem i kompozytorem znanym we Lwowie, odnowił Towarzystwa muzyczne we Lwowie. To z czworga braci jej rodzeństwa jeden z nich Stanisław, pełniący urząd radcy w Wiedniu na dworze cesarskim, miał syna Wincentego, który został budowniczym i kapelanem Kolonii Polskiej w Budapeszcie.

Siostra M. Stefania Jaworska CSSJ – „Dzieje Zgr. JJ. św. Józefa w latach 1884-1939”. Lwów-Kraków 1999, odnotowała wspaniałe świadectwa życia i działalności S. Salomei – Adeli Danek.

Ona to osobiście przez św. Zygmunta Gorazdowskiego zauważona została pierwszą przełożoną Zgromadzenia. Jej ludzkie rysy zdradzały wspaniałość jej wnętrza.



M. Salomea – Adela Danek

trza, głębokiego życia duchowego: „Była ona wzrostu średniego, postawy poważnej, głos miała dźwięczny i cichy, oczy spokojne, łagodne, dobrotliwe, ale też mądre, przenikliwe” – będąca już staruszką 83-letnią – wspominały siostry. Jej postawa była pochylona, nogami suwała po podłodze, twarz pomarszczona o wyrazie szlachetnym, miłym. Głos miała drżący, starczy. Oczy niebieskie – dobre.

Świadectwa Sióstr podkreślają jej świętość, po prostu była święta, której Bóg da wielką chwałę w niebie, a nam niech będzie w tych ciężkich czasach Orędowniczką naszą.

Jeszcze za życia wybudowała na cmentarzu Łyczakowskim grobowiec dla Zgromadzenia, w którym jako pierwsza spoczęła w nadziei Zmartwychwstania. Zmarła 12 IV 1933 r.

Księdzu Wincentemu Dankowi bliska była ciocia Adela, której był bratankiem. Pisał o swych planach i zamiarach prosząc o pomoc w prowadzeniu Schroniska oraz pracy w szkole polskiej w Budapeszcie. Siostry jednak nie były jeszcze w stanie pomóc w tych wypadkach, wiemy z historii, że uczyniły to Siostry Elżbietanki z Poznania.

Tak więc potwierdza się myśl przemówienia na poświęcenie popiersia ks. Danki, oby Bóg i te święte osoby dozwolił wynieść na ołtarze, dajcie je nam jako patronów i orędowników Jego Wielkiej Sprawy.

ks. Maciej Józefowicz

Hołd i przypomnienie

Danuta Jakubiec

Dzień księdza Danki

(Przedruk z: „Polonia węgierska” maj 2005 / 113)

Uschły już pierwsze kwiaty złożone 1 maja u stóp pomnika księdza Wincentego Danki. Popiersie wraz z postumentem tak wrosło w otoczenie naszego Kościoła i Domu Polskiego, jakby przy tej parceli na skrzyżowaniu ulic Kőér i Óhegy stało od lat. Oczekuje już tylko na oświetlenie, by i po zmroku nie zniknęło sprzed ludzkich oczu. Powstałe w krakowskiej pracowni rzeźbiarskiej prof. Wiesława Bielaka popiersie – owoc inicjatywy pana Ernesta Niżałowskiego i działalności powołanego dla jej realizacji Komitetu – może i powinno przypominać nam nie tylko wspaniałego Kapłana i Działacza Społecznego nie z nazwy, a z czynów, ale równocześnie to, jaka siła tkwi w wytrwałości i ofiarności.

Na razie jednak przypomnijmy sobie to tegoroczne pierwszomajowe święto. To nie przypadek, że uroczystość, z udziałem tylu znamienitych gości i – przede wszystkim – obok Polonii budapeszteńskiej przyjezdnych z różnych stron Węgier, odbyła się w tym dniu. Wszakże 1 maja to dzień świętego Józefa Rzemieślnika, a więc patrona świata pracy, a dzień następny to Światowy Dzień Polonii; do tego świata wytrwały, energiczny, oddany bez reszty swej parafii i parafianom Kapłan właśnie należał.

A więc 1 maja 2005 – data znamienita: 75 lat od konsekracji kościoła pw. Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych i 60 lat od śmierci jego Budowniczego. Taki dzień najlepiej czci się modlitwą. Dlatego i nasze święto rozpoczęła o godz. 10.30 uroczysta koncelebracja Msza święta pod przewodnictwem przybyłego ze Lwowa biskupa Leona Małego i przełożonego generalnego księży Chrystusowców ks. Tadeusza Winnickiego. W gronie księży polskich i węgierskich zgromadzonych w koncelebrze przez proboszcza księdza Leszka Kryżę znalazł się też salezjanin z Bufallo w USA. Można w tym było odczytać symbol, dwa pomosty łączące Kőbányę: jeden ze Lwowem, skąd w roku 1908 bł. arcybiskup Bilczewski przysłał ks. Danki, drugi do Ameryki, gdzie wśród Polonii poszukiwał on finansowego wsparcia dla swej inicjatywy. Eucharystii odprowadzanej w wypełnionym po brzegi kościele towarzyszył śpiew zespołu Gaudeamus poznańskich kleryków Chrystusowców. To czyniło nastrój jeszcze bardziej podniosły. rangę wydarzenia podkreślał też udział ambasadora Rafała Wiśniewskiego.

Łukasz Wylęgała

Henrykówka

Małeńka wieś powstała z podziału ziemi, położona 30 km na zachód od Lwowa, w dawnym powiecie Gródek Jagielloński, w gminie Dobrzany.

Jej powstanie rozpoczęło się wraz ze sprzedażą majątku ziemskiego przez polskiego hrabiego Kazimierza Jabłonowskiego (właściciel obszarów ziemskich w gminie Dobrzany). Postanowił on podzielić dawny fol-

Tak wiele elementów złożyło się na podniosłość chwili. Przejście w pochodzie z kościoła pod okryty jeszcze białą-czerwoną flagą pomnik, straż pocztów sztandarowych, powierzenie dokonania aktu odsłonięcia pomnika czwórce pamiętającej z własnej młodości księdza Danki: Ernestowi Niżałowskiemu, Julii Kozirowskiej, Edycie Glisińskiej-Molnár i Janowi Kasperkowi, akt poświęcenia dokonany przez biskupa lwowskiego... A także padające wówczas słowa. Przywołując pełne zamożnością, poświęcenia służbie Bogu i Rodakom z powierzonej pasterskiej pieczy Kőbányi życie wspaniałego Kapłana ambasador Wiśniewski powiedział: „... Szczególnego charakteru dzisiejszym uroczystościom dodaje i to, że odbywają się one w Światowy Dzień Polonii i Polaków za Granicą i trudno chyba byłoby znaleźć moment bardziej symboliczny dla uczczenia pamięci księdza Wincentego Danki. Ksiądz Danek budując ten kościół myślał zapewne o nim nie tylko jako o świątyni, ale miał pełną świadomość, że buduje pewną wspólnotę, wspólnotę tutejszych Polaków, także wspólnotę Polaków i Węgrów. Byłby dzisiaj dumny, że ta wspólnota przetrwała także trudne przecięcia lata...”

Natomiast kreślący sylwetkę księdza Danki pasteryzujący obecnie katolikom w Vecsés ks. Maciej Józefowicz, w przeszłości będący wszakże jednym z jego następców w polskiej parafii na Kőbányi, zakończył słowami: „... Dziś patrzy na nas z Nieba i modli się za nas wypraszając łaski tym wszystkim, którzy spełniają jego plany, zamierzenia, marzenia...”

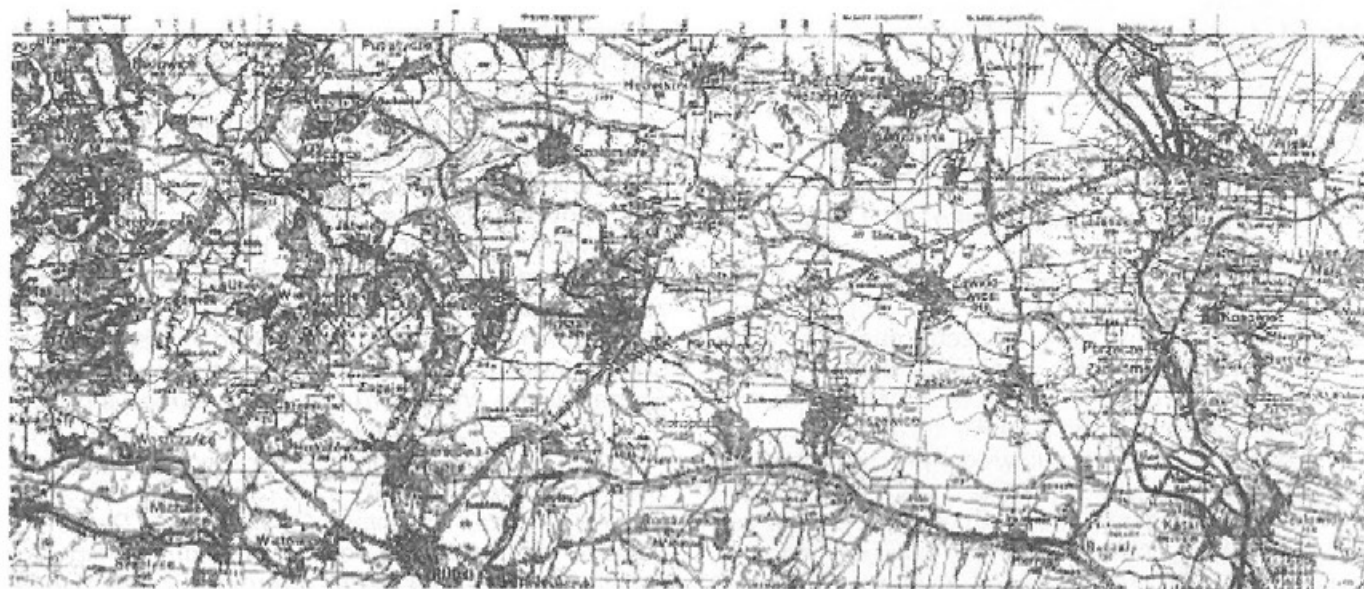
„Czcigodny Księżu Kanoniku! Dziękujemy Ci za trud dzieła, z którego dzisiaj korzystamy i chcielibyśmy nadal chlubić się przed światem, że oto kościół polski i Dom Polski nam zbudowałeś za cenę swojego kapłan-skiego życia! Niech Dobry Pasterz w nagrodę zaliczy Cię do grona błogosławionych i świętych! O to modlić się będziemy!”

Jeszcze złożenie u podnóża cokołu kwiatów i słowa hymnu. Jeszcze moment zadumy. I uroczystość zmienia charakter.

Palczkę przejmując gorąco oklaskiwany prowadzony przez ks. Roberta Nalepkę zespół Gaudeamus. Bawią też licznie zebranych uczestników święta dzieci z Polskiej Szkoły przy Ambasadzie RP w Budapeszcie przygotowane do występu przez siostry z parafii oraz panią Anię Petrovics. No i następuje też tradycyjny poczęstunek. To już artystyczno-towarzyska część dnia, która – jak zawsze – służy zacieśnieniu więzi. A tego każdy potrzebuje. Jej tworzenie to niewątpliwie realizacja niepisanego testamentu księdza Wincentego Danki. □

wark Henrykówka na działki i sprzedać je pod budowę domów dla ludności.

Ziemie podzielił na 30 części. W swojej własności pozostawił dworek. Zastrzegł zakup działek tylko Polakom (przypuszczalnie nie lubił Rusinów, których było w tych stronach wielu). Mimo to nabywcy działek szybko się znaleźli (szczególnie z Wolczuch). Wieś przyjęła poprzednią nazwę folwarku, Henrykówka. Nowi nabywcy budowali domy drewniane wzdłuż drogi ciągnącej z Wolczuch i Dolinian do dworu Hrabiego. Powstały 23 domostwa. Ogółem Henrykówkę w 1939 roku zamieszkiwało 124 osoby (w tym: 67 kobiet i 57 męż-



Mapa Henrykówki

czyn). Zamieszkiwały takie rodziny jak: Andruchowicz, Ardelli, Besz, Durkacz, Gelesz, Hajdun, Jaszczur, Kali-ciak, Melnik, Okrajec, Polański, Siwak, Styś, Tolpa, Wróblewski i Zachara. Wszyscy ludzie w wiosce żyli z uprawy roli, przeważnie jednak ludzie byli biedni.

Dzieci wysyłano do szkoły do Dobrzan (3 km na wschód od Henrykówki). Tak pamiętano tamtą drogę: „Do szkoły szliśmy drogą do Gródka Jagiellońskiego, która potem skręcała w lewo, dzieci często ścinały zakręt i przechodziły obok kopca z ziemi. Była to mogiła żołnierzy z I wojny światowej. Starsi opowiadali, że były tam swego czasu ciężkie walki, mogiła była zaniedbana otoczona chaszczami. Niedaleko niego stała wielka figura Matki Boskiej, która na rękach trzymała małego Jezusa, być może postawił ją właściciel tamtej ziemi o nazwisku Siwak. Za zakrętem polna droga stromo schodziła w dół. Na dole była wioska Doliniany. Często w czasie ulew droga była nie do pokonania, ponieważ droga nasiąkała a na nią obsuwało się błoto”.

Jedyną rozrywką we wsi były organizowane kilka razy w roku zabawy na podwórzu któregoś z mieszkańców.

Hrabia Kazimierz Jabłonowski miał już znikomy wpływ na wieś, jego córka paradowała tylko na pięknym koniu przejeżdżając przez Henrykówkę. Czasami jeżdżono bogato zdobioną bryczką do dworu. Wielu ludzi pracowało nadal na jego polach. W 1939 roku Hrabia sprowadził nauczycielkę do wsi, która wypożyczała większą izbę i uczyła dzieci w domach u Jana Durkacza lub Jana Ardelli.

We wrześniu 1939 r. na Polskę napadło ZSRR i jej wojska wkroczyły do dworu, hrabiego już nie było – mówiło się, że uciekł z ziemią samolotem. Żołnierze wojsk okupacyjnych zostali we dworze Henryka. Przeprowadzili spis mieszkańców Henrykówki i ich inwentarza. Okupantom pomagali Ukraińcy, szczególnie z wsi Hordwiszni i Dobrzan (w taki sposób chcieli się zemścić na Polakach i Henryku za to, że wieś była tylko polska). Z ostateczną zemstą musieli zaczekać aż do rozkazu Stalina o deportacji „wrogów ludu” w 1940 r., kiedy to w lutym i w kwietniu 1940 r., kiedy to wywieziono do ZSRR ponad 0,5 mln. osób (najwięcej Polaków, mniej Ukraińców, Białorusinów itp.). 10 lutego 1940 r. nocą Ukraińcy i Czerwonoarmiejsi obudzili 19 rodzin, kazali im



Zdjęcie mieszkańców Henrykówki na Syberii

się ubrać i spakować do wyjazdu, zabrać żywność. Powtarzano rodzinom, że jadą do Gródka Jagiellońskiego, a tu już dalej mieszkać nie mogą. Ogółem 103 mieszkańców wywieziono na Syberię do Republiki Komi. 20 osób z różnych względów nie wywieziono bądź ze względu na ukraińską przynależność narodową, bądź z powodu wyjazdu z miejsca zamieszkania. Deportowanych zawieziono saniami do Gródka Jagiellońskiego, stamtąd pociągami do Kotlasu, i jeszcze samochodami do Maksakówki. Tam przewieziono wszystkich wywiezionych mieszkańców Henrykówki. Domy w Henrykówce zajęli Ukraińcy, rozgrabili pozostawiony tu dobytek. 23 osoby zmarły na zesłaniu w ZSRR lub wcieleni do Armii Polskiej zginęli w Polsce. Ocalali wrócili do Polski w połowie 1946 roku. Chcieli osiedlić się grupą w Więszycach koło Koźla na Opolszczyźnie. Jednak nie było im to dane, rozproszyli się po kraju (szczególnie w okolicach Legnicy, Złotoryji i Żar). Kilka osób zostało na Opolszczyźnie w Więszycach, Nowej Cerkwi i Prudniku.

Bibliografia:

Dokumenty zachowane przez Józefa Kaliciaka z Jarosławia
Dokumenty Archiwum Archidiecezji Łwowskiej – Parafii Wólczychy (1867-1947) w formie mikrofilmów nr 300 i 301 oraz prymitywny spis mieszkańców Henrykówki z roku 1939, spisany po wojnie, na którym brakowało rodzin: Okrajec, Tolpa i Jaszczur.

Wypowiedzi ustne Marii Wylęgała i Józefa Kaliciaka
Amatorski film o Wólczuchach Leopolda Chmielowskiego z 2000 r. □

Jerzy Duda

Polskie kresowe środowiska inteligenckie po II wojnie światowej

Prof. Henryk Stroński z Tarnopola, przewodniczący założonemu w 1998 roku Stowarzyszeniu Uczonych Polaków na Ukrainie dwukrotnie zabierał głos na dwudniowej konferencji poświęconej tematowi „Polskie środowiska inteligenckie za wschodnią granicą po II wojnie światowej”, w pierwszym dniu przedstawił opracowanie zatytułowane „Między patriotyzmem a konformizmem polskiej inteligencji na Ukrainie po II wojnie światowej”, a nazajutrz dziękując mgr Krystynie Rostockiej – przewodniczącej Opolskiego Oddziału Wspólnoty Polskiej – za znakomite organizacyjnie i merytorycznie przygotowanie spotkania wyraził głębokie przekonanie, że Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej żyją w świadomości Polaków jako ważne i święte dziedzictwo narodowej historii i kultury, a chęć poznania ich dziejów nie jest podyktowana li tylko przejściowym resentymentem czy też przemijającą modą.

Na opolskiej konferencji – w dniach 18-19 listopada 2005 roku – przedstawiono dwadzieścia referatów, a dwudniowe obrady podzielono na cztery wyraziste bloki, po każdym był czas na dyskusję. W części pierwszej mówiono o Wilnie i Wileńszczyźnie, drugą poświęcono Podolu, ze szczególnym uwzględnieniem roli Lwowa jako stolicy Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. W tym bloku doktorantka Uniwersytetu Wrocławskiego, rodem z Białorusi Helena Giebień opowiedziała także o losach inteligencji polskiej na Grodzieńszczyźnie. Dzień drugi poświęcono z kolei przedstawieniu wkładu inteligencji o kresowym rodowodzie w dzieło społecznego, oświatowego i gospodarczego rozwoju Opolszczyzny i tzw. Ziemi Odzyskanych.

Wstępem, a właściwie wprowadzeniem do konferencyjnych obrad było wystąpienie prof. Danuty Kisielewicz (Opole) – „Losy inteligencji polskiej w czasie II wojny światowej”. Historycy podejmujący studia nad dziejami społecznymi w Polsce natrafiają na grupę nie należącą do określonej klasy społecznej, ukształtowaną w społeczeństwie staropolskim i trwającą poprzez epokę porzeczności do dziś. Grupę tę nazwano inteligencją i dopiero badania nad nią doprowadziły do określenia jej pozycji społecznej i funkcji wypełnianych w określonej epoce. W świetle znanej literatury, terminu „inteligencja” użył jako pierwszy w 1844 roku Karol Libelt pisząc, że inteligencja narodu to: „...ci wszyscy, co troskliwsze i rozleglejsze odebrawszy po szkołach wyższych i instytucjach wychowanie, stoją na czele narodu jako uczeni, urzędnicy, nauczyciele, duchowni, przemysłowcy, zgoła którzy przewodzą mu wskutek wyższej swojej oświaty...”. Trudna jest do określenia liczebność kresowej inteligencji, szacuje się, że kilka procent ogółu mieszkańców Kresów wchodziło w skład tej grupy społecznej. Represyjna polityka okupantów – Niemców i Rosjan – w latach 1939-1945, skierowana głównie przeciwko polskiej inteligencji doprowadziła do jej wyniszczenia. Wystarczy wspomnieć, że po zakończeniu Wojny Obronnej 1939 roku polscy oficerowie i żołnierze zostali uwięzieni w 138 obozach rozlokowanych na obszarze ZSRR. Bardzo wielu z nich nie powróciło do rodzinnych domów. Lata 1940-1941 to z kolei masowe wywozy polskiej lud-

ności na Sybir. Całkowitej zagładzie uległo polskie ziemianstwo.

O losach inteligencji polskiej na Wileńszczyźnie mówił historyk i dziennikarz Jerzy Surwiłło z Wilna. Tę ziemię, podobnie jak i pozostałą część Kresów Wschodnich dotknęło zjawisko exodusu ludności polskiej w latach 1939-1945, z tą może różnicą, że na apel arcybiskupa wileńskiego ks. Romualda Jałbrzykowskiego pozostało tu znacznie więcej księży niż gdzie indziej. I to w dużej mierze ich zasługą jest to, że Polaków na Litwie mieszka obecnie około 350 tysięcy, z tego w samym Wilnie 100 tysięcy. Działają tu ponad 30 zespołów śpiewaczych, przedstawienia można oglądać w dwóch polskich teatrach, popularne są szkolne teatrzyki. Wychodzi dziennik „Kurier Wileński”, a ponadto „Tygodnik Wileński” i „Magazyn Wileński”. Dzieci i młodzież mogą uczęszczać do 150 szkół podstawowych i średnich z wykładowym językiem polskim, finansowanych przez samorządy. Ale nadal znajomość języka polskiego, tożsamość narodowa i poczucie historycznej ciągłości wynosi się z domu rodzinnego.

Zupełnie inaczej jest na Białorusi. W tym sąsiadującym z nami kraju tylko 4% ludności posługuje się narodowym, białoruskim językiem. A mimo to, w rezultacie agresywnej polityki narodowościowej liczba Polaków tu mieszkających, w porównaniu do 1959 roku zmniejszyła się o 50%, obecnie na Białorusi do narodowości polskiej przyznaje się około 400 tysięcy mieszkańców, co stanowi 4% ogółu ludności. I sytuacja ta z dnia na dzień się pogarsza, lepiej i łatwiej żyć tym, którzy z polskością się nie afiszują. O problemach mniejszości polskiej na Białorusi mówiła Helena Giebień (Grodno).

Ze wzruszeniem uczestniczący w konferencji wysłuchali opowieści o wybitnych intelektualistach polskich, którzy wbrew wszystkiemu nie wyjechali po wojnie z Kresów Wschodnich i tam trwali ratując przed zagładą wielki dorobek kulturalny – dziedzictwo pokoleń Polaków, tam pozostawione. W czysto ludzkim wymiarze za swoje heroiczne decyzje o pozostaniu, zapłacili wielką cenę, ich udziałem była bieda granicząca z nędzą, szczykany, poniżenie, a mimo tego w swoją misję ani przez chwilę nie zwątpili, wierność Polsce była dla nich wartością najwyższą. O Jerzym Ordzie, Stanisławie Adamskim i Mieczysławie Gębarowiczu pięknie mówili: Przemysław Harupa (Warszawa), Adam Wierciński (Opole) i Wojciech Piotrowicz (Wilno).

Rola duchowieństwa kresowego po 1945 roku była przedmiotem rozważań ks. Andrzeja Hanicha (Opole) i Adama Hlebowicza (Gdańsk). Szczególnie na Wileńszczyźnie, gdzie w porównaniu z innymi kresowymi ziemiami łatwiejsza nieco była sytuacja duchowieństwa, parafie przejęły rolę polskiego dworu, swoistej wyższej polskiej uczelni. Przypomniano świetlane postacie hierarchów kościelnych: abp. Adama Naruszewicza (Łuck), abp. Józefa Bilczewskiego (Łwów), abp. Zygmunta Łozińskiego (Mińsk), bp. Wincentego Kluczyńskiego (Mohylew), bp. Adolfa Szelażka (Łuck), bp. Jana Olszańskiego (Kamieniec Podolski). W 1945 roku Śląsk Opolski stał się regionem, który przyjął największą liczbę

księży repatriantów ze Wschodu. Należy pamiętać, że przeniesione do Kalwarii Zebrzydowskiej Wyższe Seminarium Duchowne ze Lwowa, w krótkim czasie znalazło swoje miejsce w Nysie, dając początek Wyższemu Seminarium Duchownemu w Opolu. Kresowi księża odegrali również niezwykle rolę w integrowaniu ludności masowo napływającej na Opolszczyznę w 1945 roku ze Wschodu, ale także z innych stron kraju, z ludnością autochtoniczną.

Procesy migracyjne na Śląsku Opolskim omówiła Elżbieta Dworzak (Opole) prezentując „Rozmieszczenie ludności pochodzenia kresowego na Opolszczyźnie”. W świetle przeprowadzonego w 1950 roku spisu ludności Opolszczyznę zamieszkiwało 809 tysięcy osób, z tej liczby autochtoni stanowili 51,7% ogółu, przybysze ze Wschodu 22,3%, z tym że w samym Opolu aż 86,2% mieszkańców to ludzie z Kresów Wschodnich. Duże zróżnicowanie wystąpiło również w terenie, w powiecie głubczyckim dawni Kresowiaczy stanowili tam prawie 70% ogółu ludności, a w wsiach powiatu opolskiego niespełna 5%.

Wielki był wkład dawnych mieszkańców Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej w dzieło rozwoju ziem na których przyszło im osiedlić się, ze szczególnym uwzględnieniem Śląska Opolskiego. Problemy te znalazły szerokie odzwierciedlenie w następujących wystąpieniach Opolan: „Wkład Kresowiaków w rozwój Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu” – prof. Elżbieta Trela – Mazur; „Wkład Kresowiaków w rozwój Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Opolu” – prof. Antoni Guzik; „Profesorowie Oddziału Elektrotechnicznego Politechniki Lwowskiej w powojennej Polsce” – prof. Jerzy Hickiewicz; „Wpływ osób przybyłych z Kresów na środowisko teatralne Opola” – prof. Alfred Wolny; „Aktorzy o kresowych korzeniach na Opolszczyźnie” – Tadeusz Rudnic-

ki; „Nauczyciele z Kresów Wschodnich na Śląsku Opolskim” – Jerzy Duda; „Artyści plastycy z Kresów na Opolszczyźnie” – Adam Zbiegieni.

Konferencji towarzyszyła wystawa „Kresy Wschodnie w fotografii” autorstwa Stanisława Wierzonja.

Dwudniowe spotkanie ludzi, dla których prawda o Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej jest drogą było niezwykle udane, pozwoliło przypomnieć znaczącą rolę inteligencji o kresowym rodowodzie w rozwoju naszego państwa, zwłaszcza w zagospodarowywaniu tych ziem, które przypadły Polsce po 1945 roku, rolę nie zawsze docenianą, a jednocześnie był to czas wzruszenia, przywracania pamięci, pięknie to ujął Adam Wierciński: „...Tyle nazwisk przemilczanych rozmyślnie wraca powoli do pamięci zbiorowej, tyle wydarzeń z niedawnej historii, tyle książek skazanych na zapomnienie i tyle krajobrazów, o których pamiętała tylko literatura, powraca, tyle zagubionych gdzieś tam daleko rzeczulek i miejscowości czasem o śmiesznych, zabawnych i jakże bliskich – choć niekiedy o skomplikowanych i egzotycznych źródłosłowach – budzących wzruszenie nazwach...”.

Bo tak naprawdę życie na krańcach stykających się z sobą dwóch narodów wyrabia wyjątkowe pragnienia, kształtuje również ludzi wyjątkowych. Opolska konferencja poświęcona roli polskiej inteligencji wywodzącej się z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej Polski dobitnie potwierdziła tę prawdę wyrażoną przez Jana Ch. Zachariasiewicza²⁾.

Przypisy:

1) Antonina Kłosowska: Inteligencja w słowie i obrazie własnym. W: Aleksandra Garlicka, Jerzy Jedlicki (redakcja): Inteligencja polska XIX i XX wieku. Warszawa 1997 Polskie Towarzystwo Historyczne. Str. 127.

2) Adam Wierciński: Przywracanie pamięci. Opole 1993 Wyższa Szkoła Pedagogiczna. Str. 9. □

Marek Zabierowski

Tarnkową zasiedlili w 1945 r. osadnicy z Bieszczad

Tarnkowa – wieś w powiecie głubczyckim, na północny zachód od Głubczyc, położona na skraju lasu w pobliżu granicy państwowej, w 1945 r. została zasiedlona przez osadników z Bieszczad, którzy mieszkali w Teleśnicy Oszwarowej i Paniszczowie. Przed wojną te bieszczadzkie wioski były w obrębie powiatu leskiego, a powiat ten był w województwie lwowskim. Te miejscowości po II wojnie światowej zostały przyłączone do ZSRR i znajdowały się w granicach Związku Radzieckiego do 1951 r.

Teleśnica Oszwarowa – położona nad Jeziorem Solińskim – była lokowana na prawie włoskim około 1526 r. Tu były starcia polsko-ukraińskie w 1919 r. W 1921 r. w tej miejscowości mieszkało 685 ludzi (469 osób wyznania greckokatolickiego, 192 osoby wyznania rzymskokatolickiego i 24 żydów).

Ta wioska wslawiła się udziałem jej mieszkańców w powstaniu leskim w 1932 r. W powstaniu chłopskim, które trwało od 21 czerwca do 9 lipca, wzięło udział około 15 tysięcy ludzi z 19 wsi. Zaciekle boje toczyli chłopcy z policją i wojskiem na wzgórzu Jawor, w Teleśnicy Oszwarowej, Łobozewie, Ustianowej, Bóbrce. W po-



wiecie leskim zginęło kilkudziesięciu powstańców, a kilkuset doniosło rany.

Wioska Paniszczów (gm. Czarna) znajdowała się niedaleko od Teleśnicy Oszwarowej, obecnie nie istnieje. Pierwsza pisemna wzmianka o Paniszczowie pojawia się w 1530 r. W czasie spisu powszechnego w 1921 r. ta wieś liczyła 873 mieszkańców, w tej liczbie 770 grekokatolików, 40 ludzi należących do Kościoła rzymskokatolickiego i 63 żydów. W 1951 r. ZSRR zwrócił Polsce wyludnioną Paniszczów, ale ta miejscowość nie została ponownie zasiedlona. Budynki, które były w dobrym stanie, zostały pozostawione na pastwę losu i były dewastowane przez mieszkańców okolicznych wiosek przez wiele lat. Dewastacja polegała na ustawicznym rozbieraniu zabudowań. Podobny los spotkał tu drewnianą cerkiew pod wezwaniem Świętej Paraske-

wii. Dwie ikony z XVI wieku, które znajdowały się w cerkwi, są przechowywane w Muzeum Historycznym w Sanoku. Obecnie w dolinie Paniszczówki można zobaczyć podmurówki domów i piwnice oraz betonową podmurówkę, na której stała cerkiew. Dolna część tej wioski znalazła się pod wodą po napelnieniu Jeziora Solińskiego.

W 1951 r. nastąpiła korekta granicy polsko-radzieckiej. Wtedy Polska dała Związkowi Radzieckiemu teren bogaty w węgiel kamienny (okolice Sokala i Krystynopola), a w zamian za ten rejon ZSRR dał nam część Bieszczad. W latach 1945-1951 do ZSRR należały m.in. następujące bieszczadzkie miejscowości: Krościenko, Ustrzyki Dolne, Łobozew, Teleśnica Oszwarowa, Paniszczów, Czarna, Lutowska. W 1951 r. – po zmianie przebiegu granicy wschodniej – te miejscowości wróciły do Polski. □

Józef Karabowicz

Na granicy Podola z Wołyniem

Smyga

Osada składająca się z kilku domów, których mieszkańcy żyli do czasów II wojny światowej z uprawy roli i pracy na kolei, biegnącej z Dubna do Krzemieńca. Smyga zlokalizowana była na trasie drogi i kolei Dubno-Krzemieniec w odległości 18 km od Krzemieńca i ponad 20 od Dubna.

Po I wojnie światowej liceum krzemienieckie przejęło grunty w Smydze i rozpoczęło budowę największych zakładów przemysłu drzewnego na kresach. W latach dwudziestych w bardzo szybkim tempie wybudowano: tartak, forniernie, tapicernie, zakład stolarski oraz zakłady mechaniczne, mające zaspokajać potrzeby całej fabryki mebli. W trudnych latach powstawania państwowości, zatrudniono absolwentów z liceum krzemienieckiego, a w dalszej kolejności fachowców przybyłych z Poznania, Gniezna, Swarzędza oraz mniejsze grupy przybywające z Łomży i Białegostoku.

Z chwilą pełnego rozruchu fabryki mebli ruszyło budownictwo mieszkaniowe w Smydze. Powstały kolejno: sklep spożywczy, łaźnia, zakład fryzjerski, szkoła, dom



Otwarcie sklepu spożywczego

ludowy, poczta, posterunek policji, cukiernia-piekarnia, restauracja, kaplica, strzelnica, apteka oraz pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego. Wśród rodzimych



Pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego

mieszkańców Smygi należy wymienić Zubów, których syn Leon skończył szkołę rolniczą, a następnie studia rolnicze w Lublinie uzyskując tytuł doktora. Następnie podjął pracę w Instytucie Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach, prowadząc działalność w zakresie chmielarstwa. Matka Leona, Karolina, została w 1943 roku zamordowana przez bandy banderowców i bulbowców.

Drugą rodziną byli Zahorodni, których losy różnie się potoczyły, ale zawsze pełni byli sympatii i przyjaźni dla całej polskiej społeczności. Do dziś w Smydze zamieszkuje Piotr Zahorodny z rodziną oraz jego siostra Maria.

Pragnę wymienić niektóre rodziny stanowiące trzon polskości w tych trudnych czasach: Piłat – kierownik zakładu mechanicznego, Kasperowicz – kierownik stolarni, Górski – kierownik tapicerni, Krawczyk – kierownik fornierni, Pawłowski – właściciel apteki, Goncarz – cukiernik, Skorupa – właściciel restauracji oraz proboszcz Bania. Pozostałe rodziny to: Jeski, Lewicki, Karabowicz, Sołtys, Komko, Spirydowicz, Pawłowscy, bracia Jarmasz, Podgruszecki oraz szereg innych, których nazwisk nie pamiętam.

Po wejściu bolszewików w 1939 roku, NKWD i milicja rozpoczęły wywózkę ludności polskiej na Sybir. W pierwszej kolejności wywieziono mężczyzn, a następnie całe rodziny. Co pamięć nie zatarła to: Kasperowicze, Skorupy, Parada, Kropielnicka (żona oficera 12. Pułku Ułanów), Sawenko oraz wszyscy leśniczy i gajowi. Wszystko to trwało do wojny z Niemcami w 1941 roku.

Sosnowiec, dnia 12.02.2006 r.

Do Redakcji „Semper Fidelis”

W numerze 36 „Rzeczpospolitej” (z dnia 11-12.02.2006 r., na łamach „Plus-Minus” Stefan Bratkowski opublikował artykuł pod tytułem: „Powstanie wielkopolskie. Gorsze zwycięstwo”.

Już na wstępie autor napisał:

„Próbowaliśmy swego czasu serialem „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” wcielić przeszłość Wielkopolski do historii Polski, ale nie powiem, żeby się powiodło: jedyne polskie powstanie, które się udało, pamięć narodowa do dziś jakby nie objęła. To margines. Już więcej wzruszenia budzi rocznica bratobójczych walk z Ukraińcami we Lwowie”.

Wprowadzona przez autora kwalifikacja niejako na wstępie dezawuuje obronę Lwowa w 1918 r. Sugeruje ona, że obrona ta nie miała charakteru powstania narodowego mieszkańców tego miasta przeciw zamachowi stanu dokonanego siłami ukraińskich jednostek wojskowych pochodzących spoza miasta.

Porównajmy zatem sytuację narodową w Poznaniu i we Lwowie w 1918 r. W obu miastach przeważała ludność polska, dodajmy: autochtoniczna. Niemcy w tym czasie w Poznaniu to przede wszystkim urzędnicy pruscy i część bogatszej klasy średniej pochodzącej w dużej mierze z niemieckich części ówczesnych Prus. Ukraińcy we Lwowie to w tym czasie przede wszystkim plebs, służba domowa, nieliczni robotnicy, kler greckokatolicki i bardzo nieliczni przedstawiciele inteligencji, rekrutujący się w znacznym stopniu z galicyjskiej prowincji i wsi. O tym, że tak istotnie było, utwierdzają nas w dużej mierze historycy ukraińscy, którzy wyparcie z miasta regularnych ukraińskich jednostek wojskowych przypisują nieznanemu Lwowa przez te siły wojskowe, podczas gdy broniący się miejscowi Polacy znali doskonale swe rodzinne miasto.

Porównując ówczesny Poznań i Lwów może warto zaznaczyć, że Lwów w 1918 r. był wybitnym polskim

W momencie gdy Niemcy zaczęli przegrywać, tj. około 1943 roku, doszło do mordów na pozostałych Polakach dokonanych przez bandy ukraińskie w powiatach Dubno i Krzemieniec. Kilkanaście dni po świętach Wielkiej Nocy tegoż roku, bandy wtargnęły do Smygi paląc większość domów zamieszkałych przez Polaków oraz fabrykę mebli. Mimo obrony przez oddział Niemców, to wydarzenie było sygnałem dla pozostałych Polaków do wyjazdu ze Smygi. Kierunkiem ich ucieczki były większe miasta lub Generalna Gubernia. Po wejściu bolszewików w 1944 roku, po raz drugi spalono fabrykę.

Smyga w całym swym okresie istnienia była enklawą polskości, wśród otaczających wsi ukraińskich. W latach 1941-1943 ukraińska policja dokonywała czystek na samotnych Polakach poprzez aresztowanie pod byle pretekstem, a następnie zabicie w czasie „ucieczki”.

Dziś w Smydze prawie nie ma śladów polskości. Pozostał budynek stacji i nieczynne tory kolejowe oraz zarosnięty cmentarz, na którym znalazłem grób z roku 1936, na którym wyryte było polskie nazwisko. □

ośrodkiem kulturalnym (uniwersytet, 3 inne wyższe uczelnie, Zakład Narodowy im. Ossolińskich itp.), podczas gdy ówczesny Poznań takiej rangi nie miał – z przyczyn zresztą oczywistych, na które Polacy w Poznaniu nie mieli wpływu. Zdecydowanie natomiast Poznań przodował w gospodarce i gospodarności – dziedzinach, które w końcu zadecydowały o załamaniu się niemieckiego „Drang nach Osten”. Tak więc każde z tych miast miało swoje plusy, obydwie zaś były miastami zdecydowanie polskimi.

Skoro tak było, to nasuwa się pytanie, dlaczego, w ocenie Bratkowskiego, powstanie wielkopolskie zostało uznane za „słuszne”, a jego zwycięstwo za godne pochwały – chociaż, jak twierdzi Bratkowski, za „gorsze” (bo niedoceniane), podczas gdy obrona Lwowa została przez tego autora określona jako „bratobójcze walki”? W oparciu o jakie kryteria S. Bratkowski przeprowadził taki podział tych obu polskich zrywów powstańczych, nota bene obu zakończonych sukcesem? Trzeba bowiem dodać, że nie jest uprawnione twierdzenie S. Bratkowskiego, że powstanie wielkopolskie było „jedynym polskim powstaniem, które się udało”. Obrona Lwowa również zakończyła się wyparciem sił ukraińskich z miasta.

Interesujące byłoby poznanie rozumowania Bratkowskiego, które doprowadziło go do przekonania, że to tylko lwowskie walki miały charakter „bratobójczy”, a poznańskie – już nie. Faktem jest bowiem, że we Lwowie, na przestrzeni lat, a nawet wieków, zamieszkiwali i współżyli ze sobą Polacy i Ukraińcy (wcześniej: Rusini), wchodzili ze sobą w różnorakie związki, w tym i rodzinne. Ale przecież takie samo zjawisko występowało na przestrzeni lat i wieków także w Poznaniu, gdzie współżyli ze sobą Polacy i Niemcy (wystarczy powołać się na grupę „Bambrów”). Dlaczego więc we Lwowie walki miały charakter „bratobójczy”, a w Poznaniu – nie?

Argumenty przeciw tym twierdzeniom Bratkowskiego można by mnożyć; sądzę jednak, że przytoczone wystarczy. Natomiast trzeba wyraźnie stwierdzić, że metoda argumentacji zastosowana przez Bratkowskiego

żywo przypomina – poniechane już na szczęście – działania polegające na przypinaniu osobom o odmiennych poglądach swoistych „etykietek”. W tym przypadku autor przypiął etykietkę „bratobójców” obrońcom Lwowa – w tym także tym nieletnim chłopcom i dziewczętom, którzy za polskość swojego miasta oddali swe młode życia. O ćwierć wieku wcześniej niż ich następcy w powstaniu warszawskim. Za miasto, które jako drugie w świecie uzyskało za swą obronę najwyższe odznaczenie bojowe – krzyż *Virtuti Militari*. Tego odznaczenia nie przyznaje się za „walki bratobójcze”.

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Stanisław Dustanowski (1928-2006)

My, dzieci Lwowa strażnicy tradycji i chwały „Zawsze Wiernego Grodu”, odnotowujemy z wielkim żalem odejście z naszych szeregów na „wieczną wartę” naszego druha, serdecznego kumpla ze Lwowa, **Stanisława Dustanowskiego**, harcerza i działacza, żołnierza Armii Krajowej ps. „Czarny Gerard”.

Stanisław Dustanowski ur. 25 stycznia 1928 r. we Lwowie, w rodzinie kolejarskiej – ojciec był maszynistą kolejowym, zaś matka, przemiła pani, zajmowała się domem. Stanisław nie miał rodzeństwa, ale miał duże poczucie koleżeństwa i wrażliwość na krzywdę ludzką. Do wojny 1939 r. ukończył 5 klas szkoły powszechnej, w szkole Marii Magdaleny.

Język ukraiński poznawał wśród kolegów, gdyż wtedy uczono we Lwowie w 5 i 6 klasie obowiązkowo też języka ukraińskiego. W latach 1939-41 ukończył 5 i 6 klasę sowieckiej szkoły 10-letniej (sowieci uważali, że ich poziom nauczania jest wyższy niż w „pańskiej Polsce” i uczniów szkoły powszechnej cofnęli o 1 rok).

W okresie okupacji niemieckiej tj. 1941-44 ukończył 7 klasę szkoły powszechnej i 2-letnią szkołę handlową o kierunku biurowym, co później pomogło Mu w sprawnym organizowaniu własnej pracy biurowej i podległych Mu zespołów. W okresie okupacji uczęszczał również na tajne komplety i zdał dużą maturę typu humanistycznego uzyskując na tej podstawie w 1946 r. świadectwo weryfikacyjne w kuratorium w Krakowie.

Brał czynny udział – w lipcu 1944 – w walkach o Lwów, w ramach akcji „Burza”.

Po powrotnym wkroczeniu Sowietów do Lwowa w 1944 r. pracował w Biurze Miar i Wąg i ukończył 10-tą klasę sowieckiej szkoły 10-letniej, po czym zapisał się na Lwowski Uniwersytet, gdzie studiował wschodnio-słowiańską filologię do maja 1946 roku.

Nie zaprzestał działalności konspiracyjnej. Brał udział, w nie udanym, zamachu na konfidenta NKWD.

W 1946 roku, w ramach ekspatriacji przyjechał z rodzicami do Gliwic, gdzie Jego ojciec podjął jeszcze pracę w PKP, sam zaś zamieszkał w Krakowie, kontynuując studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, na Wydziale Filologii z kierunkiem języków wschodniosłowiańskich. W tym okresie pracował zarobkowo jako nauczy-

ciel szkoły podstawowej i kierownik świetlicy w II Domu Akademickim. Ukończył kurs nauczycielski uzyskując dyplom nauczyciela szkoły średniej z języka rosyjskiego. Jako absolwent UJ natychmiast otrzymał przydział pracy w charakterze lektora języka rosyjskiego na Politechnice Krakowskiej i równolegle w Wieczorowej Szkole Inżynierskiej, skąd po kilku latach przeniósł się na Akademię Górniczo-Hutniczą, w której prowadził także zajęcia z języka polskiego dla obcokrajowców. Równolegle uczył też w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej oraz w Szkole Laborantek Medycznych.

Jerzy Fic

W 1951 roku otrzymał nominację na tłumacza przysięgłego z języka rosyjskiego i ukraińskiego, a w 1954 roku założył wspólnie z innymi tłumaczami Zespół Tłumaczy Przysięgłych, w którym z wyboru pełnił przez ponad 10 lat, jako świetny organizator cieszący się ogólnym zaufaniem, funkcję kierownika, względnie zastępcy kierownika Zespołu. Była to praca etatowa. Równocześnie pracował intensywnie jako tłumacz, wykonując tłumaczenia z języka i na język, tak uwierzytelnione, jak też w przeważającej ilości techniczne, z różnych dziedzin, nawiązując kontakty z wybitnymi fachowcami z różnych branż.

W 1972 r. podjął pracę w Przedsiębiorstwie Projektowania i Dostaw Kompletnych Obiektów Przemysłowych „Chemadex”, jako starszy asystent projektanta – tłumacz techniczny. Z tego przedsiębiorstwa wyjeżdżał wielokrotnie do Moskwy na podpisywanie umów, zawieranych wówczas przez „Polimex-Cekop”. W 1973 r. pracował również jako asystent projektanta w Przedsiębiorstwie Projektowania i Studiów Przemysłu Lotniczego i Silnikowego „PZL” Kraków. W 1975 r. przeszedł do Przedsiębiorstwa Transportowo-Sprzętowego Budownictwa „Transbud – Nowa Huta” na stanowisko specjalisty d/s eksportu.

Z tego przedsiębiorstwa wyjechał na budowę eksportową do ZSRR na okres półtora roku (1979-81) jako starszy ekonomista d/s zaopatrzenia. W 1982 r. został delegowany do pracy na budowie eksportowej prowadzonej przez Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego „Budostal” w Diesnogorsku (Smoleńska Elektrownia Atomowa). Tam pracował przez rok jako tłumacz budowy, zaś po powrocie do kraju przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Od 1984 r. był pilotem wycieczek zagranicznych.

nych do krajów socjalistycznych. Nieprzerwanie zaś od 1951 r. aż do chwili śmierci pełnił obowiązki tłumacza przysięgłego, tłumacząc różne teksty, jeżdżąc do Lwowa, Kijowa i Moskwy, gdzie jako tłumacz przysięgły występował w sprawach o przestępstwa celno-dewizowe oraz w sprawach z powództwa cywilnego.

Nie dbał o zaszczyty i order dla siebie. Pamiętam, jak był zadowolony, gdy Jego Ojciec dostał Złoty Krzyż Zasługi za długoletnią pracę.

Zamiłowanie do książek i miłość do rodzinnego miasta Lwowa przerodziły się u **Stanisława Dustanowskiego** w istną pasję bibliofilską, już nie amatorską, lecz w oparciu o studia i wieloletnią praktykę. Pamiętam jak w 2001 roku byliśmy z żoną we Lwowie, gdy miał przyjechać tam Ojciec Święty Jan Paweł II. Tłumy zgromadzone na trasie przejazdu papieża czekały w napięciu. Było tam ponoć 300 tysięcy Polaków, tych co ze Lwowa

i tych co jeszcze we Lwowie. Było też ok. 850 harcerzy z Polski. No, a gdzie Stanisław? Na placu obok kościoła O.O. Dominikanów, blisko arsenału, tam gdzie „bukiniści”. Dopiero gdy dzwony zaczęły bić we wszystkich kościołach i cerkwiach lwowskich tak głośno jak na rezurekcję, która we Lwowie była zawsze wieczorem, gdy tłum zafalował i wzdłuż Wałów Hetmańskich, placów i ulic rozległy się głosy zgromadzonych „Papa przychaw”, wtedy zjawiał się drogi **Stanisław Dustanowski** oderwawszy się od książkowych „cymelii”. Ten **Dustanowski**, którego zbiory godne są osobnej sali Jego imienia w Muzeum Ziemi Lwowskiej, którego potrzebę tak odczuwamy. Ten Stanisław, którego księga życia zamknęła się w dniu 2 stycznia 2006 roku w Krakowie. Pozostanie On zawsze w naszej pamięci, tak jak to Nasze Ukochane Miasto Lwów, z którego się wywodzimy.

Jan Rogowski

Śp. Maria Ficowa (1925-2006)



Dnia 20 stycznia 2006 roku zmarła w Sosnowcu Maria Romana Ficowa z d. Kowalska. Była córką oficera wojsk polskich i nauczycielki z Kresów Wschodnich. Na jej wychowanie duży wpływ wywarła patriotyczna atmosfera w rodzinie oraz harcerstwo. W chwili wybuchu II wojny światowej była uczennicą gimnazjum w Gnieźnie.

Po klęsce wrześniowej ojciec przedostał się do Francji, gdzie nadal walczył i został ranny, po czym kontynuował służbę wojskową w Wielkiej Brytanii. W czasie pierwszej, mroźnej zimy wojennej rodzina została przez Niemców wysiedlona z Wielkopolski. Maria okupację przeżyła w Krakowie, gdzie zdolnej i ambitnej dziewczynie pomogli w nauce księża Zmartwychwstańcy, których zgromadzenie zaopiekowało się w Krakowie kilkoma wysiedlonymi rodzinami. Dzięki temu mogła Ona stosunkowo szybko ukończyć szkołę średnią i rozpocząć studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, którego Wydział Prawa ukończyła w 1950 roku. Chciała poświęcić się sądownictwu, jednakże nie przyjęto Jej na aplikację ze względu na pochodzenie z przedwojennej rodziny wojskowej. Ojciec jej wrócił do kraju ciężko chory i wkrótce zmarł.

Maria rozpoczęła pracę w bankowości, jednakże ten rodzaj pracy, oderwany od działalności społecznej, nie odpowiadał Jej. Przekwalifikowała się i przeszła do pracy nauczycielskiej w średnich szkołach w Sosnowcu, ucząc i wychowując kilka pokoleń młodzieży. W pracy wychowawczej wpajała młodym ideały patriotyczne, uczyła społecznego zaangażowania, zwłaszcza w prowadzonym klubie wiedzy społecznej i w harcerstwie, w którym uzyskała stopień harcmistrza. W swoich działaniach prowadzonych w niełatwym środowisku była zawsze bezkompromisowa: odważnie przekazywała młodzieży prawdę o trudnych, tak wtedy zakłamanych, naszych dziejach najnowszych, m.in. o tragedii Lwowa

i Kresów Wschodnich, z którymi była silnie związana przez rodzinę. Swoją prawdomównością i bezkompromisowością oraz odwagą stale „podpadała” ówczesnym władzom i czynnikom oraz narażała się na szykany.

Przez młodzież była zawsze bardzo wysoko ceniona. Do końca życia miała żywe kontakty ze swoimi byłymi uczniami i wychowankami, była przez nich odwiedzana, pozostała dla nich autorytetem moralnym.

W III Rzeczypospolitej, kiedy zostały stworzone możliwości działania niezależnych stowarzyszeń, została, wraz z pochodzącym z Kresów mężem Jerzym, członkiem katowickiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Dzięki swoim kontaktom i bezinteresownej pracy na rzecz ludzi najuboższych w TPD dwukrotnie zorganizowała wysyłkę odzieży i butów dla naszych rodaków na Kresach.

Była aktywnie zaangażowana w działalność sosnowieckiego Klubu Inteligencji Katolickiej, gdzie wygłaszała kilkanaście odczytów i wykładów. Jednym z tematów była działalność we Lwowie dwu polskich naukowców, którzy tam zostali, aby ratować tyle, ile było można – nieżyjących już profesorów Mieczysława Gębarowicza i ks. Henryka Mossinga.

Po przejściu na emeryturę nie zaprzestała działalności społecznej. Prowadziła ją zwłaszcza w Ruchu Korczakowskim, którego twórcę, Janusza Korczaka uważała za ideał pedagoga. Znajdowała także czas na publicystykę pedagogiczno-wychowawczą drukowaną w wielu pismach fachowych oraz na twórczość literacką: jest autorką licznych poezji, których część została opublikowana w tomiku wydanym sumptem Oddziału ZNP w Sosnowcu.

W życiu rodzinnym była najlepszą żoną, matką i babcią poświęcając swym najbliższym ogrom swojego serca i oddania.

Dobra, życzliwa ludziom, odważna i pracowita na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

*Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział w Katowicach*

Śp. mgr inż. arch. Lesław Hawling (1925-2006)



Dnia 30 stycznia 2006 r. zmarł w Katowicach Lesław Hawling, współzałożyciel oraz długoletni i wielce zasłużony prezes Oddziału Katowickiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, a także wieloletni członek Zarządu Głównego Towarzystwa.

Urodził się we Lwowie 15 grudnia 1925 roku w rodzi-

nie o głębokich tradycjach patriotycznych. Jego ojciec Zygmunt był legionistą, uczestnikiem walk o niepodległość Ojczyzny w latach 1914-1920. Do wybuchu wojny Lesław ukończył we Lwowie prywatną szkołę powszechną prowadzoną przez Braci Szkolnych oraz dwie klasy w XI Gimnazjum. Podczas okupacji niemieckiej, wraz z nieżyjącym już dziś starszym bratem Mieczysławem, uczęszczali na tajne komplety zakończone zdaniem egzaminu dojrzałości. Jednocześnie włączyli się z bratem w działalność konspiracyjną Armii Krajowej.

Po ponownym wkroczeniu wojsk sowieckich do Lwowa w 1944 roku Lesław pracował na budowie, a równocześnie uczęszczał do szkoły wieczorowej i uzyskał świadectwo ukończenia 10-letniej szkoły średniej. W 1945 roku rozpoczął studia na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej. Po ekspatriacji w 1946 roku kontynuował je na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej.

W 1951 roku po ukończeniu studiów podjął pracę zawodową w Katowicach. W latach 1951-1960 był zatrudniony w Zjednoczeniu – Centralnym Zarządzie Przemysłu Metali Nieżelaznych. Od 1960 roku, aż do przejścia na emeryturę w 1990 roku, pracował w Biurze Projektów Metali Nieżelaznych – BIPROMET, gdzie przeszedł wszystkie szczeble kariery zawodowej, od projektanta do kierownika działu budowlanego oraz kierownika zespołu rzeczoznawców. Brał udział w projektowaniu wielu ważnych obiektów przemysłowych, zarówno w kraju (Lubińskie Zakłady Miedziowe) jak i za granicą (Indie).

Lesław Hawling jako prezes Oddziału TMLiKPW, nieprzerwanie od maja 1991 roku, i członek Zarządu Głównego Towarzystwa wielce zasłużył się swoją działalnością dla Kresów i środowiska kresowego, co znalazło wyraz w odznaczeniu Go Złotą Odznaką Towarzystwa oraz odznaczeniem państwowym – Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Był wielkim miłośnikiem swojego rodzinnego Miasta, stąd bardzo angażował się osobiście w sprawy lwowskie – w pomoc materialną Polakom pozostałym we Lwowie, dla szkół polskich i przedszkoli, organizację kolonii dla dzieci, ratowanie grobów na lwowskich cmentarzach. Pozostał wierny rodzinnej tradycji patriotycznej i swoim

doświadczeniom konspiracyjnym. Z wielkim przekonaniem i zaangażowaniem przewodził naszej społeczności Kresowian w obchodach świąt państwowych, w mszach św. odprawianych za dusze poległych i pomordowanych na Wschodzie. Ścisłe współpracował ze środowiskiem Obszaru Lwowskiego i Kresów Wschodnich Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Katowicach. Był gorącym orędownikiem ufundowania tablic pamiątkowych dokumentujących walkę i martyrologię Polaków na Kresach – w katowickiej katedrze Chrystusa Króla oraz na ścianie kaplicy cmentarnej przy ulicy Sienkiewicza. Wcześniej bardzo aktywnie angażował się w działaniach na rzecz budowy pomnika Józefa Piłsudskiego w Katowicach.

Działalność w TMLiKPW to nie jedyna dziedzina Jego aktywności społecznej. Działalność również w Stowarzyszeniu Architektów RP, a także w Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników Hutnictwa. Przez ostatnich kilkanaście lat był przewodniczącym Zespołu ds. Ochrony Zabytków Hutniczych w Komisji Historii i Ochrony Zabytków Hutnictwa działającej przy ZG SITPH. Ta działalność została wysoko oceniona, czego wyrazem są odznaczenia Srebrną, następnie Złotą Odznaką Honorową SITPH, a w roku 2001 Srebrną Odznaką Honorową NOT.

Śmierć Lesława Hawlinga jest dla naszej społeczności kresowej w Katowicach niepowetowaną stratą. Pożegnaliśmy Go 2 lutego 2006 r. na cmentarzu komunalnym w Katowicach przy ul. Murckowskiej. Mszę świętą pogrzebową oraz ceremonie przy grobie odprawił, zasłużony dla naszego środowiska, nasz nieformalny kapelan, ks. prof. dr hab. Józef Krętosz – historyk kościoła, autor monografii o bł. Rafałe Kiernickim i katedrze lwowskiej. Przybyły delegacje Kresowian z Tychów ze sztandarem oraz z Zabrze, Gliwic, Bytomia, Częstochowy i Wrocławia. Żegnaliśmy Go z wielkim żalem, bo Leszek niezależnie od swoich wielkich dokonań cieszył się naszą wyjątkową sympatią jako człowiek koleżeński, życzliwy ludziom, niekonfliktowy, bardzo religijny, ciepły w bezpośrednich kontaktach, uczuciowy. Był uzdolniony artystycznie. Szczególnie fascynowały Go krajobrazy morskie. Był członkiem Stowarzyszenia Malarzy Marynistów. Malowanie obrazów dawało Mu satysfakcję, a obdarowywanie nimi swoich przyjaciół sprawiało przyjemność. Wielu z nas cieszy się posiadaniem Jego obrazów, zwłaszcza akwarel o pogodnej aurze.

Lesław Hawling był przede wszystkim bardzo porządnym człowiekiem, w starym lwowskim znaczeniu tego określenia.

Cześć Jego pamięci!

*Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział w Katowicach*

